

Nowa powieść autorki bestsellerowej serii
STOWARZYSZENIE WĘDRUJĄCYCH DZINSÓW

Ann Brashares

WSZYSTKO RAZEM



YA

Ann Brashares

WSZYSTKO RAZEM

Przełożył Janusz Maćczak



Tytuł oryginału: *The Whole Thing Together*

Copyright © 2016 by Ann Brashares

This translation published by arrangement with Random House Children's Books, a division of Penguin Random House LLC.

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVII

Copyright © for the Polish translation by Janusz Maćczak, MMXVII

Wydanie I

Warszawa MMXVII

Spis treści

Dedykacja

Krótką charakterystyka członków rodziny Thomas-Harrison

1 Blaski i cienie nieistniejącego związku

2 Bardzo ważny nieznajomy

3 Kukurydza i Matthew

4 Gra, w której wygrywa tylko jedna strona

5 Rady dla twojego wirtualnego serca

6 Nigdy się nad tym nie zastanawiałem

7 Wpraw mnie w zakłopotanie

8 Właśnie taka mi się wydawała, kiedy nie wiedziałem, kim jest

9 Stawanie się silniejszym dzięki wyrzeczeniu

10 Albo/I

11 Dziwny rodzaj rodziny

12 Pudełka (i puszki)

13 Jedno zmartwienie po drugim

14 Rozmowa o otrzymywaniu więcej, niż się chciało

15 Taka jest cena

16 Jak pływać w mętnej wodzie

17 Krzywe stopy

18 Prawda i dwie kosiarki do trawy

19 Kto sieje wiatr...

20 Nie płakałam, ale nie mogłam przestać

21 A potem to posprzątasz

22 Tam jest smutek dla ciebie, a tu jest jakiś dla mnie... o, musisz nosić swój smutek odmiennie

23 Czuły i przyczajony

24 Głębsza magia

25 Otwarte drzwi

O autorce

Przypisy

*Z wyrazami głębokiej wdzięczności i miłości dla moich drogich przyjaciółek:
Nancy Easton, Bethany Millard, Janice Meyer i Elizabeth Schwarz, które pomogły
mi stworzyć tę powieść – i wszystkie inne moje książki – podczas wielu lat długich
spacerów w Central Parku.*

Krótką charakterystyka członków rodziny Thomas-Harrison

LILA HARRISON – *była żoną* ROBERTA THOMASA (*obecnie są rozwiedzeni*)

ich trzy córki:

EMMA 22 lata

QUINN 21 lat

MATTIE 19 lat

LILA jest teraz żoną ADAMA RIGGSA

ich syn:

RAY 17 lat

(Adam ma też dwoje dwudziestokilkuletnich dzieci ze swojego wcześniejszego małżeństwa – ESTHER i GEORGE’A)

ROBERT jest teraz mężem EVIE STONE

ich córka:

SASHA 17 lat

MIEJSCA AKCJI

Dom nad stawem w Waincott, na południowym cyplu Long Island

Dom Lili i Adama w Brooklynie

Dom Roberta i Evie na Manhattanie

Blaski i cienie nieistniejącego związku

Zapach tego domu kojarzył mu się przede wszystkim z zapachem dziewczyny, której właściwie nie znał.

To nie była stara dwupiętrowa kamienica z elewacją z piaskowca na Carroll Street w Brooklynie, w której mieszkał niemal zawsze, lecz wielki dom nad stawem z widokiem na ocean, w miejscowości o nazwie Wainscott, na południowym cyplu Long Island. Przez większość życia spędzał w nim połowę każdego lata i połowę weekendów.

Ray siedział na podłodze swojej sypialni pośród stert książek, ubrań, starych zabawek, koców, kurtek nieprzemakalnych, przyborów wędkarskich i sprzętu sportowego i wdychał ich zapach, poszukując w tym wszystkim jej. Była to dobrze mu znana charakterystyczna, nostalgiczna woń szczęśliwego, wolnego lata spędzanego pod gołym niebem. Ale także nowy zapach, wzmacniany co tydzień cząsteczkami woni jej nowego szamponu, sukienki, błyszczyka do ust.

Przepełniony bolesnym uczuciem wstał i położył się na łóżku, gdzie jej zapach był zawsze najsilniejszy. Ta miła woń przywoływała wspomnienie kojącej nocnej pory. Zawsze miał tutaj dobre sny; niemal nigdy nie miał koszmarów, jakie dręczyły go, gdy spał w swoim łóżku w Brooklynie.

Leżał w szortach i podkoszulku, ale zwieszał poza krawędź łóżka zapiaszczone, brudne nogi, powodowany czymś w rodzaju respektu. Dawniej coś takiego nigdy nie przyszłoby mu do głowy.

Jednak od mniej więcej roku sypianie w tym łóżku, chociaż miłe, budziło w nim niepokój. Uroczy niepokój. Uroczą frustrację. Widocznie ten zapach z jego dodatkowymi nowymi odcieniami był tyleż kojący, co stymulujący. Ray nie był pewien, czym są te odcienie, ale pobudzały jego myśli w nowy sposób.

– Co tam u ciebie?

Usiadł na łóżku. Jego mama niemal równocześnie zapukała do drzwi i weszła.

– Już drzemałeś? – spytała.

– Nie. Ja tylko...

– Opróżniłeś całą szafę?

Spojrzał za siebie na wnękową garderobę.

– Większość. Staralem się nie ruszać rzeczy Sashy. Ale część jest pomieszana, a co do niektórych nie jestem pewien, czy należą do niej.

– Byłoby ci łatwiej przy świetle – zauważyła matka.

Przytaknął. Nie wymienił przepalonej żarówki prawdopodobnie od dwóch lat. A od znacznie dłuższego czasu nie sprzątał tego pokoju.

– Właściwie już skończyłem.

Matka rzuciła mu sceptyczne spojrzenie.

– Czyżby? Po prostu wywaliłeś wszystko na podłogę. Musisz zrobić z tym porządek.

– Właśnie dlatego wróciłem do łóżka.

Mama poprawiła bandanę na głowie. Spodnie miała powalane starymi plamami farby i gliny.

– Powinieneś zobaczyć kuchnię. Masz szczęście, że nie proszę cię, żebyś tam mi pomógł.

Wstał niechętnie.

– Dlaczego znowu się tym zajmujemy?

– Dziewczyny tak zarządziły.

– Dom wygląda dobrze.

– W przyszłym tygodniu ta druga rodzina też będzie sprzątać.

– Trzeba było ich namówić, żeby przyjechali pierwsi – powiedział z przekąsem.

– Ray, po prostu zabierz się z powrotem do roboty. Zostawiłam w holu torby na śmieci i pudła na rzeczy, które chciałeś schować. Kiedy już ogarniesz tutaj, możesz wynieść je do schowka i ustawić *porządnie* na półkach.

Przyjrzał się regalom wzdłuż ściany sypialni. On i Sasha przez lata mieli niepisaną umowę dotyczącą podziału szuflad, półek i miejsca w garderobie – i nigdy jej nie respektowali.

Niemal wszystkie książki należały do niej. Na półkach nadal stała jej cała kolekcja *Harry'ego Pottera*, a także *Opowieści z Narnii* i *Mroczne materie*. Ray uzupełnił kiedyś *Hobbitem* jej cykl *Władcy Pierścieni*. Przeczytał niemal wszystkie jej książki, z wyjątkiem tych naprawdę dziewczęcych, czasami równocześnie z nią. Wkurzał się, kiedy czytał którąś z nich – na przykład ostatni tom *Harry'ego Pottera* – a ona zabierała ją z powrotem do miasta, zanim skończył.

Wyjął torbę na śmieci i zaczął pakować do niej swoje stare komiksy i sterty szkolnych papierów. Pośród nich znalazł dawny test Sashy z fizyki (wynik 91%) i jej napisane odręcznie wypracowanie na temat powieści *Pajęczyna Charlotty*. Nikt nigdy nie pomyliłby jej starannego, zaokrąglonego charakteru pisma z jego ołówkowymi bazgrołami.

Wspólnie dzielili szafkę przeznaczoną na muszle morskie, kawałki szkła wygładzone wodą morską, kamyki z plaży, jaja mew i zęby rekinów. Nie potrafili by nawet w przybliżeniu określić, które z nich sam znalazł. Obydwoje z zapalem zbierali je na plaży. A poza tym przecież wszystkie te rzeczy należały do morza, nieprawdaż? Teraz wyrzucił kilka pokruszonych kawałków koralowca, a resztę pozostawił na miejscu.

Nie zawracał sobie głowy przeglądaniem komody – od ukończenia gimnazjum oddał całą do dyspozycji Sashy, z wyjątkiem najniższej szuflady ze

starymi swetrami i z bluzami od dresów, której używali oboje. Trzymał swoje nieliczne, nieprzyciągające uwagi ubrania na dwóch półkach i jednym wieszaku po lewej stronie w dużej szafie. Szafkę ścienną w łazience wypełniały w co najmniej dziewięćdziesięciu procentach przybory toaletowe Sashy. Ray nie miał tu prawie żadnych swoich głównie dlatego, że używał tych należących do niej. Lubił myć włosy szamponem Sashy, gdyż dzięki temu przejmował część jej zapachu. Od lat nie przywiózł też własnej pasty do zębów ani nici dentystycznych.

Do wyrzucenia było mnóstwo połamanych lub bezużytecznych rzeczy. Sporo czasu zabrało mu przejrzanie przyborów wędkarskich. Musiał przyznać, że zajmowały większą część szafy, niż mu przysługiwała, ale chętnie pozwalał Sashy ich używać, o ile tylko o nie dbała. Mieli też wspólną dziecięcą deskę surfingową i Ray czasami nadal na niej pływał.

A czy Sasha też? Nie wiedział, ale miał nadzieję, że tak. Zawsze sobie wyobrażał, że równie mocno jak on kocha to miejsce, ten staw, ten dziwny dom, to stare łóżko polowe pod świetlikiem.

Deski surfingowe, które trzymali w garażu.

Chociaż sypiali w tym samym (kojącym, niepokojącym) łóżku, spoglądali przez ten sam świetlik na ten sam księżyc, nie znali się nawzajem. Mieli trzy starsze przyrodnie siostry – Emmę, Quinn i Mattie – ale nie byli ze sobą spokrewnieni. Ojciec Sashy kiedyś, dawno temu, był mężem matki Raya.

Ray widywał Sashę niewyraźnie, z daleka, po drugiej stronie sali Radio City Music Hall, podczas kolejnych ceremonii ukończenia szkoły średniej przez ich starsze siostry. Nigdy nie zobaczył jej z bliska, ponieważ pary rodziców ich obojga tak rezerwowały miejsca i organizowały późniejsze przyjęcia, żeby nie musieli się poznawać. Podobnie wyglądały też imprezy urodzinowe ich sióstr. Zawsze były dwie oddzielne: jedna z ciastem *zucchini* domowej roboty i pomysłowymi prezentami przy kuchennym stole w domu w Brooklynie i druga z tamtą rodziną, odbywająca się zawsze w wynajętej sali jakiejś modnej restauracji, w której zwykły człowiek nie zdobyłby rezerwacji. Ray oczywiście nigdy nie uczestniczył w tych drugich przyjęciach.

Widział w domu zdjęcia Sashy z jej wczesnego dzieciństwa. Wypatrywał nowych, lecz od dawna żadne się nie pojawiły.

W ósmej klasie spróbował zaprzyjaźnić się z nią na Facebooku, ale odmówiła. To go najpierw zirytowało, później poczuł do niej szacunek, a w końcu doznał ulgi. W gruncie rzeczy nie chciał ujrzeć jej w taki sposób – jeszcze jednej dziewczyny pośród grona przyjaciółek w bikini, błyskających w uśmiechach aparatami korekcyjnymi i demonstrujących pacyfki w Paradise Island czy coś w tym rodzaju. Pragnął żywić nadzieję, że ona jest inna.

W dziesiątej klasie zlikwidował swoje konto na Facebooku, gdyż nie chciał oglądać w tym stylu także nikogo innego. Po pewnym czasie zaczęły go drażnić

falszywe wizje świetnej zabawy. Ray miał skłonność do surowego osądzania, a Facebook jeszcze to spotęgował. „Straszny z ciebie sztywniak” – powiedziała mu Mattie. Co nie było do końca prawdą. Używał Snapchata i Rapchata równie często jak jego przyjaciele.

Wiedział, że Sasha podjęła naukę w szkole dla dziewcząt w nowojorskiej Upper East Side, w której obowiązują mundurki. Mattie utrzymywała drwiąco, że na pierwszym roku są tam tylko czterdzieści dwie dziewczyny. Ray wyobrażał sobie Saszę w kusej plisowanej spódnicy, choć starał się nie robić tego zbyt często.

On poszedł do publicznej sprofilowanej szkoły w Fort Greene w Brooklynie. Na jego roku było 1774 uczniów, w tym niewiele plisowanych spódniczek.

Świat nowojorskich szkół prywatnych przypominał elitarny klub, w którym nie było miejsca dla Raya. Jego siostry należały do tego świata, ponieważ ich tata był bogaty. Dziwnie było pochodzić z odmiennej warstwy społecznej niż własna rodzina.

Tak więc Ray nie poznał Sashy poprzez żaden ze zwykłych kanałów. Czuł jednak, że zna ją w dawniejszy i głębszy sposób. Bawił się jej zabawkami, czytał jej książki, sypiał pod jej kocami, darzył miłością jej siostry i kłócił się z nimi. Niemal odnosił wrażenie, że ona jest jego częścią. Pod wieloma względami była jego idealną przyjaciółką: zawsze mu towarzyszyła i nigdy go nie rozczarowała. Nigdy nie dała mu okazji, by powierzchownie ją osądził.

Gdy zabrał się do porządkowania sterty butów, zaczął je sortować, ponieważ oboje zawsze tak robili. Nie potrafił sobie przypomnieć, które znoszone i już za małe sandały są czyje, więc wrzucił większość do worka na śmieci. Liczył, że Sasha nie będzie miała nic przeciwko temu. Kiedy był w dobrym nastroju, zawsze interpretował wszystko na jej korzyść. Będąc w złym humorze, czasami miewał o niej gorsze zdanie. Jednak nawet w najbardziej gniewnym, destrukcyjnym usposobieniu nie mógłby zniszczyć niczego wiążącego się z nią.

Jej stare kalosze. Jego. Kiedy byli mali, mieli stopy mniej więcej podobnej wielkości, więc mogli dzielić ze sobą obuwie – i niekiedy tak robili. Ale Sasha często nosiła specjalny but ortopedyczny, którego Ray nie powinien był nawet dotykać, i to budziło w nim nieoczekiwaną czułość wobec niej. Widząc rok po roku te kolejne buty, trochę bardziej toporne niż zwykle, stojące w szafie i gotowe do użycia, potrafił dokładnie wyobrazić sobie Saszę w takim bucie. W ciągu ostatnich kilku lat jego stopy urosły, a jej – na ile mógł się zorientować – pozostały całkiem małe.

Jej tenisówki, jego.

Stale dzielili pomiędzy siebie wszystko. Zgodnie z decyzją ich rodziców dzielili dom, rok, wakacje, jedzenie, papier toaletowy, dzielili się równo kosztami – a w każdym razie w założeniu równo. Pary rodziców rywalizowały ze sobą

w niemal wszystkich sferach podziału: sprzątanania domu, koszenia trawników, utrzymania basenu. Podział dotyczył nawet sióstr Raya.

Małżeństwo jego rodziców wyglądało na szczęśliwe i harmonijne. Ale jego matka Lila i ojciec Sashy, na wpół mityczny Robert Thomas, żyli od dawna w martwym związku małżeńskim. Ich burzliwy rozwód wywarł wpływ na życie obojga. Oprócz ich trzech córek ten dom na plaży był jedyną rzeczą, z której ani Lila, ani Robert nie potrafili zrezygnować czy jej podzielić.

To był trudny rozejm, podszyty zadawnionymi urazami. W trakcie roku szkolnego moment zamiany wypadał w niedzielę o północy, tak więc dom pozostawał pusty przez pięć dni tygodnia i mógł w tym czasie się zresetować, zapomnieć o jednej rodzinie i przypomnieć sobie drugą. Ale w lecie dom był stale zamieszkiwany. Moment zamiany przesunął się wtedy na niedzielne południe. Podczas tej upiornej godziny życia obydwu rodzin wpadały na siebie, co wystawiało na próbę elastyczność starego domu.

Latem istniało ekscytujące ryzyko zobaczenia tej drugiej rodziny, być może przelotnego ujrzenia ich wyjeżdżającego nowego samochodu. We wszystkie pozostałe niedziele w ciągu roku Ray wyobrażał sobie, że dom zachowuje ich nikłe zapachy w kuchni, drobne zmarszczki na powierzchni wody w basenie, może odrobinę ciepła w łóżku. Żelazną zasadą obowiązującą w lecie było to, że nigdy nie opuszczali domu plażowego w niedzielę później niż kwadrans po jedenastej rano i nigdy nie przyjeżdżali wcześniej niż za kwadrans pierwsza po południu. Nigdy naprawdę nie ryzykowali natknięcia się na tamtą drugą rodzinę. Przez pół roku połowa rodziny wiodła połowiczne życie w połowie domu. Gdyby połączyć obydwie te połówki, powstałoby coś w rodzaju całości. Ale nigdy do tego nie dochodziło.

W szafie stał rząd niewątpliwie dziewczęcych butów – płaskich rzemiennych sandałków i nowszych par szpilek. Nie było już żadnych topornych butów ortopedycznych. Raya przez chwilę zdziwił widok tych dorosłych pantofli. Spróbował przelotnie wyobrazić sobie noszącą je obecnie już starszą dziewczynę, ale nie trwało to długo i nie dotknął ich. Niedawno doświadczył w łóżku niepokoju, dlatego starał się nie wyobrazać sobie zbyt wyraźnie swej współlokatorki.

Jego domem był tylko dom w Brooklynie i Ray miał w nim własny pokój, a jednak nigdy nie czuł się tam sobą tak w pełni jak tutaj.

Przeniósł dwa pierwsze pudła przez rozsuwane szklane drzwi kuchni na brukowaną ścieżkę. Przeszedł nią za płot okalający basen i wszedł do domku przy nim. We frontowym pokoju znajdowały się sprzęty związane z plażowaniem – lodówka, półki na poduszki i wieszaki na ręczniki – ale większe, pozbawione okien pomieszczenie na tyłach było rodzajem magazynu, nieczęsto odwiedzanego.

Ray po omacku poszukał włącznika światła. Od dawna nie był w tym pomieszczeniu; unosiła się tu woń pleśni i zaniedbania.

Wpadł prosto na stare zakurzone łóżeczko dziecinne. Należało niegdyś do niego, a także do niej. Zobaczył plastikową płachtę, która nadal przykrywała materac dla niemowlaka, chroniącą przed wymiocinami. Jego wymiocinami, mówiąc ściśle.

Jakąż historię oboje dzielili, a zarazem jej nie dzielili. Dwoje niemowląt, które spały tutaj, dorastały wewnątrz tych prętów. Używały tego łóżeczka po równo, ale nigdy równocześnie.

Pod łóżeczkiem leżała sterta starych zabawek. Dlaczego później nigdy się nimi nie bawili?

Gdy przyjrzał się bliżej, ucieszył się, że tak właśnie się stało. Było tam szerokie plastikowe pudło pełne klocków Lego. Jednego wyjątkowo deszczowego lata i takiejże jesieni zbudowali z nich miasto – właściwie nie razem, lecz na przemian, uzupełniając je z tygodnia na tydzień. On wybudował port lotniczy, ona – ogród zoologiczny. Miasto miało dwa parki rozrywki, cztery place zabaw i bibliotekę, ale żadnej szkoły, jak sobie przypomniał, ani nawet sklepów. Pomiedzy nimi obojgiem jako planistami urbanistycznymi panowała naturalna harmonia. A okoliczności uniemożliwiały Rayowi, by zachowywał się wobec Sashy apodyktycznie lub narzucał jej swoją wolę. Nie miał wyboru i musiał zachowywać cierpliwość, pozwalać jej w pełni wykorzystywać jej kolej. Przypomniał sobie, jak każdego tygodnia po przyjeździe do tego domu wbiegał podeksytowany po schodach, aby zobaczyć, co dodała.

Kochał to miasto. Wściekał się i pieklił, gdy sprzątaczkę wynajętą przez drugą rodzinę rozebrały je tamtego roku tuż przed Świętem Dziękczynienia. Czy Sasha jeszcze pamięta ich miasto?

Były tam też piłki oraz miecze świetlne z od dawna wyczerpanymi bateriami. I kolejne pudło zawierające plastikowe figurki zwierząt, które wspólnie zbierali i dzielili ze sobą przez lata urodzin i Gwiazdek. Były zakurzone pluszowe zwierzaki, które Sasha darzyła łagodną miłością, a on używał ich jako pocisków. I samolot lalki Barbie, którym Ray publicznie pogardzał, ale potajemnie bawił się nim czasami podczas wlokącego się lipca, gdy oboje chorowali na ospę wietrzną.

Zanim wyszedł, musnął palcami pręty łóżeczka.

Pewnego razu, kiedy miał dziewięć czy dziesięć lat, ukradł z ich łóżka jeden z koców i zawiózł do swojej sypialni w Brooklynie, mając nadzieję, że koc tam również zachowa magię i odgoni złe sny. Ale zapach Sashy wkrótce się ulotnił i koc stał się po prostu kolejną rzeczą pachnącą jak Ray.

– O mój Boże, Quinn, nie zauważyłam cię. Jesteś jak domowa wróżka.

Quinn przycupnięta na biurku matki roześmiała się.

– Od jak dawna tu siedzisz? – spytała mama.

– Od kilku minut. Przyglądałam się, jak opróżniasz swoją szufladę ze skarpetkami.

Lila spojrzała na nią, unosząc brew.

– A potem wkładasz wszystko z powrotem – dodała Quinn.

– Więc jesteś tu już dość długo.

Quinn zauważyła, że jej matka nie potrafi pozbywać się rzeczy. Lila nie chomikowała ich, ale nagle któraś wzbudziła w niej sentyment, więc zamykała szufladę.

– A co z twoim pokojem? – spytała.

– Jest sprzątnięty.

– Cały?

– Nie mam zbyt wielu rzeczy.

Matka zastanowiła się nad tym.

– Rzeczywiście, nie masz – przyznała.

Ale to, co Quinn posiadała, przechowywała pieczołowicie. Od czternastego roku życia nie urosła, więc nie musiała kupować zbyt wielu nowych ubrań ani butów. Nie osądzała Lili, gdyż sama też nie lubiła pozbywać się rzeczy. Nie gdy wciąż nadawały się do użytku.

Mattie uwielbiała buszowanie po sklepach, ale Quinn nie. To kolejny powód, dla którego miała niewiele ubrań. W wielkich centrach handlowych i hipermarketach raziło ją jaskrawe światło i czuła się dziwnie wyczerpana. Mattie zaciągnęła ją kiedyś do sklepu sieci Target w Patchogue, lecz Quinn знаła siebie na tyle dobrze, by poczekać na zewnątrz.

Pomysł gruntownych porządków wywołał wiele narzekań, ale Quinn zrozumiała coś, czego inni jeszcze nie pojęli. Emma, najstarsza i najbardziej apodyktyczna z sióstr, nalegała na wysprzątanie domu, ponieważ się zakochała. Quinn domyślała się, że Emma patrzy teraz w nowy, odmienny sposób, wyrwana ze zwykłej rutyny widzenia. Że pragnie, aby wszystko wyglądało lepiej.

Emma nie przyznała się jeszcze do tej miłości. Quinn nie wiedziała, kto jest obiektem uczuć siostry, ale była pewna, że to ktoś dla niej ważny.

– Może posprzątałabyś gabinet – zaproponowała Lila.

– Dobrze. Mogę to zrobić – odrzekła Quinn.

Cały dom nosił ślady po dziadku Harrisonie, ale najwięcej ich było w gabinecie. Na ścianie tego pokoju wyłożonego sękatymi deskami sosnowymi wisiały przytwierdzone plecionym drutem przynęty myśliwskie i kawałki drewna wyrzucone na brzeg przez morze. W rogu mieścił się barek z od dawna zepsutą kostką do lodu z lat siedemdziesiątych. Większość półek zapełniały książki w twardych okładkach, takie jak *Kto jest kim w Ameryce* i *Rejestr elit towarzyskich*.

Quinn nigdy nie odczuwała żywej obecności dziadka Harrisona w tym domu. Między innymi dlatego, że dziadek zmarł, ale nie to stanowiło główny powód. Za życia był staroświeckim wyrzutkiem i bankrutem. Obecnie rodzina zmagala się tylko z pozostawionymi przez niego rzeczami, a ponieważ nie przeszkadzały

zbyt i nie rzucały się w oczy, zachowywano je na lepsze czasy.

Odwróciła się do sterty kartonowych segregatorów w kącie za biurkiem. Zawierały zdjęcia, prawie wyłącznie negatywy i odbitki. Wyjęła kilka różnych kopert i trzymając je, usiadła ze skrzyżowanymi nogami na podłodze.

Pierwsze pudło wypełniały głównie zdjęcia jej dziadków w wiejskim klubie z przyjaciółmi. Było jasne, że oboje uwielbiali golfa i koktajle. Kilka fotografii przedstawiało sztywno upozowaną rodzinę z małą Lila i jej jeszcze drobniejszym bratkiem Malcolmem, którzy stali z zakłopotanymi minami w niewygodnych ubrankach.

Teraz wuj Malcolm mieszkał na pustyni w Nowym Meksyku z wietnamską żoną i ich dwuletnim synkiem Milem. Twierdził, że nie cierpi Wschodniego Wybrzeża, i wracał tu możliwie jak najrzadziej. Można się było domyślić dlaczego, widząc go na tym zdjęciu w koszuli zapiętej ciasno pod szyję, grubym wełnianym wdzianku dziecięcym i czarnych topornych półbutach.

Następne pudło zawierało zdjęcia rodziców Quinn z krótkiego okresu ich wspólnego życia. Jedno, zrobione na trawniku tego domu, ukazywało Lilę z prostymi jasnymi włosami sięgającymi aż do pępka i śniadego Roberta w dżinsach i podkoszulku, wyglądającego tak młodo jak chłopiec. Ale patrzyli w przeciwne strony, jakby pragnęli odmiennych rzeczy. Jeśli uważnie przyjrzało się temu zdjęciu, można było dostrzec, że ona jest wojownicza, a on pełen entuzjazmu. Ona chciała wykorzystać go – jego indyjskie pochodzenie – aby zaszokować swoich rodziców i wstrząsnąć ich systemem wartości. On natomiast pragnął stać się częścią tego systemu.

Po kilku miesiącach Lila zaszła w ciążę. Pobrali się i wkroczyli gwałtownie w następny etap swojego życia, w którym zapadły wielkie decyzje, zanim w ogóle zamierzali je podjąć. Zgodnie z przewidywaniami dziadek Harrison był zszokowany i przerażony tym, że jego córka zaszła w ciążę z brązowoskórym młodym mężczyzną, jeszcze przed ślubem, i przypuszczalnie urodzi brązowoskóre dziecko.

Kilka lat później, kiedy Robert „wyratował go z opresji”, dziadek Harrison przekonał się do niego. W istocie zaczął go traktować jak bohatera – nawet po tym, jak rozwiódł się z Lilą. Robert odniósł w interesach sukces, jakiego dziadek nigdy nie zdołał osiągnąć. „Robert myśli, że może każdego kupić” – mówiła Lila. Lubiała Roberta bardziej wówczas, gdy jej ojciec go nienawidził.

Kiedy minął szok, małżeństwo zaczęło się psuć. Quinn bardziej to wyczuwała, niż wiedziała. Była dziwnie cierpliwym dzieckiem o szeroko otwartych oczach, które tkwiło pod stołami lub w kątach, a potem zaszywało się z zasłyszonymi informacjami w swoim pokoju czy pod ulubionym drzewem i usiłowało rozeznać się w sytuacji. Przez pewien czas jej rodzice obrzucali się nawzajem oskarżeniami, wykrzykiwali przekleństwa, prowadząc wojnę o prawo do

opieki nad dziećmi, a kiedyś po zmroku w domu zjawili się trzech funkcjonariuszy policji. W pudełku nie było żadnych zdjęć z tego okresu. Jak się zdaje, jej siostry nic z tego nie wiedziały albo nie pamiętały, a Quinn wołała, by tak pozostało.

Później zawarto nowe małżeństwa, w jednym miesiącu urodziło się dwoje dzieci i po obydwu stronach podziału zakwitło szczęście. Pomiedzy rodzicami Quinn zapanował długi okres zacieklej ciszy. Ich walka nadal trwała, ale skryta, podstępna i milcząca.

Jedno zdjęcie na dnie pudła przykuło uwagę Quinn. Było małe, kwadratowe, z ząbkowaną obwódką, mniej ostre niż pozostałe.

Przedstawiało twarz młodej dziewczyny, nieco odwróconą, z nikłym, nieśmiałym uśmiechem. Quinn zaczęła drzeć ręką, w której trzymała zdjęcie. Nigdy dotąd nie widziała tej twarzy, a jednak jakby zawsze ją sobie wyobrażała. Ciemne włosy dziewczyny były ściągnięte do tyłu w kok; miała wielkie czarne oczy o wyrazistym spojrzeniu. Z boku jej nosa widniała błyszcząca metalicznie kropka; pomiędzy ciemnymi, mocno zarysowanymi brwiami znajdował się odciśnięty symbol *bindi*, jak u indyjskich kobiet. W uszach nosiła misterne kolczyki z kutego złota.

Quinn wbiegła po schodach najszybciej, jak mogła.

– Słuchaj, mamó, kto to jest?

Lila uważnie przyjrzała się fotografii. Potem odwróciła ją, szukając daty.

– Znalazłaś to w gabinecie?

– Na dnie jednego z pudeł ze zdjęciami.

– O rany. Nie wiem, jak ono się tam znalazło – powiedziała Lila. Popatrzyła jeszcze uważniej. – O ile wiem, to zdjęcie twojej biologicznej babki. Przesłano je razem z dokumentami adopcyjnymi twojego ojca.

– Wiedziałam. Wystarczy spojrzeć na jej twarz.

– Boże, jesteś trochę podobna do niej, nieprawdaż? Te oczy!

– Emma trochę też. Ten dumny wyraz ust, co?

Kobieta była piękna. W niesamowity sposób przypominała Sashę, jednak Quinn nie powiedziała tego głośno.

– Rzeczywiście – przyznała Lila.

– Tak często żałowałam, że nigdy jej nie widziałam. Cóż za dziwny szczęśliwy przypadek. Znasz jej nazwisko? Wiesz coś o niej?

Lila przybrała ostrożny wyraz twarzy.

– Powinnaś oczywiście zapytać swojego ojca. On z pewnością ma papiery z agencji w Kanadzie, która po wojnie wysyłała niemowlęta z Bangladeszu. Tych dokumentów nie było wiele, ale pamiętam kilka i to zdjęcie. – Ponownie mu się przyjrzała. – Nie widziałam go od czasu, gdy byłyście maleńkie. Nie zdawałam sobie sprawy z podobieństwa. Boże, myśl o niej niemal przyprawia mnie o łzy.

Quinn poruszyło to, jaki zamęt uczuć dostrzegła na twarzy matki. W ich

rodzinie trudno było oddzielić miłość od nienawiści. Miłość Lili do jej córek i ich przodków, to, że pragnęła dla nich szczęścia, musiało też choć w drobnej części obejmować ich ojca, którego Lila nie znosiła i unikała. Pomimo wszystkich barier, jakie rodzice Quinn wznieśli pomiędzy swoimi zyciami, tych naprawdę istotnych nie dało się na zawsze utrzymać.

– Zapytam tatę – powiedziała Quinn.

Lila rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie.

– No cóż, to nie jest coś, o czym twój ojciec lubi rozmawiać. A przynajmniej nie przywykł do tego.

– Wiem. – Quinn ostrożnie wzięła do ręki fotografię. – Ale tak czy inaczej, muszę to zrobić.

Czasami Sasha czuła się w tym domu szczególnie obco. Okolica była piękna – nadmorski pejzaż, olbrzymie drzewa, na które można się wspinać, bujne trawniki i uroczy staw z wodą z oceanu. Nieprzytomnie uwielbiała to miejsce, wyczekiwała niecierpliwie przez długie tygodnie, gdy mieszkała tu druga rodzina, aż znowu nadejdzie ich kolej, i tęskniła za pierwszym widokiem koron drzew sklepionych łukiem nad podjazdem. Ponieważ jednak dzielili ten dom z Riggsami, najdrobniejsze rzeczy mogły sprawić, że zaczynała czuć się tutaj jak intruz i stawała po niewłaściwej stronie rodzinnych sojuszy.

Ojciec chętnie jej przypominał, że dom należy do niej i Evie tak samo jak do pozostałych właścicieli. Nie lubiła, kiedy tak mówił, ale to robił. Dom zbudował dziadek Lili na terenie kupionym przez jej pradziadka. W latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku ojciec Lili przebudował go, ozdabiając boazeriami z sękatych desek sosnowych, drewnem wyrzuconym przez morze na brzeg, i instalując barki z alkoholem w niemal każdym pokoju.

Lila była pierwszą żoną ojca Sashy, zanim poznał jej mamę Evie. Była matką sióstr Sashy (no dobrze, przyrodnicich sióstr) oraz Raya. Z Rayem nie łączyły Sashy żadne więzy pokrewieństwa, ale był jej rówieśnikiem, współlokatorem pokoju w tym domu plażowym i (równie dobrze mogła to przyznać) bardzo dla niej ważnym nieznajomym. Lila była dla Sashy tylko potomkinią rodu Harrisonów i autorką dziwacznych wyrobów rękodzielniczych.

Kiedy Sasha dorosła już na tyle, by zacząć się zastanawiać nad tymi sprawami, zapytała ojca, dlaczego po rozwodzie dom po prostu nie dostał się Lili, dlaczego oni troje mieszkają w nim co drugi tydzień.

– Ponieważ zanim uzyskaliśmy rozwód, ojciec Lili przestał być jego właścicielem – odpowiedział tata rzeczowym tonem. – Dziadek Harrison był durniem i pijakiem. Gdybym nie spłacił jego długów i nie odkupił od niego domu, musiałby ogłosić bankructwo i przenieść się do przytułku.

Sasha pamiętała, że zastanawiała się wtedy, czy tata ma podobnie złe zdanie o jej siostrach.

Chociaż dom nadal nazywano w miasteczku rezydencją Harrisonów, tata zawsze sprawiał wrażenie, jakby wyświadczał Lili uprzejmość, pozwalając jej mieszkać tutaj przez połowę czasu. Jednak Sasha wiedziała również, że pomiędzy jej tatą a Lilą nie ma nigdy miejsca na żadne uprzejmości.

Dziadek Harrison mógł wprawdzie być durniem i pijakiem, ale tata Sashy nie zadał sobie trudu, by pozdejmować portrety najbardziej szacownych przodków Lili, wiszące na klatce schodowej. Sasha rozmyślała o tym, mijając wizerunki tych starych mężczyzn w garniturach lub togach, którzy podpisywali dokumenty,

wydawali wyroki albo ustanawiali fundacje i zdawali się w dumnym milczeniu ignorować jej obecność. Byli przodkami Lili i jej córek. A także Raya.

– Czy nie irytuje cię, że ci mężczyźni z rodu Harrisonów osądzają cię wzrokiem, ilekroć schodzisz po schodach? – spytała kiedyś Sasha tatę.

Robert wzruszył ramionami, jakby nigdy się nad tym nie zastanawiał.

– Lubię te obrazy. Stanowią łącznik z naszą przeszłością – odrzekł bez żadnej wyraźnej nuty ironii.

Sasha była zbyt osłupiała, by zdołać cokolwiek na to odpowiedzieć. Czy on naprawdę wmówił sobie, że przodkowie Lili są też jego przodkami? Pomimo że prędzej przekłębiliby go za jego brązową skórę, niż zechcieliby uścisnąć mu dłoń? Robert brał od świata to, czego pragnął, a reszta go nie obchodziła. To z pewnością swoisty talent.

Sasha znalazła matkę w kuchni szperającą w szafce pod zlewem pośród mocnych worków na śmieci. Ich rodzina pod kierunkiem Emmy, najstarszej siostry Sashy, wykonywała swoją część Wielkiego Sprzątania, rozpoczętego przed tygodniem przez Riggsów. Evie wyjęła z szafki jakiś przedmiot zrobiony z pogiętej gęstej siatki ogrodzeniowej, w którym tylko z trudem rozpoznawało się mydelniczkę.

– Myślisz, że można to wyrzucić? – spytała.

– Tak – odrzekła Sasha.

Czasami nie cierpiała niezdecydowania matki. Nie cierpiała też własnego niezdecydowania. Zła strona rodzinnych sojuszy dotyczyła przede wszystkim Evie.

– A co, jeśli tę mydelniczkę zrobiła Lila?

Sasha się roześmiała. Nie była pewna, czy mama żartuje. Poza tym nigdy nie miało się pewności, które z dziwacznie wykonanych przedmiotów były dziełem Lili, a które nie.

– Jeśli tak, powinno jej szczególnie zależeć na tym, by ktoś się tego pozbył.

– No nie wiem...

Sasha z demonstracyjną śmiałością odebrała mamie mydelniczkę i wrzuciła do najbliższego worka na śmieci.

Matka zaczęła w nim grzebać, żeby ją wyjąć.

– Uważam, że powinniśmy ułożyć na kupkę rzeczy, których nie jesteśmy pewne, i zapytać Emmę.

– Tej jesteśmy pewne – rzekła Sasha cierpkim tonem.

Sprawiło jej przykrość rozróżnienie czyniące Emmę, Quinn i Mattie – a nawet Raya – arbitrami w kwestii pogiętych drucianych mydelniczek, a ją nie. Nie dlatego, że nie lubiła swoich sióstr, lecz właśnie dlatego, że je kochała. Nie chciała być po innej stronie barykady niż one.

Wiele rozmyślała o tym braku przynależności. Ciekawiło ją, czy one w ogóle kiedykolwiek zastanawiają się nad tą kwestią. Mocno podejrzewała, że nie. To był

jeden z tych przypadków niedopasowania – wyobrażanie sobie nieistniejącej relacji.

Ojciec powiedział jej kiedyś, że mieszkańcy północnych obszarów Stanów Zjednoczonych rzadko myślą o wojnie secesyjnej i w niewielkim stopniu identyfikują się z unionistami, ponieważ zwyciężyli w tym konflikcie i zapomnieli o nim. Sasha miała wrażenie, że na gruncie tej analogii ona należy do konfederatów Południa.

Wydawało się to smutnym aspektem ludzkiej natury – poświęcanie o wiele więcej czasu na rozważania na temat tego, czego nie mamy lub co utraciliśmy, niż na temat tego, co mamy. Najwidoczniej Sasha nie odziedziczyła po ojcu jego osobliwego daru selektywnej pamięci.

Wyrzała przez rozsuwane szklane drzwi salonu na ścieżkę wiodącą do stawu, ocienioną olbrzymimi starymi lipami. Wiedziała, że później będzie żałować, że nie doceniła dni spędzonych tutaj. Usiłowała wzbudzić w sobie to uczucie wdzięczności, uruchomić je mentalnie niczym zaburtowy silnik łódki. Jednak niełatwo było się do tego zmusić.

Czy w ogóle możliwe jest dostrzeżenie piękna bieżącej chwili? A może to wymaga dystansu czasowego, poczucia utraty i nawet odrobiny cierpienia?

– Sprzątnęłaś już swój pokój? – spytała matka.

Sasha nalala sobie szklankę wody i wypila.

– Ray wykonał zaskakująco staranną pracę. Musiałam tylko dokończyć sprzątanie łazienki. Wracam na górę. Mam tam lakier do paznokci jeszcze z piątej klasy.

– Ale chyba nie ten żółtozielony?

– Owszem, ten, a także zestaw smakowych pomadek do ust, między innymi Cheetos, oraz błyszczak o smaku bekonu.

Matka potrząsnęła głową.

W łazience Sasha opróżniła większość zawartości szafki ściennej. Zawahała się przy bekonowym błyszczaku, ale niezbyt długo. Niemal pożałowała, że nie może zabrać go oraz mnóstwa innych przedmiotów, których się pozbywali, i urządzić garażowej wyprzedaży. Przypomniała sobie, jak bardzo dawno temu Emma ustawiła stół u wylotu ich podjazdu przy szosie Eel Cove i sprzedawała swoje stare rzeczy po kilka dolców. Ale nawet wówczas w tej okolicy tego rodzaju wyprzedaż wydawała się czymś prawie nie na miejscu, a tym bardziej teraz.

Stojąc tam w łazience, Sasha wiedziała, że to nie widok tandetnych smakowych pomadek do ust wzbudził w niej uczucie nostalgii, lecz rzeczy nienależących do niej: pozbawionej zakrętki tuby wyschniętej maści do nóg dla sportowców, przedmiotów walających się na półkach, małych włosków po goleniu w białej umywalce.

Ray nie był wymarzoną współlokatorą. W dzieciństwie słyszał z tego, że

często wymiotował. W każdym razie wszyscy tak twierdzili, a Sasha nieraz natknęła się na dowody. Później zaczęło się sikanie na deskę sedesu, zostawianie tubek zaschniętej pasty do zębów z od dawna brakującymi zakrętkami (dlaczego on nigdy nie potrafił niczego zamykać?), włosy w odpływie prysznic, a od mniej więcej roku pojawiły się włoski po goleniu w umywalce.

– Dziwne jest dzielenie pokoju z chłopakiem – zauważyła jej przyjaciółka Willa, stojąc przy umywalce, kiedy spędzała u niej noc.

– Nie dzielę z nim pokoju. Nigdy go nawet nie poznałam – wyjaśniła Sasha z zakłopotaniem.

Była to prawda, aczkolwiek nie cała. W gruncie rzeczy dziewczyna dzieliła z Rayem pokój. I łazienkę – na dobre, a przeważnie na złe. A nawet więcej. Dzieliła z nim życie, przynajmniej we własnym mniemaniu. Książki, zabawki i piasek na prześcieradłach. Wspólnie kolekcjonowaną menażerię miniaturowych plastikowych figurek zwierząt. Muszle morskie, siostry, widok księżycy. Być może nie znała Raya, ale jakże często o nim myślała. Jakże często żyła jego życiem w tym pokoju, w tym domu należącym do nich obojga.

Dawniej pragnęła go poznać, wyobrażała sobie, że się z nim bawi, że wymyśla gry, którymi mogliby wspólnie się cieszyć. Odczuwała wręcz fizyczną zazdrość o to, że jej siostry mają w nim brata, a ona nie.

Później jednak zaczęła myśleć, że to, iż nigdy go nie poznała, jest dogodniejsze. Miał wszystkie zalety wymaganego przyjaciela. Był cierpliwy, współczujący, wyrozumiały, milcząco dzielił z nią rzeczy i miejsca. Nigdy nie był samolubny, hałaśliwy ani agresywny. Nigdy nawet się jej nie sprzeciwiał. Był dokładnie taki, jakiego chciała, a czasami potrzebowała.

Tak więc w tym sensie był wymarzoną współlokatorem.

Emma nie miewała sekretów. Lubiła myśleć, że zawdzięcza to swojemu dobremu usposobieniu, ale wynikało to także z tego, że była kimś w rodzaju nudziary. Domatorką stosującą się zawsze do obowiązujących reguł i ceniącą porządek. Sprawiało jej przyjemność robienie tego, co mniej lub bardziej należało do jej obowiązków. Pragnęła tylko mieć pewność, że dostanie za to szóstki.

– Spotkam się z tobą na rogu MacDougal i Prince – szepnęła przez telefon. – Jeśli wyjdiesz z biura za dziesięć minut, dotrzemy tam równocześnie.

– Kocham cię – powiedział Jamie.

– Ja ciebie też.

– Em? – zagadnęła ją matka stojąca w ciemnym holu ich brooklyńskiego domu.

Doprawdy, można było usłyszeć każde wypowiedziane tutaj słowo. Szeptanie na niewiele się zdawało.

– Tak?

– Kto to był?

– Nikt. Przyjaciółka – odrzekła Emma, sięgając po torebkę.

– Znów wychodzisz?

– Aha. A potem przenocuję u taty.

Emma zaczęła schodzić po skrzypiących schodach, a mama podążyła za nią.

– Znowu? Dlaczego? – spytała matka z urażoną miną.

– Ponieważ udaję się na Manhattan i tak po prostu będzie mi łatwiej.

– Dawniej nigdy nie lubiłaś zostawać na noc w tym nowym domu.

– No cóż, mam tam pokój. A tata naprawdę lubi, gdy go odwiedzam.

Na twarzy Lili odbiły się sprzeczne uczucia.

– Czyli tutaj nie masz już swojego pokoju?

– Tego nie powiedziałam.

W rzeczywistości Emma nie zamierzała nocować u taty, jednak matka miała się nigdy o tym nie dowiedzieć. Lila prędeej zadzwoniłaby do Donalda Trumpa niż do byłego męża. Emma nie znośiła wykorzystywać wzajemnej wrogości rodziców, jak zawsze czyniła Mattie, ale czasami istotnie okazywało się to przydatne.

– Wrócisz rano do Waincott?

– Tak. W południe zacznę tam pracę – odrzekła Emma.

Mama odprowadziła ją aż do drzwi wejściowych, co było trochę krępujące.

– Dlaczego stale jeździsz do tego miasteczka? – zapytała żalonym tonem. – Przez kilka ostatnich wakacji nie wracałaś tam nigdy, o ile nie musiałaś.

– Mamo, jestem już *dorośła*. – Emma wiedziała, że ton, jakim to powiedziała, podważał sens tych słów. – Ukończyłam college. Mam sprawy,

którymi muszę się zająć. – Wyciągnęła ręce i uściskała matkę. – Kocham cię. Spotkamy się tam w poniedziałek, jeśli nie wcześniej.

Lila trzymała ją w objęciach dłużej niż zwykle.

– No dobrze, dobrze.

Stała w drzwiach i przyglądała się, jak córka zeszła z werandy i skręciła na wschód, w stronę metra.

Emma się obejrzała.

– Mamo, o co chodzi?!

– O nic. Po prostu... liczę, że spośród moich dzieci przynajmniej ty jedna nie masz przede mną tajemnic.

Mattie ponownie napełniła słonecznikami wiadra na blacie długiej drewnianej lady straganu Reese'ów stojącego w cieniu dwóch olbrzymich dębów, na skraju rodzinnej farmy Reese'ów przy szosie Parsonage w Sagaponack na Long Island. Spryskała wodą główki sałaty ułożone starannie na półkach. Czerwiec to dobra pora dla sałaty. Przez cały ranek jej siostra Quinn oraz Matthew Reese i Patsy znosili z pól botwinę, jarmuż, rukolę, szpinak i sałatę na wielkie stoły ocienione brezentowymi plandekami za straganem farmy, podczas gdy Mattie dzieliła to wszystko na pęczki i wiązała czerwonymi gumkami.

Była to też dobra pora dla truskawek. Mattie wyjęła je z pojemników i włożyła do zielonych kartonowych pudełek na jagody. Palce, którymi naciągała gumowe recepturki, miała już ciemnoczerwone od soku truskawek, gdy o pierwszej po południu zamieniła się miejscami z Daną, która schodziła z przodu straganu; o tej porze był wystawiony na ostre promienie słońca w zenicie.

– Twoja kolej – powiedziała śpiewnym tonem Dana, podkradając na odchodnym truskawkę.

Mattie strzeliła jej w tył głowy gumką.

Zachowała się jak idiotka, ale przy Danie wydawała się Albertem Einsteinem. Dana używała kalkulatora, żeby dodać dwa dolary do siedmiu. Umieszczała na Instagramie zdjęcia każdego tandetnie szpanerskiego samochodu zajeżdżającego pod stragan, najchętniej z fragmentem jej głupkowatej twarzy wepchniętym w kadr. Połowa tych zdjęć była całkiem rozmazana, ponieważ samochody się poruszały.

– Jak idzie sprzedaż, Matildo?

Mattie, mrużąc oczy przed blaskiem słonecznym, spojrzała na panią Reese. Jej wnuk Matthew Reese, obecnie dwudziestoparoletni, kierował farmą, ale pani Reese, kobieta co najmniej osiemdziesięcioletnia, nadal skrupulatnie wszystkiego doglądała.

– Całkiem dobrze. Przez ostatnią godzinę sprzedaliśmy ponad dwa tuziny pudełek truskawek. Wygląda na to, że sezon naprawdę się zaczyna.

– Widzę, że może nam zabraknąć truskawek. Czy Matthew o tym wie?

– Tak, proszę pani. Przyniesie więcej. Quinn i Patsy właśnie je zbierają.

– Nikt nie kupuje słoneczników?

– Właśnie przed chwilą włożyłam do wiader nowe.

– Co u twojej matki? Nadal odbiera porody?

– Tak, kilka. Ale stara się w lecie nie przyjmować zbyt wielu zleceń.

Pani Reese skinęła głową. Jej pomarszczona twarz rzadko zmieniała wyraz.

– To dobrze – wymamrotała niewyraźnie.

Stara kobieta zawsze pytała Mattie o Lilę, ale nigdy o jej tatę ani o jej ojczyzna Adama. Okazywała w ten sposób subtelną dezaprobatę wobec faktu, że obydwaj nie byli „ludźmi stąd”, oraz dodatkowo wobec tego, że tata Mattie nie jest biały, a Adam nie jest chrześcijaninem.

Mattie zobaczyła, że Matthew i Quinn dźwigają na wzgórzu ostatnie dwie skrzynki truskawek. Matthew nosił wyblakłą niebieską bandanę zawiązaną na szyi, co w przypadku każdego innego wyglądałoby absurdalnie, jemu jednak było w tym niepokojąco do twarzy. Jego włosy pojaśniały od słońca, a skóra już zbrązowiła. Znano go na całym East Endzie – i nie bez powodu. W miasteczku krążył dowcip: czy panie zatrzymują się na farmie Reese’ów ze względu na kukurydzę, czy na Matthew?

Quinn miała na sobie stary kitel i bezrękawnik. Jej czarne włosy ścięte krótko w stylu pixie były wilgotne od potu i przylegały do karku. Ona i Matthew prowadzili rozmowę w tempie mili na minutę, mimo to Mattie nie mogła się zorientować, o czym mówią.

– Czy Dana już poszła? – zawołał do niej Matthew.

– Tak – odpowiedziała Mattie.

– Możesz wkładać te truskawki do pudełek i jednocześnie mieć oko na przód straganu?

Mattie się skrzywiła. Nie znosiła, kiedy próbowano ją nakłaniać do wykonywania dwóch prac naraz.

– Spory tu ruch.

– Na parkingu nie ma nikogo – zauważył Matthew.

– Ale przed chwilą była tu kupa ludzi – rzuciła ostro Mattie.

Nie cierpiała mówić takim tonem, ale miała za sobą ciężki dzień.

– No dobrze, księżniczko – rzekł z westchnieniem Matthew. – Ja zajmę się truskawkami.

Mattie pragnęłaby, żeby nazwał ją tak, flirtując z nią, ale wiedziała, że był po prostu zirytowany.

Oczywiście Quinn mu pomogła. Oboje wprawnie posortowali truskawki i umieścili w pudełkach; jednocześnie Quinn zabawiała Matthew opowieścią o tym, jak poprzedniego dnia pomogła dzieciakowi na Main Beach. Chłopiec złapał na haczyk dziecięcej wędki ponadmetrowego skalnika prądkowanego i razem

wyciągnęli go z wody.

Mattie siedziała z kwaśną miną z przodu straganu, do którego nie podjeżdżały teraz żadne samochody, i przysłuchiwała się magicznej gawędziarce Quinn w akcji, na próżno usiłując ukryć zaniepokojenie.

Jeden z problemów polegał na tym, że nie można było gniewać się na Quinn, bez względu na to, jak bardzo by się chciało. Nigdy nie była nudna, przewidywalna, próżna ani samolubna.

Co więcej, nie można też było jej zazdrościć w żaden konwencjonalny sposób. Quinn nie flirtowała z Matthew. Ani trochę. Po prostu darzyła go szczerą przyjaźnią, podobnie jak panią Reese, a spośród całej tej rodziny najgłębsza, najbardziej niewzruszona przyjaźń łączyła ją ze starym panem Reese'em, który siadywał w oknie salonu w wózku inwalidzkim.

Quinn żyła we własnym rytmie, wyjadała połowę zasiewu pietruszki w szklarni, jeździła w kółko rowerem w stodole i ubierała się jak Cyganka. A jednak rodzina Reese'ów ją podziwiała i prosiła, żeby wracała tutaj każdego lata. Quinn odmawiała pracy z przodu straganu przy obsłudze klientów, lecz klienci i tak ją uwielbiali. Sadziła i podlewała rośliny według własnej osobliwej teologii, jednak owoce i warzywa najwyraźniej też ją kochały.

Mattie codziennie przychodziła do pracy punktualnie. Nigdy (no, prawie nigdy) nie rozmawiała przez komórkę, a esemesy wysyłała tylko, jeśli akurat nie było żadnych kupujących. Splatała jasne włosy w dwa śliczne warkocze i nosiła krótko obcięte dżinsy, ukazując zarówno pracownikom, jak i klientom swoje długie nogi. Ale Reese'owie jej nie kochali, może z wyjątkiem Camerona, osiemnastoletniego brata Matthew, który jednak był nieokrzesanym prostakiem.

A co najważniejsze, nie kochał jej Matt Reese. Nie uważał za urocze tego, że mają niemal takie same imiona. Nazywał ją księżniczką bez odcienia flirtu i powiedział, żeby przestała się tak zaciekle opalać.

Tenże Matt, sapiąc ciężko, balansował teraz wielką stertą pudełek z truskawkami, po czym zaczął je układać na półkach wystawowych.

– Mogę zrobić przynajmniej tyle – oświadczyła Mattie.

– Jaka z ciebie wzorowa pracownica – odparł.

Mattie strzeliła mu w ramię czerwoną gumką, czym ostatecznie pograżyła się w jego oczach.

Najtrafniej ujęła rzecz Emma. Powiedziała kiedyś: „Wszyscy najbardziej kochają Quinn, chociaż wcale o to nie zabiega”.

Gra, w której wygrywa tylko jedna strona

Najmłodszy brat i siostra Emmy urodzili się w odstępie dwóch tygodni; idealna zbieżność w czasie. Tutaj, w Wainscott, sypiali w tym samym dziecięcym łóżeczku, zmieniano im pieluchy na tym samym stole. Byli kimś w rodzaju bliźniąt, tyle że zarazem stanowili swoje przeciwieństwa. Nigdy nawet nie poznali się nawzajem. W życiu ich starszej siostry istnieli zawsze naprzemiennie; nigdy nie przebywali równocześnie w tym samym miejscu.

– Oni w ogóle się nie znają? – zapytał ją Jamie ubiegłego wieczoru podczas kolacji na Manhattanie.

– Tak. Mówiłam ci. Moi rodzice całkowicie się unikają – odrzekła Emma.

Wcale nie wydawało jej się to dziwne, że kocha ludzi, którzy wzajemnie się nie kochają. Przywykła do tego.

– Ale Ray i Sasha dzielą ze sobą pokój w Wainscott? – dopytywał się.

– Nie jestem pewna, czy „dzielić” jest właściwym słowem. Nigdy nie przebywają tam równocześnie, ale chyba można tak powiedzieć. Mieszkają zawsze w tym samym pokoju – odrzekła Emma. Często zapominała, jak osobliwe stosunki panują w jej rodzinie. – Kiedy urodziła się Sasha, moja macocha urządziła w Wainscott kompletny pokój dziecięcy. A wiesz, jaka jest Lila. Nie miała nic przeciwko układaniu malutkiego Raya w łóżeczku udekorowanym na różowo i żółto, jeśli to oznaczało, że nie będzie musiała kupować nowych ozdób.

Emma uważała, że jej brat i siostra są przeciwieństwami, które wzajemnie się równoważą. Sasha miała śniadą cerę, Ray miał jasną. Sasha była drobna, Ray był duży. Sasha pierwsza zaczęła mówić, a Ray – chodzić. Sasha miała problemy z nogą, a Ray do piątego roku życia lekko seplenił, wymawiał „pęc” zamiast „pączek”, „bazant” zamiast „bażant”. Rodzina nazywała to Rayomową.

Tych dwoje dzieci nie miało wspólnych rodziców ani genów, więc to Emma prowadziła te obserwacje. Sasha miewała kolki, ale to Ray często wymiotował (przez pierwszy rok mówiono, że nie przyjmuje jedzenia).

Mattie zawsze faworyzowała Raya, ponieważ był bratem, co wydawało się jej nowe i ekscytujące. Emma i Quinn uważały więc, że powinny zachowywać większą bezstronność.

Emma opiekowała się obydwójkiem, chociaż nie byli jej za to wdzięczni. Kiedy Ray robił się gburowaty i arogancki, przywoływała go do porządku. Kiedy Sasha wycofywała się i traciła wiarę w siebie, starała się podnieść ją na duchu. Martwiła się, gdy w szkole dostawali złe stopnie (Ray) albo separowali się od grupy (Sasha). Martwiła się, gdy z nikim się nie umawiali (Sasha) lub umawiali się z kimś głupim i bezwartościowym (Ray + Violet).

Tego ranka Emma, pakując w Brooklynie swoje nieliczne rzeczy przed

powrotem do Wainscott, usłyszała ciężkie kroki Raya w kuchni na dole. Irytowało ją, że zarówno on, jak i Sasha już drugi rok z rzędu nie znaleźli sobie w Wainscott żadnej letniej pracy. Przyznawała jednak, że dla obojga było to trudniejsze niż dla ich sióstr. Emma, Quinn i Mattie przebywały w Wainscott przez całe lato, natomiast Sasha i Ray przyjeżdżali tam na przemian tylko na co drugi tydzień.

Emma rozmyślała o rozmowie, jaką odbyła z Jamiem ubiegłego wieczoru. Zwłaszcza o słowie „dzielić”, które nasunęło jej pewną myśl.

– Wpadłam na genialny pomysł – powiedziała Emma.

Ray podniósł wzrok znad płatków owsianych na mleku i uświadomił sobie, że w ich niewielkiej kuchni w Brooklynie są tylko oni dwoje. Milczał długo w nadziei, że może Emma nie oczekuje od niego reakcji.

– Tak? – rzucił wreszcie.

Jednak oczekiwała.

– I on dotyczy ciebie – oznajmiła.

– Och, nie – jęknął.

Emma przewróciła oczami.

– Powinieneś powiedzieć: Och, tak. Ponieważ znalazłam ci pracę na niepełny etat.

Ray odłożył łyżkę.

– Naprawdę.

Nie powiedział tego tonem pytającym.

Nie był także zachwycony tym, co usłyszał.

– Naprawdę! Będziesz układał towar na półkach w markecie Black Horse w East Hampton i zarabiał trzynaście dolarów i osiemdziesiąt centów za godzinę.

Natychmiast dostrzegł problem.

– I ty będziesz moim szefem?

– Nie. – Znowu przewróciła oczami. – Chyba żartujesz? Nie nadajesz się do zajmowania się wyrobami cukierniczymi. Jeszcze nie.

Ray poczuł ulgę na tyle, by się uśmiechnąć.

– Racja. Więc do czego się nadaję?

– Do suchych produktów spożywczych. Tego nie można schrzanić.

– Naprawdę? – Tym razem w głosie Raya zabrzmiało podekscytowanie. – Trzynaście osiemdziesiąt to dobra stawka. Czy kierownik wie, że mogę pracować tylko co drugi tydzień?

– O to właśnie chodzi – powiedziała Emma. Oczywiście, że o to chodzi. – Szukano do tej pracy chłopca albo dziewczyny.

– Więc muszę być także dziewczyną?

Emma się roześmiała.

– Nie, głupolu. Zapytałam Francisa, kierownika, czy mógłbyś dzielić z kimś tę pracę. Właśnie na tym polega mój genialny pomysł.

Ray odsunął miseczkę z płatkami. Z wdzięczności dla Emmy nie wysiorbał resztki mleka, gdyż wiedział, że siostra tego nie cierpi.

– To znaczy?

– Francis potrzebuje kogoś na pełen etat, ale wie, że możesz pracować tylko co drugi tydzień.

– Rozumiem.

– A ja znam kogoś, kto szuka pracy i też może pracować tylko co drugi tydzień.

Emma zawsze lubiła bawić się w zgadywanki. I to zawsze było nudne, a przed dziesiątą rano wydawało się wręcz nie do zniesienia. Ray podparł głowę dłonią.

– Proszę, czy mogłabyś mi wyjaśnić, o czym mówisz?

– O Sashy!

– O Sashy?

– Razem możecie pracować na pełen etat, prawda?

Ray nieco bardziej wyprostował się na krześle, choć nie znosił sprawiać Emmie przyjemności, kiedy i tak już była zadowolona z siebie.

– No, chyba tak.

– Wzięlibyście tę pracę wspólnie. Na zmianę co tydzień. Francis się zgodził.

– Powiedziałaś już o tym Sashy?

– Właśnie zamierzam. A ty co o tym myślisz?

Ray się zastanawiał, wdychając kuchenne zapachy.

– I nie będziemy musieli być tam razem? Nigdy?

– Właśnie na tym to polega. Łącznie jesteście jednym pełnoetatowym pracownikiem.

– A jeśli ona coś zawali? – spytał Ray. „Albo ja”, pomyślał. – Kierownik nie może wyłączyć połowy pracownika.

Emma teatralnie wzruszyła ramionami.

– Chwilowo bądźmy optymistami, dobrze? Poza tym nawet wy dwoje nie zdołacie schrzanić pracy przy suchych artykułach spożywczych.

Black Horse był pretensjonalnym marketem z wygórowanymi cenami, irytująco ulokowanym po obydwu stronach autostrady Montauk, na której latem stale robiły się korki. Ale trzynastą osiemdziesiąt to godziwa stawka.

– Od kiedy jest ta praca?

– Od przyszedłego tygodnia. Od poniedziałku.

– Sasha zacznie pierwsza.

– Owszem. A więc?

– Jeśli ona się zgodzi. – Nagle przyszła mu do głowy myśl niezwykła i trochę szalona. – Czy powinienem z nią pomówić?

Ta mityczna Sasha przypuszczalnie ma telefon z numerem, jak wszyscy. Jest

osiągalna – wystarczy wstukać dziesięć cyfr. Prawda? Nie była już tylko wytworem wyobraźni, zbiorem przedmiotów, zapachem.

– No cóż, chyba mógłbyś – odrzekła Emma, uniesieniem brwi podkreślając dziwność tego pomysłu.

Ale właściwie dlaczego miałyby być czymś dziwnym?

– Skoro chcesz – dodała. – Tylko po co?

W istocie wydawało się to całkiem naturalne, a jednak Ray nie potrafił podać żadnego powodu. Każde z nich nauczyło się zachowywać dystans pomiędzy obydwiema rodzinami. Stało się to już odruchem, kwestią bezpieczeństwa – nawet dla Raya.

– Nie musisz się tym martwić – powiedziała Emma. Kryzys został zażegnany, kontinuum czasoprzestrzenne ocalone. – Ja z nią porozmawiam.

Ray poczuł się trochę rozczarowany, ale nie chciał, by Emma to spostrzegła.

– W porządku, więc czy teraz możesz znaleźć mi jeszcze robotę na pół etatu w Brooklynie?

– A Ray się zgadza? – spytała Sasha Emmę przez telefon, przecinając połówkę ciastka czekoladowego z orzechami na pół, a potem jeszcze raz na pół.

– Orientuje się w sytuacji – zapewniła ją Emma.

Sasha dała spokój ciastku i usiadła przy zalanym blaskiem słońca stole kuchennym w Wainscott.

– Od tego poniedziałku?

– Aha.

– O rany, dobrze. I twój kierownik wie, że nie mam doświadczenia w pracy w sklepach spożywczych?

– Tak. Poradzisz sobie.

Sasha się zamyśliła. Plan wydawał się wręcz doskonały. Trochę zarobi, sprawi przyjemność tacie, odetchnie od matki i zyska dobry pretekst, żeby w dni powszednie pobyć na plaży. W wolne tygodnie w Nowym Jorku będzie mogła pouczyć się do matury i znowu popracować jako ochotniczka przy półkoloniach w parku miejskim.

– Dzięki, Em. To wspaniały pomysł.

– Nie ma sprawy.

Sasha wstała, wzięła telefon i okrążyła stół.

– Trochę dziwnie będzie dzielić się z Rayem jeszcze czymś.

– Prawda, że jestem genialna? – rzekła Emma. Niełatwo było ją skomplementować, gdyż zawsze zdążyła wcześniej sama siebie pochwalić. – Ty i Ray nie będziecie musieli przebywać razem ani nic takiego – ciągnęła. – Właśnie o to chodzi, że nie musicie być tam równocześnie.

Sasha westchnęła. Pragnęła oznajmić, że nie ma nic przeciwko Rayowi. Obydwoje nie byli odpowiedzialni za decyzje swoich rodziców. To nie jej wina, że

dawni małżonkowie nigdy się ze sobą nie kontaktują. Ale nie umiała wymyślić żadnego prostego sposobu powiedzenia tego Emmie.

– Czy możesz znaleźć nam także wspólnego korepetytora przed egzaminem maturalnym? – zażartowała zamiast tego.

– Jestem pewna, że bym potrafiła – odrzekła z powagą Emma.

– Nie, nie. Nie musisz tego robić.

– Och, Matthew, jesteś takim samotnym młodym człowiekiem.

– Nie jestem samotny.

– Owszem, jesteś. Widzę to.

– Mam dziadków. Ciebie. Szparagi.

Quinn się roześmiała, chociaż też uwielbiała młode pędy szparagów.

Podobnie jak Matthew kochała wiele osób i rzeczy na farmie Reese'ów, ale to jego darzyła wielką sympatią i zaufaniem. Byli także pan i pani Reese, były znajome pola kwiatów, warzyw i owoców; znała na pamięć wszystkie grządki i zagony. Był zapach starej walącej się stodoły. I był też Cameron, ale jego nie lubiła.

Przez ostatnie dwa sezony letnie mówiła sobie, że powinna poszukać jakiejś bardziej wymagającej pracy. Na farmie ekologicznej w Northwest Harbor, gdzie uprawiano lokalne warzywa i zioła lecznicze. Albo w szkółce ogrodniczej dla dzieci z podstawówek w Springs. Ale nie potrafiła porzucić swoich ukochanych roślin u Reese'ów; szparagi, karczochy, rabarbar, szpinak, truskawki, morele i śliwki były jej starymi, dobrymi przyjaciółmi. Nie umiała się powstrzymać przed zjawieniem się późną wiosną na tej farmie, żeby sprawdzić, jak wszystko rośnie, i już po chwili okazywało się, że znów jest tam zatrudniona.

Każdego lata ona i jej siostry wracały na tutejszą plażę, jakby przyciągane niewidzialną siłą. Emma dostawała atrakcyjne oferty pracy z banków inwestycyjnych i firm technologicznych, lecz zamiast tego spędzała letnie miesiące w markecie Black Horse, obwiązując czerwonym sznureczkiem białe pudełka z ciastkami. Mattie mówiła, że uwielbia podróżować, ale dzień w dzień przesiadywała w kurzu wzbijanym przez samochody zajeżdżające na parking farmy Reese'ów.

Wszystkie trzy milcząco przyjmowały fakt, że chcą trzymać się tego dobrze znanego miejsca. Ponieważ ilekroć przyjeżdżały do Waincott, widziały, że coś się zmieniło. Tam, gdzie wcześniej były pole czy las, pojawiała się nowa posiadłość. Wokół niej wyrastał żywopłot, tak że ulice zamieniały się w tunele. Zmiany następowały tak szybko, że siostry obawiały się, iż jeśli odwrócą wzrok, miasteczko zniknie, zastąpione czymś, czego już nie zdołają rozpoznać.

– Cieszę się, że wróciłaś – powiedział Matt.

– Ja też – rzekła Quinn.

Zerwała dla Myrny Chapman polne maki rosnące na skraju grządki

melonów, a potem poszła odszukać pana Reese'a.

Siedział na swoim zwykłym miejscu przy oknie.

– Quinn Hardy Thomas, rozpoznałem cię po odgłosie kroków – powiedział, nie odwracając się. – Witaj w domu.

Podeszła i pocałowała go w policzek. Potem przysunęła sobie krzesło blisko niego i usiadła. Na stole obok pana Reese'a zostawiła brązową papierową torbę pełną dymek, które zebrała w lesie w pobliżu swojego domu.

– Niech mi pan opowie o farmie – poprosiła.

Przez moment trzymała w uścisku jego dłonie, wyczuwając ich swoiste ciepło i puls. Pan Reese zawsze lubił rozpoczynać rozmowę od farmy. Z tego wynikały później inne opowieści.

Gdy mówił o burzach, roztopach i lokalnych władzach, Quinn doświadczyła znajomego wrażenia, jakby unosiła się nad sobą. Wyczuwała napięcie i drganie strun głosowych starego człowieka, miękkie fałdki na skórze jego szyi, energię mięśni jego rąk, fantomowe doznania amputowanych dolnych części nóg. Spojrzała na mapę świata rozpościerającą się na pomarszczonych grzbietach jego dłoni.

Działo się tak, odkąd mogła sięgnąć pamięcią, obecnie intensywniej niż dawniej. Odrywała się od siebie i kierowała ku innym ludziom. Poprzez szczeliny w ich twarzach odnajdywała drogę do wnętrza. Nie było to gwałtowne wdzieranie się czy wciskanie, lecz jedynie wyczuwanie i odkrywanie. Czasami przytłaczały ją ich cierpienia. Czy jej obecność choć trochę je łagodziła? Nie wiedziała tego, ale w kilku przypadkach poczuła, że jej dziwny rodzaj pociechy przynosi innym ulgę.

We wnętrzu pana Reese'a kłębił się mroczny staw, w który można było wpaść, jeśli nie zachowało się ostrożności. Drobne smutki wirowały w dół i łączyły się z wielkimi. Kawa, ale już bez cukru, potem też bez mleka, potem w ogóle zabroniona. Brak siły w nogach, żeby stawić czoło biadołacemu księgowemu, brak siły w nogach, żeby stawić czoło żonie, w końcu brak nóg, żeby wstać. Utrata za utratą i kolejna utrata.

Ale nadal tu był. Nadal siedział przy oknie. Nadal uśmiechał się, kiedy przychodziła. Dlaczego? Musiała być ostrożna, trzymać się skraju stawu. Nie wpaść do niego, ale też się nie cofnąć. To było jej życiowe wyzwanie. Nie cofnąć się przed cierpieniem. Nie wyprzeć go, lecz raczej zmierzyć się z nim. Dopuścić je do głosu, jeśli będzie go potrzebowało. Zaakceptować to, że ono ma prawo do istnienia.

Kiedy pan Reese wskutek cukrzycy stracił nogę, miał wrażenie, że nastąpił koniec świata. Dopóki nie stracił drugiej nogi poniżej kolana, a świat uparcie wciąż trwał.

Podczas drugiej wojny światowej zachował obie nogi, obydwaje oczu, trzewia, nerwy, a nawet zdrowy umysł, a potem stracił to wszystko z powodu cukru. „Człowiek uczy się ufać bardziej goryczy niż słodyczy” – powiedział kiedyś

Emmie.

To się zdarzyło w nocy w połowie kwietnia. Ściśle mówiąc, czternastego. Ojciec Emmy wydawał w domu wykwintne przyjęcie z cateringiem dla analityków ze swojej firmy. W zamian za tyranie przez cały rok po sto godzin tygodniowo dostali kanapki z homarem.

Emma przyjechała do domu ze szkoły na weekend, żeby napisać podanie do Wydziału Prawa Uniwersytetu Nowojorskiego o przyznanie jej jesienią miejsca w akademiku. Nie przywykła, by zatrzymywać się w domu ojca, na Manhattanie. Odkąd on i Evie sprzedali dawny apartament na Osiemdziesiątej Pierwszej Ulicy, czuła się swobodniej u mamy w Brooklynie. Ale wówczas, w ubiegłym roku, mama i Adam wynajmowali parter parze gejów, którzy tego dnia urządzili swoje przyjęcie ślubne w maleńkim ogródku na tyłach. W i tak już niezbyt dużym domu na Carroll Street zrobiło się jeszcze ciasniej i trzem siostronom uczącym się teraz w college'u pozostał do spółki tylko jeden mały pokój. Emma rozumiała, że Lila i Adam potrzebują pieniędzy. Posiadanie na parterze lokatorów znacząco wspomagało budżet.

Dwie rodziny Emmy jak zwykle postępowały w diametralnie odmienny sposób. Jej mama i Adam pobierali skromny czynsz od Andy'ego i Hanka, jej tata i Evie nabyli natomiast imponującą miejską rezydencję na Wschodniej Siedemdziesiątej Czwartej Ulicy; wszystkie cztery siostry miały w niej własne pokoje, jednak tylko Sasha mieszkała tam na stałe. W budynku były piwniczki na wino z automatyczną regulacją temperatury, ogrzewanie podłogowe, interkomy oraz wspaniałe supernowoczesne systemy, klimatyzacyjny i alarmowy, których nikt nie ośmielał się nawet dotknąć. Nie czuło się tam jak w domu.

Tata Emmy nalegał, żeby przyszła na to przyjęcie. Był dumny z atmosfery panującej w jego firmie, ze swojego młodego, entuzjastycznego, świetnie wykształconego zespołu. Był też dumny ze swojej młodej, entuzjastycznej, świetnie wykształconej córki. Opierała się – no bo kto przy zdrowych zmysłach chciałby uczestniczyć w takiej imprezie?

W końcu jednak powodowana wyrzutami sumienia i poczuciem obowiązku wobec ojca, które zawsze wywierały wielki wpływ na jej decyzje, włożyła sukienkę i niechętnie zeszła na dół.

W drzwiach garderoby taty nie wiedzieć czemu stał młody mężczyzna. Emma chwilę wcześniej, schodząc po schodach, usłyszała tam czyjeś kroki i postanowiła sprawdzić, co się dzieje.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale co tu robisz?

Odwrócił się szybko. Miał częściowo rozpiętą koszulę, a marynarkę przewieszoną przez ramię. Wydawał się spłoszony.

– O cholera. Przestraszyłaś mnie. – Spojrzał w dół na swoją rozchełstaną koszulę. Twarz lśniła mu od potu. Z poczuciem winy pokazał jej trzymany w ręce pojemnik dezodorantu. – Ja tylko wziąłem to. Wiem, nie powinienem.

Był dość wysoki, trochę zbyt chudy, ciemnobrązowe włosy miał ostrzyżone konwencjonalnie, tak by zadowolić wymagania zwierzchników.

– Mam nadzieję, że szef się nie pogniewa. – Roześmiał się nerwowo. – A właściwie, że się nie dowie. Mam nadzieję, że się w ogóle nie dowie. O Chryste.

Emma uśmiechnęła się do niego. Nie mogła się powstrzymać. Miał taką szczerą, skupioną twarz. Zamierzała okazać irytację, ale nie potrafiła.

– Nie powiem mu.

– Strasznie tu gorąco, prawda? Czy myślisz, że on celowo podkreślił ogrzewanie, żeby się przekonać, kto mu to podwędzi?

– Kto?

– Pan Thomas.

Emma niemal się roześmiała, ponieważ prawdziwy powód był o wiele bardziej prozaiczny. Po prostu nikt nie wiedział, jak się reguluje tę przeklętą klimatyzację.

– Znalezienie się w tym domu jest dla mnie dość stresujące. Wciąż czuję się w firmie kimś stosunkowo nowym. Dotychczas widywałem pana Thomasa tylko w biurze.

– Nie sądzę, by on...

– Ty wyglądasz na całkiem wyluzowaną. Czyżbyś dopiero zaczynała?

– Zaczynała?

– No, pracuję w Califax. Chyba nie widziałem cię jeszcze w biurze. Na którym piętrze pracujesz?

– Och, ja...

Wyczuł jej zakłopotanie i sprawiał wrażenie, jakby chciał jak najszybciej je rozładować.

– Ja trafiłem do firmy w ubiegłym roku. A właściwie prawie półtora roku temu. Czy może... jaki jest teraz miesiąc? Kwiecień? No więc ukończyłem studia w styczniu i zaraz potem podjąłem pracę w Califax. Oni zazwyczaj nie zatrudniają świeżo upieczonych absolwentów, ale powiedzieli... – Urwał. Opuścił rękę z dezodorantem. – Przepraszam. Kiedy jestem zdenerwowany, strasznie dużo gadam. Przepraszam. Kiedy jestem zdenerwowany, ciągle przepraszam.

– W porządku – rzekła.

– Powinniśmy chyba wrócić na dół. – Włożył marynarkę i odwrócił się plecami do Emmy. – Czy widzisz tam jakieś plamy potu? Siostra powiedziała mi, że powinienem mieć letnią marynarkę, na przykład płócienną czy coś w tym rodzaju, ale mam tylko dwie wełniane. Cholera.

– Nie, nie widzę żadnych – skłamała.

Ruszyła za nim w kierunku schodów.

– Fantastyczne miejsce, co? Nigdy dotąd nie widziałem wnętrza żadnego nowojorskiego domu. No wiesz, takiego, w którym ludzie mieszkają. A ty?

– No cóż, ja... – bąknęła wymijająco.

– Ten ma cztery piętra. Jest większy niż nasz dom w Columbus. O wiele większy.

– Czy stamtąd pochodzisz?

– Tak, z Columbus. W Ohio. Cholera, nie potrafię sobie nawet wyobrazić, ile może kosztować taki dom. A ty?

– Właściwie nie wiem.

– Całe moje obecne mieszkanie zmieściłoby się w tym korytarzu. – Rozejrzał się. – Dwa razy.

– Ach tak?

– Wiesz, to nie znaczy, że w Califax źle płacą. Nie skarżę się. No, czasami się skarżę. Pracujesz tu pierwszy rok? Ja wciąż spłacam pożyczkę dla studentów i częściowo dlatego mieszkam w... – Przystanął i spojrzał na nią. – Jesteś... To znaczy... masz piękną sukienkę. – Potrząsnął głową. – Przepraszam.

– Dzięki.

– Chcesz jakiegoś drinka? Pijesz alkohol? Siostra mówi, żeby nie pić, bo możesz łatwo przesadzić i zrobić z siebie kompletnego durnia. – Urwał. – To znaczy ja. Przepraszam. Ja zrobiłbym z siebie durnia, nie ty. Wiem, że tobie to nie grozi.

Emma się roześmiała. Przypomniała sobie wyraźnie uczucie, kiedy serce wrywa się z piersi.

– Jasne. Zrozumiałam.

Wziął głęboki wdech.

– Przepraszam. Naprawdę głupio mi, że wciąż tak gadam.

– Nie szkodzi. Właściwie sprawia mi to przyjemność.

Zeszła za nim na parter, gdzie przebywała większość gości.

Teraz pożałowała, że zachowywała się wobec ojca jak rozwydrzona smarkuła, odmawiając przyjścia na to przyjęcie. Nagle wydało jej się to ważne.

Pomyślała mgliście, żeby wynagrodzić to tacie, a potem zobaczyła go, chociaż właściwie wcale nie chciała. Wyglądał imponująco i władczo, gdy tak stał w modnej płóciennej marynarce u podnóża schodów.

Och, nie. Nie chciała mu jeszcze niczego wynagradzać. Nie miała ochoty się z nim teraz widzieć. Czy powinna pognać z powrotem po schodach na górę? Czy mogła w jakiś sposób wymknąć się tak, by jej nie zauważył? „Cholera”.

Było już za późno. Spozrzegł ją. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Więc jednak zeszłaś! Miałem nadzieję, że się zjawisz.

Przypomniała sobie o swoim spoconym nowym znajomym i zerknęła na niego. Czy dałoby się jakoś wyplątać z tej sytuacji?

Lśnił od potu jeszcze bardziej niż poprzednio. „Niech to diabli”.

Ojciec przeniósł spojrzenie z córki na niego, a potem znowu na nią.

– Emmo, czy już poznałaś Jamiego? – zapytał tubalnym głosem.

Ona i ten młody mężczyzna zeszli razem po schodach w momencie, gdy ojciec zmierzał ku nim z kieliszkiem wina w ręce. Uświadomiła sobie, że nie zdoła tego powstrzymać. Tata uwielbiał oficjalne prezentacje.

– Emmo, to jest James Hurn, jeden z moich najlepszych młodych pracowników – powiedział z dumą. – W 2013 roku ukończył Princeton.

Spojrzała na niego, wyciągnęła rękę i mocno uścisnęła mu dłoń, jak nauczono ją od wczesnego dzieciństwa.

James Hurn miał nieco zaniepokojoną minę, jakby coś przeczuwał. A może tylko jej się wydawało.

– Jamie – powiedział słabym głosem, usiłując się nie skrzywić.

– Jamie, to moja najstarsza córka Emma – zadudnił ojciec jeszcze bardziej dumnym tonem. – Ukończyła Princeton w 2016.

Jamie miał tak uroczo zboląłą, przygnębioną minę, kiedy posłusznie, sumiennie potrząsał dłonią Emmy, że dziewczyna wybuchnęłaby śmiechem, gdyby nagle nie poczuła, jak bardzo zależy jej na tym, żeby go nie urazić.

– Przepraszam – wymówił bezgłośnie, samymi wargami.

– Przepraszam – odpowiedziała w taki sam sposób.

W ostatniej klasie liceum miała chłopaka, Kyle’a Bowena, o bujnie owłosionej klatce piersiowej. Kiedy po ceremonii rozdania świadectw przestał do niej dzwonić, ledwie to zauważyła. W Princeton umawiała się sporadycznie z kapitanem drużyny hokeja na trawie, Grahamem Cartwrightem. Prezentował się wspaniale, siedząc przy stole podczas kolacji. Emma pamiętała uwagę Mattie na jego temat: „Wiesz, ludzie sądzą, że trzeba być bystrym, żeby dostać się na Princeton. Otóż nie trzeba”.

Emma była zawsze pochłonięta nauką, uprawianiem sportów i pracą. Odnosiła się z rezerwą do randek z chłopcami. Nigdy nie poczuła do żadnego prawdziwej sympatii, czułości ani skłonności – aż do tamtej nocy w połowie kwietnia. A wtedy z jakiegoś powodu doświadczyła tego wszystkiego naraz.

– Ziemia Reese’ów jest warta miliony dolarów – powiedział tata Mattie, nie po raz pierwszy. Siedzieli przy kolacji w Wainscott w piątkowy wieczór i właśnie zaczęli jeść na deser truskawki, które przyniosła do domu z farmy. – Paula Reese wykorzystuje jeden z najdroższych na świecie terenów budowlanych, żeby uprawiać szpinak.

– I truskawki – dodała Evie, rzucając śmiało Mattie spojrzenie pełne wdzięczności.

Sasha uniosła łyżeczkę.

– Lepsze pole szpinaku niż kolejna olbrzymia rezydencja z czternastoma łazienkami i lądowiskiem dla helikopterów. Naprawdę chcesz tu jeszcze jednej?

Robert zrobił minę na poły rozbawioną, na poły zniecierpliwioną, jaką przybierał, gdy Sasha spierała się z nim podczas kolacji.

– To nie moja sprawa, na co ludzie wydają swoje pieniądze.

– Owszem, nie twoja, ale może pani Reese ma na uwadze dobro tutejszej społeczności. Załóżmy, że jej ziemię kupi następny miliarder, co niewątpliwie by się stało, i ogrozi ją szczelnie żywopłotem wysokim na cztery metry. Wówczas nikt inny nie będzie miał z niej żadnej korzyści. Ten miliarder też zresztą nie, gdyż przypuszczalnie jest właścicielem pięciu innych posiadłości. Spędzi w tej rezydencji najwyżej tydzień w roku i nawet nie wynajmie jej nikomu, ponieważ nie potrzebuje pieniędzy. Kolejny kawałek East Endu... – Sasha pstryknęła palcami – zniknie ot tak.

– Sasha – rzuciła Evie ostrzegawczym tonem.

Evie zawsze obierała rolę arbitra. Nigdy nie grała w meczu.

Mattie wstała, żeby wynieść swój talerz do kuchni. Szybko znudziło ją przedstawienie odgrywane przez Roberta i Sashę. Podejrzewała, że tych dwoje co wieczór prezentuje jakąś jego wersję, bez względu na to, czy ona jest obecna i mogą ją zirytować.

– Dzięki Reese'om – mówiła dalej Sasha – możemy jeździć pośród otwartych pól uprawnych i kupować najświeższe na świecie truskawki i kukurydzę. A osoby takie jak Mattie i Quinn mają pracę.

Mattie przewróciła oczami.

– Mnie w to nie mieszaj. Na miejscu pani Reese bez wahania sprzedałabym tę ziemię.

Robert odsunął się od stołu i poklepał po brzuchu.

– Na szczęście ja odłożyłem dość pieniędzy, żeby Sasha mogła pójść na studia prawnicze – powiedział swoim zwykłym wyrzekająco-chępliwym tonem.

Mattie pamiętała, że kiedy była mała – w wieku pięciu czy sześciu lat – zapytała ojca, czy najbardziej kocha Sashę, bo kocha jej matkę, a ich matki już nie. „Oczywiście, że nie – odpowiedział takim tonem, jakby uważał to za absurd. – Kocham was wszystkie jednakowo”. Ale Mattie wcale nie wydawało się to takie absurdalne. A ojciec wydałby się bardziej przekonujący, gdyby choć przez chwilę zastanowił się, zanim odpowiedział.

„Zawsze jej bronisz” – rzekła oskarżycielsko Mattie.

„Bo jest o wiele młodsza od was” – zripostował.

Mattie zatrzymała się w połowie drogi do kuchni i odwróciła.

– A na co odłożyłeś pieniądze dla mnie? – zapytała.

Ojciec popatrzył na nią czule.

– Żebyś kupiła sobie sukienkę, która zakryje ci pośladki.

Evie ani Sasha się nie odezwały. Gdyby była tu Emma, wybuchnęłyby przesadnym szaleńczym chichotem. Ale Mattie wiedziała, że Evie i Sasha muszą stale zachowywać ostrożność. Nie wolno im było nawet się uśmiechnąć.

– Wielkie dzięki, tato – rzekła Mattie z udawanym oburzeniem. – A za różnicę między tą sumą a kosztem studiów prawniczych Sashy możesz mi kupić mieszkanie w lofcie w Williamsburgu.

– Czyżby?

– Mógłbyś – powiedziała Mattie.

Znowu przystanęła, tym razem w drzwiach kuchni; nie wyrzuciła z siebie jeszcze całej dozy złośliwości.

– O czym ty i Evie będziecie rozmawiać, kiedy Sasha wyjedzie na studia?

– Ray! Chodź tutaj.

Sasha się odwróciła. Czy naprawdę powinna reagować na imię Ray? To wydawało się poważną kapitulacją już pierwszego dnia jej pracy w markecie. Ale Francis, kierownik, stale ją tak nazywał, a ona wciąż udawała, że go nie słyszy, co było nie do utrzymania na dłuższą metę. Dlaczego Emma musiała umieścić w cholernym podaniu o pracę akurat cholerne imię Raya jako pierwsze?

Sasha podeszła powoli od stosu pudełek makaronu.

– Ee... no, właściwie mam na imię Sasha – przypomniała ponownie.

Francis potrząsnął głową.

– Posłuchaj, nie mam czasu na poznawanie d w ó c h pracowników. Dla mnie jesteście jedną osobą.

– Ale...

– Coś ci się nie podoba... Ray?

– Hm.

– Hej! Polly! – ryknął do głównej kasjerki. – Pokaż temu tutaj Rayowi, jak się uzupełnia zapas towarów.

Polly, ziewając i przyciskając palcami skronie, wyjaśniła Sashy, co się robi z niezakupionymi rzeczami pozostawionymi przy kasie.

Potem Francis odezwał się znowu:

– Ray, chodź tu.

– Dobrze...

– Kilka zasad.

Wyszła za nim na zewnątrz, do śmietników. Drzwi niemal uderzyły ją w twarz.

– Żadnych tenisówek. Żadnych szortów. Utrzymuj w czystości swoją koszulkę marketu Black Horse. Żadnych džinsów. Żadnego żucia gumy, nie cierpię tego. Żadnego odsłaniania tatuaży. To przyzwoity sklep. Nie lubię u was, dzieciaków, tego wkłuwania kolczyków. Kiedy przychodzisz do pracy, zdejmuj

z siebie to żelastwo. Rozumiesz, o czym mówię? I uśmiech. Uśmiech na twarzy przez cały czas. Powiedz to swojemu bratu czy kim on tam jest.

Wróciła za Francisem do sali sprzedaży, niemal biegnąc, by za nim nadążyć.

– Mojemu bratu?

– Temu drugiemu Rayowi. Nie zamierzam powtarzać wszystkiego dwa razy.

– Jasne. Dobrze. Widzi pan, chodzi o to, że on nie jest moim bratem.

Kierownik gmerał przy swoim tablecie. Czy w ogóle jej słuchał?

– No bo... wie pan... właściwie nie jesteśmy spokrewnieni. W gruncie rzeczy nawet się nie znamy.

Francis spojrział na nią ze zniecierpliwieniem.

– On jest bratem Emmy.

– Tak...

– A ty nie jesteś siostrą Emmy?

– Owszem, jestem, ale...

Był już w połowie drogi do działu wyrobów cukierniczych.

– Ray, nie mam czasu na te bzdury.

Kilka godzin później, pod koniec swojej zmiany, Sasha podeszła niedbałym krokiem do Francisza. Ostatnie dostarczone dziś towary były już ułożone na półkach, a pudła usunięte. Mięśnie rąk drżały jej z wyczerpania, ale czuła, że wypełniła swoje obowiązki zawodowe, przynajmniej na dzisiaj.

Francis jadł ciastko. Często widziało się go szwendającego się po dziale cukierniczym.

– Jak leci, młody Rayu? – rzucił.

Sasha popatrzyła na niego.

– Posłuchaj, Francis.

– Tak?

– Mam pomysł. Może nakłoń prawdziwego Raya, żeby reagował na imię Sasha. Wtedy ja, Sasha, będę reagować na imię Ray.

Skonsternowany Francis przeżuwał ciastko. Kiedy w końcu dotarło do niego, o czym mówiła, wybuchnął śmiechem.

Nigdy się nad tym nie zastanawiałem

– Zawsze mnie ciekawiło, czy ona była muzułmanką, czy hinduistką. Myślę jednak, że to drugie jest bardziej prawdopodobne.

Ojciec Quinn spojrział na zdjęcie ślicznej bengalskiej dziewczyny, ale tylko przelotnie. Zwrócił je córce.

– Dlaczego to cię interesowało?

– A ciebie nie?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– Była twoją matką. Jak mogłeś się nie zastanawiać?

Tata potrząsnął głową.

– Nie jestem pewien, co Lila ci powiedziała, ale nie wiem, kim jest ta osoba. Nigdy jej nie znałem. Moją matką była Matilda Thomas z Califax, świeć Panie nad jej duszą. Była szczerą chrześcijanką.

Nie po raz pierwszy rozmowa doprowadziła ich do tego tematu.

– Czy masz jeszcze jakieś informacje o tej dziewczynie? Znasz jej imię?

Robert wpatrywał się już znowu w ekran komputera.

– Było chyba w dokumentach adopcyjnych.

– Gdzie one są?

– Naprawdę nie wiem. Nie jestem pewien, czy w ogóle zabrałem je z domu w Brooklynie. Były w piwnicy w metalowym segregatorze i nie pamiętam, żebym je wyjmował.

Quinn jeszcze przez chwilę spoglądała na twarz tej dziewczyny, która być może nosiła na rękach swoje dziecko.

Rzeczywiście Quinn się nad tym zastanawiała. Chociaż bardzo podziwiała Koran i hadisy, jednak odkąd pamiętała, w jej snach pojawiały się obrazy bóstw hinduistycznych, jakby odziedziczyła je po ojcu. Być może on odrzucił ich urok, ale Quinn wyraźnie je wyczuwała. Teraz zaś miała pewność, że dziewczyna była hinduistką. Z powodu tego symbolu *bindi*.

– Żałuję, że nie poznałam Matildy – powiedziała, wrażliwa na nastrój ojca.

Przybrani rodzice Roberta byli bezdzietnym małżeństwem i przekroczyli już pięćdziesiątkę, kiedy go adoptowali. Był dla nich cudem, wniósł w ich życie światło i szczęście. Obydwoje zmarli, zanim skończył dwadzieścia sześć lat.

Tata podniósł wzrok na nią; wyraz jego twarzy uległ zmianie.

– Ja też tego żałuję, kochanie – rzekł. Mimo że był silnym mężczyzną, niektóre sprawy, łatwo wzruszały go do łez, w tym te dotyczące jego matki i córek.
– Wiesz, że nosiła cię na rękach, kiedy byłaś malutka. Mam takie zdjęcie na ścianie mojego gabinetu. Widziałas je.

Quinn skinęła głową i wyszła z pokoju. Schowała bezpiecznie zdjęcie

biologicznej matki taty do górnej szuflady swojego biurka.

Czasami współczuła ojcu, mimo że on się nad sobą nie użalał. Jego niewypowiedziane traumy snuły się po domu jak sieroty, a ona wchłaniała je w siebie.

Wyobraziła sobie tatę jako niemowlaka w obozie dla uchodźców. Czy ktoś go tam tulił? Czy karmiono go mlekiem? Czy ktokolwiek klaskał z radości w dłoń, gdy stawiał swoje pierwsze kroki? W jakim języku wymówił pierwsze słowa?

Matilda Thomas być może nosiła na rękach maleńkie Emmę i Quinn, ale nigdy nie tuliła w ramionach własnego dziecka, dopóki nie skończyło dwóch lat.

Quinn usłyszała kiedyś, jak Lila powiedziała do swojego brata Malcolma: „Kiedy poznałam Roberta, był taki młody i czasami w nocy nadal miewał koszmary. Myślę, że w jego pamięci ciągle tkwiły wspomnienia z tego obozu”.

Quinn ta rozmowa poruszyła tak bardzo, że aż drżała; powstrzymała się jednak przed bezceremonialnym zadaniem wszystkich pytań, które ją nurtowały, ponieważ wiedziała, że nie powinna była podsłuchiwać. Od tamtego czasu wiele razy w spokojnych chwilach przypominała sobie te słowa i obracała je w umyśle.

Jej rodzice poznali się w letniej szkole w Andover. Mama chodziła wtedy do drugiej klasy liceum, a tata był studentem pierwszego roku. We wczesnych listach mama nazywała go Bobbym.

W pewnym momencie tata stał się Robertem i przestały go dręczyć te koszmarne sny. Lila była ostatnią osobą, która знаła go, zanim ta przemiana dobiegła końca.

Może tata odczuł związek z Evie jako ulgę, ponieważ dla niej nigdy nie był Bobbym śniącym koszmary o obozie uchodźców w Bangladeszu, jego pierwszym domu.

Drogi Rayu,

mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że piszę do Ciebie mail. Quinn dała mi Twój adres. Jestem Sasha, Twoja nieznajoma współlokatorka (przepraszam za to z ekranem komputera w zeszłym tygodniu), przyrodnia siostra naszych sióstr i Twoja współpracowniczka w markecie Black Horse. Wiem, wydaje się dziwne, że piszę do Ciebie po tylu latach, ale kierownik Francis polecił przekazać Ci kilka zasad, a on, jak sam mówi, „nie żartuje”. Więc oto one: żadnych tenisówek, żadnych szortów, utrzymuj w czystości koszulkę marketu Black Horse, żadnych dżinsów, żadnej gumy do żucia, żadnych widocznych tatuaży ani kolczyków. Och i „przez cały czas miej na twarzy uśmiech”; wygląda na to, że nawet w magazynie i na zewnątrz, przy śmietnikach. To już chyba wszystko.

W każdym razie było dla mnie zaszczytem dzielenie z Tobą pokoju i trzech sióstr przez wszystkie te lata.

Sasha

*Droga Sasho,
przez całe życie pragnąłem przeprosić Cię za te wymiociny. Za wszystkie.
Bardzo mi przykro. Na Twoim miejscu nie cierpiałbym dzielenia ze mną pokoju.*

*Lubię myśleć, że to już przeszłość. Tak więc spoglądając w stronę
przyszłości, przepraszam Cię za włoski po goleniu. Staram się poprawić, ale
w zeszłym tygodniu chyba zapomniałem.*

Po prostu musiałem to powiedzieć.

Dzięki za przekazanie wskazówek Francisa.

*Dziękuję Ci też za to, że starałaś się utrzymać porządek na półkach i że
podlewałaś tę starą roślinę kalanchoe (niech spoczywa w pokoju), ponieważ ja
nigdy tego nie robiłem, oraz za to, że zawsze miałaś tyle świetnych książek, które
czytałem, nie pytając Cię o pozwolenie. I za Twoje liczne bystre notki
w podręcznikach, dzięki którym lepiej radziłem sobie na lekcjach angielskiego. I za
dostarczanie pasty do zębów, której używałem dosłownie przez LATA. I za to, że
miałaś tę jedwabną nocną koszulę, którą niekiedy zostawiałaś na łóżku. I za to, że
Twoja pościel pachniała tak wspaniale, że czasami ledwie potrafiłem w nocy usnąć.*

Ray

Ray przyjrzał się ostatniemu akapitowi i usunął go.

Francis, stojąc przy drzwiach sali sprzedaży marketu Black Horse, zmierzył
wzrokiem Raya.

– Więc jesteś tą drugą połową mojego nowego pracownika.

– Tak, proszę pana.

Ray przypuszczał, że Francis przygląda mu się, szukając ewentualnych
tatauaży i wyraźnych śladów po kolczykach.

– Jesteś całkiem duży jak na połówkę – zauważył kierownik.

Ray wzruszył ramionami.

– Ale zgrabny. Nie tak zgrabny jak tamta połowa. I nawet w połowie nie tak
ładny.

Ray nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Popracuję nad tym.

– Słyszałeś, żadnych dzinsów, żadnych...

– Tak, wiem o wszystkim.

– Dostałem polecenie, żeby nazywać cię Sashą.

– Od kogo?

– Od Raya.

– Ja jestem Ray.

– Od tamtego drugiego Raya.

– Jest jakiś inny Ray?

– Twoja siostra.
– Ma pan na myśli Emmę?
– Nie, tę drugą.
– Quinn? Mattie?
– Widzę, że masz wiele sióstr.
– Owszem, ale o ile wiem, żadna nie nazywa się Ray.
– Ta mała. Ładna. Z żółtymi oczami. Ma na imię Ray.
– Ja mam na imię Ray. Mówi pan chyba o Sashy. Ona akurat nie jest moją siostrą.

Francis potrząsnął głową.

– Posłuchaj, Sasha.

Ray się skrzywił.

– Co?

– Przestań mieszać mi we łbie.

Drogi Rayu,

proszę, czy mógłbyś cofnąć polecenie nazywania mnie Sashą?

Sasha

– O Boże, tata znów kosi trawnik – powiedziała Emma, stojąc z komórką w ręce przy rozsuwanych szklanych drzwiach kuchni domu w Wainscott i rozglądając się na boki. – Skąd on wziął kosiarkę?

– Chyba pożyczyl. – Mattie z trzaskiem wrzuciła do zlewu swoje naczynia po śniadaniu. – Podejrzewam, że mama znowu przestała płacić rachunki.

To była stara historia. Adwokaci podzielili między obie rodziny koszty utrzymania domu. Robert sumiennie płacił swoją część, a Lila nie. „Przykro mi, ale w tym miesiącu nie mamy pieniędzy” – mówiła beztrąsko każdemu, kto o to pytał.

Robert był zbyt skłócony z ekszoną, by zapłacić jej rachunki. Nie chodziło mu o pieniądze, lecz o to, że oznaczałoby to kapitulację, na którą nie mógł się zgodzić. Zamiast tego wydawał sumę dziesięciokrotnie większą, niż kosztowałyby wynajęcie ekipy pielęgnującej trawniki, na wysyłanie do Lili listów z upomnieniami za pośrednictwem swoich drogich prawników. Emma wiedziała na pewno, że jej matka wrzuca wszystkie te urzędowe monity do pojemnika na śmieci.

Sasha z rozbawioną miną odwróciła się od tosteru.

– Dobrze mu to robi. Przynajmniej wyjdzie na dwór i trochę się porusza. W przeciwnym razie tkwiłby przy komputerze czy telefonie i zawracał głowę przepracowanym ludziom w swoim biurze. A tak tata nabierze kondycji, a jego pracownicy będą mieli spokój. Wszyscy na tym skorzystają.

– Niech nikt nie mówi o tym Lili – rzekła Mattie.

Emma zerknęła na swoją komórkę. Zawsze szczyliła się tym, że nie wisi stale na telefonie. Wiele razy zarzucała to Mattie. A teraz sama tak robiła.

I oczywiście właśnie Mattie jej to wypomniała.

– Och, och – powiedziała. – Spójrzcie, kto tu się znowu ukradkiem wymyka.

Emma rzuciła jej władcze spojrzenie i powolnym, niedbałym krokiem wyszła do holu. Potem wbiegła szybko po schodach na piętro, gdzie nikt nie mógł jej usłyszeć.

– Cześć – rzekła. – Gdzie jesteś?

– W Bridgehampton.

– Ja już wychodzę. Spotkajmy się w restauracji Olive. Jadłeś śniadanie?

– Tylko wypiliśmy kawę. Czy Olive nie jest zanadto na widoku?

– Nie martw się. Mój tata kosi trawnik.

– Nie znoszę się tak kryć.

– Rozumiem.

– Nie wiem, czy mam większe wyrzuty sumienia z powodu tego, że spiam z jego córką, czy dlatego, że nie przyjdę dziś do biura.

– Cześć, Matt.

Pomachanie ręką, uśmiech.

– Witaj, Mattie.

Uśmiech, pomachanie ręką.

Mattie wprawiało w zakłopotanie to, na ilu znajomych i krewnych mogła się natknąć w Black Horse. Dziś nie pracowała na straganie farmy Reese'ów i wpadła do tego dużego klimatyzowanego marketu, żeby kupić słodkie pomidory winogronowe. W okolicy jeszcze nie zaczął się na nie sezon, a mama potrzebowała ich do jakiejś potrawy, którą przygotowywała. Mattie wiedziała, że powinna była pojechać do supermarketu sieci Stop & Shop, gdzie te pomidory są o połowę tańsze, ale nie potrafiła się oprzeć perspektywie wypicia kawy ze skondensowanym mlekiem, zjedzenia czerstwego, ale darmowego ciasta z działu cukierniczego Emmy, zerknięcia, jak zatrudniony tu od niedawna Ray nieporadnie układa na półkach pudełka kuskusu, i skorzystania przy zakupie ze zniżki pracowniczej któregoś z rodzeństwa.

Okazało się, że Ray miał przerwę i obaj z Juliem palili papierosy na tyłach marketu, przy śmietnikach.

– Co ty wyprawiasz? Przecież ty nie palisz – rzekła do niego Mattie.

– Palę tylko z Juliem – wyjaśnił Ray.

Potrząsnęła głową.

– O której kończysz?

– O siódmej.

– Mama mówi, że kolacja będzie o wpół do ósmej.

– Dobrze, przyjdę do domu.

Mattie wróciła do marketu tylnymi drzwiami i spędziła trochę czasu na oglądaniu pomidorów. W pewnym momencie zorientowała się po cieniu, że ktoś za

nią stoi. Odwróciła się.

– Czy jesteś Matildą Thomas?

To był elegancko ubrany mężczyzna, na oko dobiegający sześćdziesiątki, o niegdyś jasnych włosach, teraz już niemal całkiem stalowosiwych. Wydał się jej trochę zmieszany, ale też znajomy.

– Jestem Mattie, tak...

Wyciągnął dłoń.

– Nazywam się Jonathan Dawes. Jestem przyjacielem twojej rodziny z dawnych czasów, jeszcze sprzed...

Zamaszyście machnęła ręką niczym dyrygentka, żeby odciąć się od niego, a zarazem dać mu poznać, że już rozumiała. Małżeństwo jej rodziców zakończyło się tak potężnym trzęsieniem ziemi, że wszyscy ich bliscy i znajomi znaleźli się po jednej bądź drugiej stronie głębokiego pęknięcia albo w nie wpadli. Mattie była za młoda, żeby pamiętać samo to wydarzenie, ale jej życie wydawało się serią wtórnych wstrząsów oraz wysiłków odbudowy po katastrofie.

Dlaczego ten mężczyzna wydawał się jej znajomy? Usiłowała się zastanowić. I nagle coś sobie przypomniała. Zdjęcie.

– Pan uczył surfingu, prawda?

Uśmiechnął się.

– Tak, właśnie.

– Uczył pan moją mamę?

Przetrasnęła zasoby pamięci, szukając mglistego wspomnienia.

– I kilka razy was, jej córki – powiedział.

Przyjrzał się jej. Może uważał, że jest podobna do matki z tamtych czasów. Dawni znajomi często tak mówili.

– Przykro mi to panu powiedzieć, ale ja niewiele skorzystałam. Nie cierpię surfingu.

Roześmiał się, lecz z lekkim roztargnieniem.

– Jednak moja siostra Quinn nie przyniosłaby panu wstydu – dodała Mattie.

– Jest w tym naprawdę dobra.

Mężczyzna sprawiał wrażenie, że bardziej przygląda się jej, niż słucha.

– Wybacz – rzekł, być może uświadomiwszy to sobie. – Przypominasz mi...

– Moją matkę – dokończyła.

Po chwili wahania skinął głową.

Spodobał się Mattie. Miał przystojną, opaloną, bystrą twarz z kwadratowym podbródkiem i interesującymi zmarszczkami. Wyglądał na kogoś, kto nie strzepi języka po próżnicy.

– Czy ona nadal surfuje? – zapytał, pochylając się do przodu.

Wydawał się trochę smutny, ale także podekscytowany.

Mattie podobała się jego twarz, jednak także uświadomiła sobie nagle, że

chciałaby uciec od niego.

– Kto? – spytała.

– Twoja matka.

– Tak. Czasami. – Chwyciła pierwsze z brzegu pomidory. – Muszę wracać do domu. Mama potrzebuje ich na kolację.

– Rozumiem – powiedział.

Nie ruszył się i spoglądał za nią, gdy stanęła w kolejce do kasy. Speszona odgarnęła włosy za uszy, usiłując zachowywać się, jakby nie wiedziała, że jest obserwowana. Odgrywała już wcześniej takie scenki. Ale on nie przyglądał się jej pożądliwie. Nie o to chodziło. Miała rodzaj wewnętrznego nadzwyczaj czułego wykrywacza flirtu i była całkiem pewna, że tutaj nie chodziło o to. Jednak o coś chodziło.

– Nadal w każdą sobotę surfuję w Ditch Plains – rzekł do niej. Stał daleko i wcale nie krzyczał, lecz jego głos dochodził do Mattie, jakby trafiał wprost do jej uszu. – Gdybyś kiedyś zechciała, możesz tam zajrzeć.

Dlaczego miałaby kiedykolwiek chcieć tam zajrzeć?

– W porządku – rzuciła niezobowiązująco.

– Pozdrów ode mnie mamę – powiedział poważnym tonem.

Nie patrzyła na niego, kiedy płaciła przy kasie, a potem szła do swojego roweru. Ale gdy już siedziała na siodełku i wyjeżdżała z parkingu, jednak się obejrzała. Nadal stał przy stoisku z pomidorami.

Wpraw mnie w zakłopotanie

Ruch w markecie był niewielki, a poranne dostawy były już rozładowane i rozłożone na półkach. Emma zatrzymała Sashę zmierzającą w kierunku kasy numer cztery.

- Tata powiedział, że kolacja będzie o siódmej. O której wychodzisz?
- O siódmej. Możesz mu powiedzieć, że spóźnię się kilka minut?
- Jasne.

Francis, jak miał w zwyczaju, zataczał powoli wielkie kręgi wokół lady z wyrobami cukierniczymi.

– Chcesz wczorajszy rogalik? – zapytała Emma Sashę.

– Nie, dzięki. Nie mogę się zatrzymywać. Francis stale podejrzliwie mnie obserwuje.

Emma przewróciła oczami i odczekała, aż kierownik zniknie za regałem z artykułami delikatesowymi.

– W zeszłym roku nosił papierową czapkę i podbierał lody włoskie z wózka przed sklepem. – Władza deprawuje.

– Zdecydowanie.

Sasha przybrała kpiąco-poważny ton:

– Ale to było, zanim ukończył studia magisterskie z zarządzania na Uniwersytecie Fordham.

Emma się roześmiała. Zrobiła minę naśladującą Francisca.

– Gdy zostałem magistrem, otworzyły się przede mną nowe perspektywy w dziedzinie handlu...

Francis znów pojawił się w polu widzenia i Sasha ruszyła dalej.

Odszukał ją kilka minut później, gdy przestawiała puszki z ciecierzycą.

– Emma jest asystentką kierownika w dziale cukierniczym – oznajmił jej. – Nie może przez cały czas prowadzić cię za rączkę.

– Och, wiem. Naturalnie. Masz rację.

Bawiła ją pewność Francisca, że ona i Emma rozmawiają zawsze wyłącznie o pracy.

Przyjrzał się jej podejrzliwie.

– Powiedziałaś, że już skończyłaś ustawiać puszki.

– Pomyślałam, że może mogłabym robić coś ciekawszego.

Francis z aprobatą pokiwał głową.

– Wiesz, jesteś do niej trochę podobna.

Sasha usłyszała za kilkoma regałami udawany kaszel Julia.

– Masz na myśli Emmę? – spytała Francisca. Teraz wolałaby przez najbliższe pół godziny ustawiać puszki z fasolą. – Owszem, tak mówią.

– Ale nie jesteś podobna do brata.
– Istotnie – przyznała. – Może częściowo dlatego, że on nie jest moim bratem.

Tak jak się spodziewała, Francis zignorował to wyjaśnienie.
Droga druga Sasho,
regent marketu Black Horse, Mistrz Sprzedaży, chce, żebyś przyszedł jutro na pierwszą zmianę.

Prawdziwa Sasha

*Drugi Rayu,
nie wolno Ci zostawiać swoich butów ani książek na noc w schowku.
Pozdrawiam,*

Faraon Fordham

(jak nazwano prawdziwego Raya)

– No więc dwa dni temu spotkałam w Black Horse faceta, który powiedział, żebym cię pozdrowiła – oznajmiła Mattie.

Siedziała, opierając się łokciami o blat kuchenny, i przyglądała się, jak mama płucze stertę sałaty, którą Mattie przyniosła ze straganu farmy Reese'ów.

Była to wiadomość równie zwyczajna jak ich wielopokoleniowy dom, a jednak Mattie wcześniej już trzy razy zaczynała o tym mówić i urywała. Z jakiegoś osobliwego powodu była przekonana, że musi starannie wybrać moment i sposób, w jaki to przekaże.

Matka była roztargniona. Co chwila zerknęła na swoją komórkę, jakby spodziewała się esemesa czy wiadomości głosowej.

– Ach tak? – Odgarnęła za ucho pasmo włosów. – Kto to był?

– Jonathan Dawes.

Matka znieruchomiała i odwróciła się do Mattie. Jej komórka prześlizgnęła się po ladzie. Naręczce sałaty wpadło do durszlaka. Mattie poszukała w oczach matki błysku niepokoju i znalazła.

– Na pewno go pamiętasz – dodała.

– Tak. Oczywiście. – Głos matki zabrzmiał niemal naturalnie, ale jej twarz straciła zwykły kolor. – Kiedyś uczył surfingu.

– Aha. Coś sobie przypominam.

– Rozpoznał cię?

– Chyba tak. Albo może usłyszał, jak ktoś zwraca się do mnie po nazwisku. Sama nie wiem.

Lila wyjęła sałatę ze zlewu. Głowę miała spuszczoną.

Mattie pomyślała, że może to jej dawny chłopak. Ktoś, kto kiedyś był dla niej ważny.

– Czy on też dorastał w tej okolicy, tak jak ty? – spytała.

Może to była przelotna letnia przygoda albo licealne zadurzenie. Mattie podniosła się z krzesła i usiadła na blacie. Chciała móc lepiej widzieć twarz matki.

Lecz mama najwyraźniej wołała tego unikać. Zostawiła sałatę i podeszła do lodówki.

– Ee... nie. Wydaje mi się, że poznałam go później. Mieszkał w Los Angeles. Tam się wychował. – Utkwiła niewidzące spojrzenie w półce z nabiałem.

– Przyjechał do Nowego Jorku do pracy. Pracował chyba w reklamie, a na weekendy przyjeżdżał tutaj surfować.

– Czy jest żonaty?

Matka nie odwróciła się do niej.

– Miał żonę, kiedy mieszkał w Los Angeles, ale rozeszli się dawno temu, gdy tu przyjechał. Nie wiem, co teraz się z nim dzieje.

– Co się stało? – zapytała Mattie.

– O co ci chodzi? – odparowała Lila, wciąż odwrócona do niej plecami.

Mattie zeskoczyła z blatu. Czowała, że serce bije jej szybko i mocno, chociaż nie wiedziała dlaczego.

– Po prostu o to, dlaczego teraz już nic o nim nie wiesz. Dlaczego nie pozostaliście przyjaciółmi.

Matka wreszcie się odwróciła. Wyglądała na zniecierpliwioną. Chwyła komórkę i ruszyła do drzwi, pozostawiając wilgotną sałatę i otwartą lodówkę.

– Mattie, dlaczego tak mnie wypytyujesz? Czy to takie ważne?

Dziewczyna chciała pójść za nią, ale w ostatniej chwili się powstrzymała.

– Mnóstwo ludzi nie podtrzymuje dawnych przyjaźni – rzuciła Lila przez ramię. – Bez powodu.

Wyszła i po chwili Mattie dobiegł z holu odgłos otwierania jednych drzwi i zamykania innych.

Ray podniósł wzrok nad kanapkę, którą sobie robił, i spojrzał gniewnie na leżącą na ladzie kuchennej w Wainscott komórkę taty, z której rozbrzmiewała melodia *Ice, Ice Baby*. Widocznie ojciec zostawił telefon, kiedy wyszedł pobiegać. Ray przed dwoma laty z nudów zmienił dzwonek komórki Adama, słusznie przypuszczając, że tata nie będzie umiał przywrócić poprzedniego.

„To jeszcze jedna starcza cecha taty” – pomyślał Ray z pewnym smutkiem. Kiedy on szedł pobiegać, musiał oczywiście mieć przy sobie muzykę, GPS i aplikację biegową załadowaną do aplikacji fitness. Nie wyobrażał sobie biegania bez komórki.

Po chwili zaczął dzwonić telefon stacjonarny, więc Ray podniósł słuchawkę, jakby był na planie telewizyjnego programu o gotowaniu.

- Halo.
- Cześć, tu George Riggs, czy...
- Och... ee... George. – Ray zaczął chodzić po kuchni. Żałował, że odebrał telefon. – Cześć. Mówi, ee... Ray... Riggs.
- Dlaczego dodał nazwisko „Riggs”? Dlaczego tak dziwnie się zachował?
- O rany, wspaniale – powiedział George tak szczerze, jak można było się spodziewać. – Co u ciebie, Ray?
- W porządku. A co... tam u was wszystkich? – wydusił Ray.
- Poczuł, że plecy jego podkoszulka wilgotnieją od potu. Zdał sobie sprawę, że mówi niżej niż zwykle, żeby wydać się starszym, i zrobiło mu się wstyd za siebie. Czy już za późno, żeby wrócić do własnego głosu?
- Doskonale.
- Boże, jakie to żenujące. Ray nagle za nic w świecie nie potrafił wygrzebać z pamięci nazwy firmy, w której pracował George, ani imienia jego ładnej rudowłosej dziewczyny. Wiedział, że przypomni sobie jedno i drugie, gdy tylko się rozłączy.
- Byłoby łatwiej, gdyby po prostu w ogóle się nie znali.
- Dobrze, więc prawdopodobnie chcesz porozmawiać z... – Ray bezsensownie rozważył tysiące wersji: „twoim tatą, Adamem, tatą” – ...tata? – dokończył, słysząc, że jego głos robi się piskliwy z napięcia i poczucia winy.
- No, tak. Jest gdzieś w pobliżu? Próbowałem dodzwonić się na jego komórkę, ale...
- Nie, wyszedł pobiegać. Powiem mu, że dzwoniłeś.
- Świetnie. Dzięki, Ray.
- Nie ma za co.
- A więc dobrze. Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy.
- Jasne... miło było cię usłyszeć – rzekł Ray.
- Czy naprawdę tak powiedział?
- Odłożył słuchawkę. Miał ochotę się rozplakać. To był jego brat.
- Wrócę o czwartej busem.
- Dobrze. Na pewno? Będę tęsknić.
- Tak. Po prostu wpadnę dziś wieczorem do domu w Brooklynie i będziemy mieli z głowy pierwsze spotkanie. Pójdzie całkiem gładko. – Emma chodziła tam i z powrotem przed śmietnikami na tyłach marketu, udając, że nie widzi Francisca śledzącego ją przez tylne okno. Jej przerwa już się skończyła, ale zazwyczaj przymykał oko, jeśli przedłużała ją o kilka minut. – Zastanawiałam się nad tym i mam wrażenie, że jeżeli powiemy o wszystkim, ona zacznie zadawać mnóstwo pytań.
- A w przeciwnym razie?
- Najwyżej kilka.

– Już się denerwuję. Kopniesz mnie pod stołem, jeżeli zacznę zbyt często mówić „przepraszam”?

Emma się zaśmiała.

– Chodzi o to, że chcę, żeby moja mama zorientowała się, jaki jesteś wspaniały i uroczy, tak aby, kiedy później dowie się, gdzie pracujesz i w ogóle, to nie była jedyna kwestia, o której będzie potrafiła myśleć. Już cię polubi, zanim będzie mogła uprzedzić się do ciebie.

– Ale co, jeśli od razu na początku naszego dzisiejszego spotkania zapyta mnie, czym się zajmuję?

– Myślę, że nie zapyta. Właśnie dlatego tak łatwo nam pójdzie. Ona uważa się za nowocześniejszą od rodziców, którzy natychmiast wypytują przyjaciół swoich dzieci, co robią i do jakiego college’u się wybierają.

– To dość dziwne. Ale dobrze, dla nas lepiej.

– Więc zjaw się około dziewiątej. Powiemy, że przyszedłeś po mnie, bo mamy się spotkać z paroma osobami w Prospect Park. Udamy, że przyjaźnimy się od niedawna, że w gruncie rzeczy jesteśmy tylko znajomymi, dobrze?

– To dalekie od prawdy, Em. A ja jestem strasznie kiepskim aktorem.

Znowu się roześmiała.

– Po prostu zachowuj się wobec mnie przyjaźnie. To nie wymaga żadnego grania.

– Dobrze, rozumiem – powiedział.

Usłyszała, że on nerwowo kopie stopą w biurko, co nie było dobrym znakiem.

– A więc do zobaczenia. – Milczała przez chwilę. – Kocham cię.

– O rany, ja też cię kocham.

– Myślałam, że łowisz z przynętą w oceanie.

Ray odwrócił się i spojrzał za siebie. Stary pomost sterczał od brzegu stawu jak zakrzywiony szary palec, a Quinn przemykała po nim, wprawnie omijając co bardziej miękkie deski. Ray popatrzył znowu na linkę swojej wędki zanurzoną w nieruchomej wodzie stawu.

– Zamierzałem. Ale potem zmieniłem zdanie i przyszedłem tutaj.

– Co się stało?

– Nic. Dlaczego pytasz?

Nagle już siedziała obok niego, dyndając nogami zwieszonymi ze skraju pomostu. Doznał dziwnego wrażenia, że czas płynie dla Quinn w specjalny sposób. W jednej chwili stała, w następnej siedziała, teraz klęczała, a już zaraz leżała na plecach. Nigdy nie widziało się momentów pomiędzy, kiedy zmieniała te pozycje.

– Wędkujesz w stawie, gdy jesteś smutny.

Odwrócił się do niej.

– To nieprawda.

A może prawda?

– A w oceanie, kiedy jesteś szczęśliwy.

Nie, wcale nie. A może jednak tak?

Quinn nigdy nie próbowała naciskać. Teraz po prostu rozpostarła ręce, jak świetlik skrzydełka do lotu. Świetlika możesz złapać albo nie. Nawet jeśli go nie złapiesz, fruwa migotliwie wokoło, rozpraszając twoją uwagę.

– Kto przedtem dzwonił? – spytała.

– Co takiego?

– Na telefon stacjonarny w kuchni.

Czy podsłuchiwała całą rozmowę? Czasami bywała ścichapek. Ściśle biorąc, nie szpiegowała, ale przycupnęła gdzieś i nadstawiała uszu.

– Och, racja. To był George – rzekł Ray, przyglądając się trzymanej w palcach dżdżownicy.

– George Riggs?

– Aha – mruknął, zadowolony, że nie powiedziała „twój brat George”. – Dzwonił do Adama.

Sięgnęła do wiadra Raya, wyjęła jedyną szamoczącą się tam rybę i wrzuciła ją do stawu.

– Hej! – zaprotestował.

– Nie możesz trzymać tam tego maleństwa.

– Teraz rzeczywiście nie mogę.

Wciągnął linkę i założył na haczyk następną przynętę.

– Jeżeli z powrotem zarzucisz wędkę, prawdopodobnie znowu złapiesz tę rybkę.

Ray się roześmiał. Niekiedy rzeczywiście miał żalosne podejrzenie, że wciąż na nowo łowi tego samego nieszczęsnego okonia. To dość, żeby się zdołować, o ile już nie było się zdołowanym.

– Co u niego?

– U George'a?

– Tak.

– Nie wiem. Dobrze.

– Niedługo z nim rozmawiałeś.

Ray przez chwilę milczał.

– Tak, rzeczywiście.

Quinn też umilkła.

– Nigdy nie wiem, o czym z nim mówić. – Usłyszał własne słowa.

Czasami gdy Quinn się nie odzywała, czuł się w obowiązku coś powiedzieć i wyrażał wtedy nieoczekiwane uczucia. Dlaczego?

Skinęła głową.

– Wiem, to równy gość – rzekł.

Uśmiechnęła się.

Ray poczuł się głupio, był zły na siebie. Chciałby cofnąć te słowa, ale wisiły w powietrzu.

– Przyjaźnisz się z nim, prawda? – zapytał. – To znaczy, poza wszystkim innym.

„Wszystko inne” oznaczało w tym przypadku ich osobliwą rozległą rodzinę. Quinn była przybraną siostrą George’a, a nie jego krewną. W przeciwieństwie do Raya nie łączyło jej z nim DNA niestałego ojca.

– Jasne. Tak jakby. – Wskazała swoje palce stóp zanurzone w wodzie. – Czasami wysyłam mu nasiona.

– Nasiona?

– Tak. Na przykład rzepy, słoneczników, batatów. Pomaga uprawiać miejski ogródek w Oakland.

Oczywiście, George się tym zajmował. W czasie wolnym od pracy po sto godzin tygodniowo w młodej firmie działającej w branży programistycznej sadził warzywa w miejskim ogródku albo ratował delfiny zagrożone wyciekami ropy.

Ray poczuł się nagle zbyt przygnębiony, by zmusić się do wypowiedzenia swoich zwykłych półprawd o tym, jak to żałuje, że nie trzyma się bliżej z George’em.

– W gruncie rzeczy go nie znam – rzekł zamiast tego. – Nie widziałem go od jakichś dwóch lat.

Popatrzył na siostrę, na jej krótkie brudne paznokcie palców rozczapierzonych na pomoście, na opalone nogi niemal w tym samym kolorze co deski. Miała wydatne żyły przedramion jak u starszej osoby, ale potargane włosy odgarnięte za uszy upodabniały ją raczej do małego dziecka. Była jedyną znaną mu dziewczyną z krótkimi włosami, lecz czy rzeczywiście kiedykolwiek je strzygła?

– To smutne – powiedziała.

– Chyba tak – przyznał.

Posiadanie brata coś dla niego znaczyło, gdyż poza tym miał same siostry. Trzy, a właściwie cztery, bo była jeszcze Esther. Ray nadal miał przyklepione na tablicy w swoim pokoju zdjęcie zrobione przed pięcioma laty, gdy George zabrał go na mecz koszykówki Netsów. Czuł się obłudnie, zachowując je, ale nie potrafił go wyrzucić.

Quinn szturchnęła stopą jego stopę.

– Wiesz, to nie było z twojego powodu.

Ray w pierwszej chwili udał, że nie wie, o czym ona mówi, jednak wiedział.

– Adam wyjechał z Kalifornii, jeszcze zanim się urodziłeś – powiedziała.

Wzruszył ramionami.

– Wiem, to nie było w porządku wobec nich – mówiła dalej. – Ale ty nie zrobiłeś niczego złego.

Lecz nie zrobił też niczego dobrego. Wałęsał się tylko i zachowywał jak rozwyrzony smarkacz, podczas gdy George wstąpił na Uniwersytet Stanforda i zdobył tam jakąś ważną nagrodę w dziedzinie inżynierii. Ten gość jak nikt inny zasługiwał na ojca, który by go nie opuścił. Ray z pewnością nie zasługiwał.

Kiedy Adam poznał mamę Raya, George i Esther chodzili jeszcze do gimnazjum. Adam był już rozwiedziony z Giną, ich matką, jednak mieszkał w Sausalito w odległości kilku minut jazdy od nich i z tego, co Ray wiedział, sumiennie zabierał obydwójce do siebie na weekendy. Pół roku później Adam zakochał się w Lili i przeprowadził się na drugi koniec kraju, żeby być z nią. Odtąd tylko dwa razy w roku wracał do Kalifornii. George i Esther każdego lata przyjeżdżali na tydzień do domu w Wainscott, dopóki nie skończyli liceum, a wtedy w ogóle przestali się tam pojawiać. Ray ledwie pamiętał tamten okres.

Adam i Lila wzięli ślub w ogródku za domem w Brooklynie, kiedy była już w widocznej ciąży przed urodzeniem Raya. Dorastał, wiedząc, że jest niechcianym dzieckiem. Po co im następne, skoro Adam miał już dwoje, którymi nie zamierzał się zajmować?

Ray znał tę ceremonię ślubną tylko ze zdjęć. Te zdjęcia go fascynowały. Zwłaszcza wyraźne napięcie jego pięciorga przyrodniego rodzeństwa. Wyobrażał sobie nawet preludium tego zdarzenia. Gina niechętnie przywozi z Kalifornii George'a i Esther wbitych w ich najlepsze stroje. Na weselu wyglądają oboje jak pojmani jeńcy. Trzy małe córeczki Lili w hipisowskich używanych ubrankach sprawiają wrażenie, jakby pomyliły imprezy. Nawet Emma tamtego dnia wydaje się niepewna i zagubiona. Quinn ma szeroko otwarte oczy i poważną minę. Jeśli przyjrzeć się uważnie, można dostrzec, że na każdym zdjęciu kurczowo trzyma się dłoni Mattie.

Dlaczego rodzice zawsze zmuszają swoje dzieci do obecności na ich następnych ślubach? Ray wyobraził sobie album fotograficzny autorstwa na przykład Diane Arbus, wydany przed Halloween i zatytułowany: „Dzieci przyglądające się, jak ich rodzice poślubiają obce osoby”.

– Przepraszam, powiedział pan, że jak się nazywa?

To pytanie matki dobiegło Emmę tego wieczoru od drzwi wejściowych ich domu w Brooklynie z elewacją z piaskowca.

Emma spojrzała na wyświetlacz komórki; była za cztery dziewiąta. Zbiegła po schodach do holu i szybko stanęła za matką. Chudy, przystojny, wiercący się nerwowo Jamie wyglądał we framudze drzwi niczym w ramie obrazu. Oczywiście nie przyszedł o wyznaczonej porze, tylko wcześniej.

– James Hurn. Ee... po prostu Jamie. – Skwapliwie wyciągnął rękę, jakby był na spotkaniu z prezydentem. – Jestem przyjacielem Emmy – powiedział, nieco za mocno akcentując słowo „przyjaciel”.

– A ja jestem Lila, matka Emmy – rzekła, mierząc go wzrokiem.

– Cześć, Jamie – pisnęła Emma prawdopodobnie zbyt radosnym tonem. Serce waliło jej mocno. – Co cię sprowadza?

– Proszę, wejdź – zaprosiła go Lila.

Odstąpiła na bok, a potem zamknęła za nim drzwi. Była w dzinsach, kapciach i rozpinanym swetrze z dużą dziurą u dołu pleców wygryzioną przez mole. Jej włosy wyglądały na niemyte od tygodnia. Emma tak bardzo się martwiła, co mama pomyśli sobie o Jamie, że zapomniała martwić się tym, co on pomyśli o niej.

– Mam się właśnie spotkać w Prospect Park z kilkorgiem przyjaciół i wpadłem zobaczyć, czy Emma może chciałaby się przyłączyć. – O Boże, mówił, jakby dukał ze scenariusza. – Jaki piękny dom – dodał tonem najmniej swobodnym na świecie.

Ten pretekst nie zabrzmiał przekonująco. Czy Jamie potrafiłby wymyślić jakikolwiek bardziej wiarygodny?

Matka już odwróciła się do niego i przyglądała mu się uważnie.

– Napijesz się czegoś?

Emma zerknęła w stronę salonu z boazerią z ciemnego drewna i uświadomiła sobie, jak bardzo jest ciasny i zagracony. Wszędzie piętrzyły się sterty książek. Teraz musiała się martwić także tym. Wyobraziła sobie czysty, widny, przestronny podmiejski dom Jamiego z panoramicznymi oknami wychodzącymi na osłoneczniony trawnik i wiatę. A właściwie co to jest wiata?

– Może wody? Sodowej? Wina? Piwa? Jesteś już pełnoletni, prawda? Może byś coś zjadł?

Lila zawsze zachowywała się przyjaźnie wobec ich gości. Lubiła ich karmić i wypytywać o ulubione lektury i filmy.

– Tak, proszę pani – odrzekł pośpiesznie i popatrzył na Emmę, oczekując wskazówek.

Odpowiedziała mu szybkim wzruszeniem ramion mającym oznaczać, że może mówić, cokolwiek zechce.

– To znaczy, tak, jestem pełnoletni. I nie, dziękuję, nie jestem głodny. Dopiero co jadłem.

Lila przeniosła baczne spojrzenie z Jamiego na Emmę, a potem znów na niego. Ci dwoje stali sztywno jak kołki i w nienaturalnie dużej odległości od siebie. Wyglądali, jakby czekali na ogłoszenie wyroku. Nie sprawiali wrażenia swobodnych.

– Może przynajmniej przyniosę ci coś do picia?

– Przepraszam. Ee... ja po prostu... ee... Może wody? – wyjąkał.

– Oczywiście – rzekła Lila. – Dlaczego nie usiądziesz? Chyba że się śpieszysz. Emmo?

– Ee... dziękuję, pani Harrison. – Jamie zamilkł na chwilę, a potem rzucił

szybko: – Nie, proszę pani. To znaczy, tak, proszę pani. Nie, nie śpieszę się. I tak, chętnie usiądę.

Posłał Emmie rozpaczliwe spojrzenie tonącego.

– Może powinniśmy już wyjść – powiedziała Emma na tyle głośno, by usłyszała ją matka nalewająca w kuchni wodę.

Wyczuwała, że spotkanie przybiera coraz gorszy obrót. Błyskawicznie włożyła pantofle i chwyciła torebkę. Ale spóźniła się. Jamie ze szklanką wody w ręce siedział już sztywno na brzeżku sofy naprzeciwko matki.

– Usiądź, Emmo. Posiedźcie trochę – rzekła Lila.

Emma była pewna, że matka coś wywęszyła. Usiadła, bo to wydawało się najmniej podejrzane.

– Tylko chwilkę – powiedziała.

– Więc skąd znasz Emmę? – zapytała Lila Jamiego.

Dziewczyna zacisnęła pięści. Zaraz wydarzy się katastrofa. Ta wizyta była fatalnym pomysłem. A tak w ogóle to czym? Boże, nienawidziła, kiedy jej własne pomysły okazywały się fatalne. Rzuciła Jamiemu spojrzenie, które, liczyła na to, miało go podnieść na duchu.

– Poznaliśmy się na... imprezie dla pracowników – odrzekł Jamie.

Jakiej innej odpowiedzi Emma mogłaby się po nim spodziewać? Jamie był patologicznie prawdomówny. To jedna z cech, które w nim kochała.

Lila sprawiała wrażenie zbitej z tropu – być może dlatego, że w markecie Black Horse nie urządzano zbyt wielu „imprez dla pracowników”.

– A czym pan się zajmuje? – wypytywała dalej.

– Jamie pracuje w biznesie – wtrąciła się Emma, lecz zorientowała się natychmiast, że to nie pomogło.

– W jakiej dziedzinie biznesu?

Emma wypuściła wstrzymywany oddech. Od kiedy to jej hipisowsko luzacka matka przeprowadza przesłuchania niczym gestapo?

– *Mamo!* – jęknęła prosząco, świadoma, że zabrzmiało to, jakby miała dwanaście lat.

– A co? Czy to tajemnica? Jamie, jesteś szpiegiem?

– Pracuję w branży inwestycyjnej – powiedział cicho.

W danych okolicznościach nie była to najlepsza odpowiedź. Lila odniosłaby się do niego życzliwiej, gdyby był pracownikiem stacji benzynowej, a nie bankierem.

– W jakiej firmie?

Jamie popatrzył załośnie na Emmę, a ona tylko pokręciła głową. Żadne z nich dwojga się nie odezwało.

– Co się z wami dzieje? – spytała Lila.

– O co ci chodzi? – rzekła Emma słabym głosem, niezdolna zdobyć się na

choćby cień oburzenia. – Nic się nie dzieje.

– Od jak dawna się spotykacie?

Cisza. Emma i Jamie nie potrafili nawet spojrzeć na siebie.

– Od dziewięciu tygodni – odpowiedział Jamie, czując ulgę, że wreszcie mówi prawdę.

Lila uważnie przyjrzała się córce.

– Rozumiem. To wiele wyjaśnia z twojego zachowania, moja droga.

Emma odwzajemniła jej spojrzenie.

– O czym mówisz?

Lila się uśmiechnęła.

– Wiedziałam, że coś się dzieje! Wiedziałam, że się z kimś związałaś. Nie potrafiłam tylko wywęszyć, z kim. Ale dlaczego zachowujecie się tak dziwnie? Dlaczego trzymaliście to w sekrecie?

Emma i Jamie znowu wymienili żalosne spojrzenia.

– No co takiego? O co chodzi? Teraz naprawdę zaczynam się niepokoić.

Emma nerwowo trzasnęła kostkami palców. Jamie wyglądał na głęboko nieszczęśliwego. Uspokoiła oddech. Otworzyła usta, ale nic nie powiedziała.

– O Boże, jesteś w ciąży? – spytała Lila.

– Nie! – odparowała porywczo Emma. – Jak możesz o to pytać?

– Ponieważ wiem, że o coś tu chodzi. Po prostu powiedz mi, o co.

Jamie nie mógł tego dłużej znieść.

– Jestem analitykiem w firmie Califax Capital – wyznał w końcu takim tonem, jakby kogoś zamordował. – Pracuję u pana Thomasa. To znaczy, nie bezpośrednio u niego. On jest jakby szefem mojego szefa.

Lila osunęła się głębiej w fotel.

– Naprawdę? – spytała.

Na jej twarzy malowało się raczej wzburzenie niż ulga.

– Tak – potwierdził Jamie, zwieszając głowę.

– I właśnie tak się poznaliście? Domyślam się, że za pośrednictwem Roberta?

– Mniej więcej – odpowiedziała Emma.

Matka spojrzała na nią podejrzliwie.

– Ale on tego nie ukartował, co?

– Nie – odrzekła szybko Emma. – W żadnym razie. W ogóle o tym nie wie.

Lila westchnęła.

– Rozumiem. – Pokręciła głową w kierunku Jamiego. – Wy, młodzi pracujący u Roberta, jesteście gorsi niż sekta.

Emma wstała.

– Mamo, wcale nie rozumiesz. I to właśnie jest okropne.

Chwyciła torebkę. Jamie także wstał i spoglądał niepewnie to na Emmę, to

na jej matkę.

Lila znów westchnęła.

– Wolalabym chyba, żebyś była w ciąży – powiedziała.

– O Boże, mamo!

Lila odwróciła się do Jamiego.

– Ale nie z tobą – warknęła.

Droga druga Sasho,

cytat dnia z naszego nieustraszonego kierownika:

„To dziwne. W jednym tygodniu Ray jest ładniejszy i ciężiej pracuje.

W następnym często się uśmiecha i nosi cięższe pudła”.

Nie potrafię się już zorientować, kto jest kim.

A tak przy okazji: on postanowił nazywać mnie Małym Rayem.

Prawdziwa Sasha

– Nie poszło nam gładko – biadolił Jamie, gdy oboje siedzieli ponuro przy oknie w barze przy Siódmej Alei.

Emma sięgnęła nad stolikiem i ujęła jego dłoń.

– Myślę, że kłamanie nie jest dla nas najlepszą strategią. Nie jesteśmy zbyt dobrymi oszustami.

– Mogę nad tym popracować – zaproponował.

– Nie chcę nawet, żebyś próbował. – Wypiła łyk mrożonej herbaty. – To problem mojej mamy, nie nasz. Ona jest pomyłona. Obydwoje moi rodzice są pomyleni. Doprowadzają siebie nawzajem do obłądu. – Wzruszyła ramionami. – Gdyby nie to, mogliby być całkiem fajnymi ludźmi.

Właśnie taka mi się wydawała, kiedy nie wiedziałem, kim jest

– Co my tu robimy?

Ray nie zapuścił się daleko poza drzwi wejściowe. Krążył w holu pośród futryn, ale nie przepchnął się przez żadną z nich. Parker powiedział, że dziewczyny w Upper East Side są gorętsze, i może to prawda, jednak chociaż nosiły wysokie szpilki i kuse spódniczki, Ray zdecydowanie wolał te z Brooklynu.

Dlaczego się tutaj znalazł? Towarzystwo stanowiły głównie dzieciaki z prywatnych szkół, których starał się unikać, ale Parker znał tu czyjegoś kumpla. Ray nie przyszedł poderwać dziewczyny. Pomyślał o Violet w East Hampton. On i Mattie wrócili do miasta na noc, żeby zabrać trochę rzeczy, a rano podwieźć jego mamę do Wainscott. Pracę w markecie miał zacząć dopiero o pierwszej po południu. Violet skarżyła się, że do jego powrotu nie będzie miała żadnej rozrywki, i namawiała go, żeby też się nie bawił. Rozejrzał się. No cóż, stosował się do jej prośby.

Przed drzwiami kuchni stała samotnie jakaś dziewczyna. Nie mógł się zorientować, czy czekała na przyjaciółkę, w kolejce do łazienki, czy stała tu z jakiegoś innego powodu. Nie nosiła krótkiej spódniczki ani nawet legginsów, tylko spodnie. Była niska, miała długie czarne włosy i śniadą cerę. Pomyślał, że może jest Latynoską. Nie zamierzał się na nią gapić, ale gdy się odwróciła, żeby odstawić plastikowy kubek na stół w holu, dostrzegł jej wąską talię i bujne biodra. A potem, mimo że jej bluzka nie była szczególnie obcisła ani kusa, nie mógł nie zauważyć, że chociaż dziewczyna ma drobną figurę, jej piersi są duże i krągłe. Parker gustował w wysokich, wysportowanych pannach, ale ta dziewczyna miała ten typ kobiecego ciała, który zawsze szaleńczo pociągał Raya.

Nie wyglądała na zniecierpliwioną, a nigdzie w pobliżu nie było łazienki. Ray widział ją tylko z boku i włosy zasłaniały jej większość twarzy, jednak mógł się zorientować, że jest ładna. I nie obracała niczego w dłoniach, co też go ujęło.

„Kiedy jesteś sam, patrz w swoją komórkę”. To była główna, niekwestionowana zasada. Dlaczego ta dziewczyna nie wpatrywała się w komórkę? Uniosła głowę i spojrzała na niego. Uświadomił sobie nagle, że też jest sam i też nie wpatruje się w swój telefon komórkowy. Patrzył na nią. Obawiał się, że gapi się na nią tak, aż oczy wyskakują mu z orbit jak u postaci z kreskówki.

I co teraz? Niewątpliwie przyłapała go na przyglądaniu się jej. Pomachał do niej. Uśmiechnęła się i w odpowiedzi też pomachała, trochę zakłopotana. Wydawała mu się jakby znajoma. Czyżby skądś ją znał? A może po prostu podobały mu się twarze takie jak jej.

Poczuł, że musi odwrócić wzrok. Czy powinien coś powiedzieć? Podejrzewał, że wypadłoby to okropnie niezręcznie, ale czy nie minęli już punktu,

poza którym nieodezwanie się do niej byłoby czymś jeszcze bardziej niezręcznym?

Z kuchni wyszła jej przyjaciółka, należąca do plemienia jasnowłosych dziewczyn w kusych spódnickach. Ray skorzystał z okazji, by trochę dłużej przyjrzeć się tej brunetce. Czy ją zna? Zerknęła za siebie na niego, gdy przyjaciółka prowadziła ją w głąb korytarza. Znowu go przyłapała na gapieniu się na nią.

Szła w charakterystyczny sposób, szurając nogami. W pamięci błysnęło mu parę iskerek, ale zgasły, zanim mógłby odkryć, co oznaczają. Ta skromna ciemnowłosa dziewczyna wyraźnie różniła się od wysokiej przyjaciółki na szpilkach. Widział, że gdy obie szły korytarzem, chłopcy gapili się na tę efektowną blondynkę, jednak to ta druga, powłócząca nogami, była prawdziwą pięknnością, ze wspaniałym ciałem ukrytym pod niepozornym ubraniem. Miała typ urody, który mógł docenić tylko ktoś tak głęboki jak on. Zaśmiał się z tej myśli, jednak jej nie porzucił, jakby to on był odkrywcą uroku tej dziewczyny.

„Nie przyszedłeś tutaj na podryw”, napomniał siebie poruszony i nieco dezorientowany, gdy odchodziła.

W jadalni zastał Parkera. Przyjaciel wydawał się nieco zagubiony. W rękę trzymał komórkę, której blask oświetlał mu twarz. Podniósł znad niej wzrok i rzucił:

– Spadajmy stąd, stary.

Co oznaczało, że żadnej nie poderwał albo że skończyło się piwo. Dziesięć minut wcześniej Ray z radością pozegłowałby za drzwi, teraz jednak chciał zostać.

– W kuchni jest piwo – zauważył.

– Wypiłem trzy. Dziewczyny zrobiły się ładniejsze, ale ani trochę bardziej chętne.

– W jednej z sypialń grają w piwnego ping-ponga.

– Ale w kolejce czeka z dziesięciu gości.

– Dobrze. Wysikam się i możemy iść – rzekł Ray.

Zaczął powoli krążyć po mieszkaniu. Wiedział, kogo szuka, ale nie był pewien, co robi, jeśli ją znajdzie. Przechodził z pokoju do pokoju, starając się nie sprawiać wrażenia nachalnego podglądacza. Zaglądając w każdy kąt, na moment wstrzymywał oddech. Co się z nim dzieje?

Ale tej dziewczyny nigdzie nie było. Wystawał nawet pod łazienkami, lecz nie wyłoniła się z żadnej.

Widocznie już wyszła. Poczłł niejasny, ospały smutek, a pod nim lekki powiew ulgi. Wiedział skądś, że ta dziewczyna mogłaby wywołać w nim mnóstwo pogmatwanych emocji, jakich nie doświadczał dotąd wobec żadnej innej. Teraz już ich nie dozna. Nie będzie musiał ich doznawać.

Mattie i Ray późnym popołudniem wrócili razem do Brooklynu – ona, żeby zabrać ubrania i pójść do dentysty. Później Ray wybrał się na imprezę do jakiejś dziewczyny na Manhattanie, a Mattie została w domu i myszkowała w nim, póki

nie znalazła tego zdjęcia w segregatorze w piwnicy.

Miała niesamowite wrażenie, że dokładnie wie, gdzie go szukać pośród stert pozwijanych odbitek oraz śliskich negatywów, na których widmowi krewni szczyrzyli czarne zęby.

Było w pliku odbitek obwiązanych gumką, opatrzonym karteczką z datą „1997” nakreśloną charakterem pisma jej matki. Scenerię tych zdjęć stanowiła jak zwykle plaża, jednak obsada była odmienna. Zamiast jej spoconego, wiecznie młodego, sprawiającego wrażenie nieco zagubionego ojca w kąpielówkach w kwiaty i okularach przeciwsłonecznych Ray-Ban widniał na nich blondyn w wyblakłych spodniach piankowego kombinezonu do nurkowania, trzymający w górze deskę do surfingu i wyglądający, jakby narodził się wprost z piasku. Na jednym zdjęciu mężczyzna uczył pływać Emmę na dziecięcej desce. Na drugim trzymał za rękę maleńką Quinn balansującą na przedzie jego długiej deski. Na innym stał z jej bardzo wówczas młodą matką na plaży omywanej pianą przyboju. Mattie przypuszczała, że pozostałe zdjęcia były dziełem mamy, kto więc zrobił to? Podejrzewała z jakiegoś powodu, że pstryknięto je bez wiedzy fotografowanych.

Kwestią jak zawsze pozostawał związek tego zdjęcia z biegiem ich żyć. Jak miało się do Wielkiego Wstrząsu? Zostało zrobione po nim, ale niedługo – może kilka miesięcy. Pochodziło z okresu tuż po katastrofie, a jednak wydawało się z pozoru tak pełne spokoju.

Ale Mattie interesowało inne, konkretne zdjęcie, od którego nie mogła oderwać oczu, przedstawiające tego samego Jonathana Dawesa – spotkanego niedawno w markecie Black Horse – trzymającego ją malutką w górze. Na tym zdjęciu stała chwiejnie na jego dłoniach wysoko nad piaskiem, z miną wyrażającą mieszaninę lęku i zachwytu. Czy mogła to pamiętać? Balansowanie w górze na parze otwartych dłoni w oczekiwaniu na skok w miękki piasek. Nie, była za mała. Prawdopodobnie przypominała sobie tylko oglądanie tej fotografii.

Mattie przyjrzała się temu mężczyźnie, który mrużąc oczy, spoglądał ze zdjęcia na nią. Uśmiechał się szeroko; wyglądał na uszczęśliwionego. Ale może nie całkiem uszczęśliwionego. Na jego twarzy widniał też wyraz lekkiej rezerwy.

Ray opuszczał przyjęcie z głową pełną myśli i nieobecny wzrokiem. Drzwi windy się otworzyły, do kabiny wcisnęła się grupka ludzi i nagle zorientował się, że stoi tuż za tą dziewczyną, w odległości najwyżej kilkunastu centymetrów. Jeszcze zanim ją zobaczył, poczuł zapach jej włosów. Ten zapach go oszołomił, dotarł na skrót do tej części jego mózgu, która nie posługiwała się słowami. Nie zamierzał spojrzeć w dół na jej piersi, ale co mógł poradzić? Ogarnęły go nagle podniecenie i niepokój.

Obok niej stała przyjaciółka – inna, z wysoko upiętymi czarnymi włosami. Odwróciła się do jego kumpla i spytała:

– Czy ty jesteś Parker Murray?

Parker podniósł wzrok znad komórki.

– Tak.

– Jesteś przyjacielem Zacha Kaplana.

– Aha. Myślałem, że się tu dziś pokaże – rzekł Parker. – Chodzisz do liceum Trinity?

– Nie, do Sacred Heart. Znam Zacha z plaży.

Tych dwoje wiodło zwyczajną rozmowę, winda zjeżdżała z brzękiem, a Ray przebywał głęboko wewnątrz swojego umysłu, usiłując wydobyć się na powierzchnię; czuł się oszołomiony, a jednocześnie lekko przestraszony. Patrzył na fragment jej ciemnych włosów, nie całkiem prostych. Przepelniało go uczucie, którego nie pojmował.

Nieoczekiwanie odwróciła głowę i spojrzała na niego. Miała drobną twarz o delikatnych rysach, spiczasty podbródek, duże oczy, które w tym świetle wydawały się żółtobrązowe. Zaskoczyła go, gdy miał minę wyrażającą jawne oszołomienie, i nie zdążył przybrać neutralnego wyrazu twarzy.

Dziewczyna nie wyglądała na zirytowaną. Też była zaskoczona i oszołomiona. Odwróciła głowę z powrotem i patrzyła przed siebie.

Serce waliło mu tak mocno, że zastanawiał się, czy to widać przez jego koszulę albo czy dziewczyna mogłaby wyczuć spowodowane tym wibracje powietrza między nimi.

Znowu nasunęło mu się pytanie, czy ją skądś zna.

Machinalnie wyszedł z windy za tamtą trójką. Stanęli wszyscy lekko zakłopotani pod markizą kamienicy mieszkalnej. Dziewczyna z wysoko upiętymi włosami odwróciła się prosto do Raya i powiedziała:

– Nazywam się Chloe Neil. Czy my się znamy?

– Nie wiem. Chyba nie. Jestem Ray.

Czarnowłosa dziewczyna odetchnęła gwałtownie. Odgłos był cichy, ale poruszył Raya. Chłopak poczuł na sobie jej wzrok. Spojrzał na nią z odruchowym niepokojem.

Później miał wrażenie, że spodziewał się tego, co się stanie, przewidywał to, a zarazem jakby pamiętał.

Chloe wyczekująco, ze zniecierpliwieniem popatrzyła na przyjaciółkę. Trąciła ją lekko biodrem.

– Hej! Zaniemówiłaś?

– Jestem Sasha – powiedziała brunetka, spoglądając mu w oczy swoimi dziwnymi, uroczymi oczami.

Dopiero po dłuższej chwili w umyśle Raya pojawiło się to niesamowite przypuszczenie. Jego myśli poruszały się niezwykle powoli, jakby przedzierały się przez obszary gęstego powietrza i zmaconej wody, która zalewała mu uszy. „Czy to znaczy...? Czy to możliwe, żeby ona...?”

Nie. Jest wiele Sash. I wielu Rayów – a przynajmniej kilku. Ale sposób, w jaki na niego spojrziała i w jaki to powiedziała...

„Jej też przyszło to na myśl, czyż nie? A skoro tak, czy w takim razie to nie musi być prawdą?”

– Ty nie jesteś... Sashą Thomas – powiedział.

Musiał się tego dowiedzieć, czuł się obezwładniony tą możliwością.

– Wy się znacie? – spytała Chloe, wyczuwając dziwne napięcie pomiędzy nimi.

Ona i Parker z zakłopotaniem przyglądali się im dwojgu przyglądającym się sobie nawzajem.

Sasha popatrzyła śmiało wprost na Raya.

– Ty... ty chyba nie... Naprawdę jesteś Rayem?

W pewnym sensie był Rayem. Ale nie całkiem. W tym momencie nie wiedział, kim właściwie jest. Zanim się zorientował, wyrwało mu się:

– Niekiedy nazywają mnie Sashą.

Wybuchnęła śmiechem, który zaskoczył ich oboje. Rozejrzeli się, jakby chcieli się przekonać, skąd dobiega. Dźwięk tego śmiechu nappełnił radością serce Raya.

Wciąż się śmiała. I miała przepiękny uśmiech.

– A ja bywam nazywana Rayem – powiedziała.

– Najwyraźniej się znacie. – Usłyszał gdzieś w tle cierpki głos Chloe.

Widocznie Chloe nie przepadała za żartami niezrozumiałymi dla osób postronnych.

– Nie – odparła Sasha, kiedy w końcu przestała się śmiać.

Ray zdał sobie sprawę, że nachyla się ku niej.

– Nie – powtórzył jak echo. – Nigdy nawet się nie spotkaliśmy.

Jak się okazało, Chloe wcześniej zamówiła ubera. Teraz sprawdziła komórkę, zadzwoniła do kierowcy i popchnęła Sashę w kierunku rogu ulicy.

Oszołomiona Sasha ledwie trzymała się na nogach, ledwie wiedziała, że w ogóle je ma. Ray (Ray!) oddalał się od niej po chodniku.

– Ten głupi kierowca czeka na Osiemdziesiątej Ósmej Ulicy – oznajmiła Chloe. – Powiedziałam mu, żeby przyjechał na Lexington Avenue, a on tylko wrzasnął na mnie.

Ray przystanął i patrzył na Sashę. Jego przyjaciel już szedł wolno chodnikiem w przeciwną stronę.

Sasha pragnęła odezwać się jeszcze do Raya, ale nie wiedziała jak. Miała tyle rzeczy do powiedzenia; obydwójce mieli. Ani krótka pogawędka, ani długa rozmowa, ani nic pomiędzy nie wystarczyłoby do wyrażenia tego, co czuła.

Widziała, że on też chce coś powiedzieć. Żałowała, że Chloe jak oszalała odciąga ją siłą do auta.

Ogarnęła ją rozpacz. Myśli chaotycznie kłębiły się jej w głowie. A jeśli już nigdy więcej go nie zobaczy? Jeśli to był jedyny raz? I nie zdołała nawet wydusić z siebie ani słowa.

Pomachała do niego niezgrabnie, skręcając za róg. Zbierało się jej na płacz; nie chciała stracić go z oczu. Mogłaby wyrwać się Chloe, ale co potem? Pobiegłaby z powrotem do Raya, stanęłaby przed nim i nic nie powiedziała?

Wcześniej wiedziała mniej więcej, jak on wygląda. Że ma proste jasne włosy jak Mattie. Że jest wysoki i wysportowany jak Emma. W ciągu minionych lat widziała kilka fotografii. To nie dość, żeby rozpoznać go bez uprzedzenia, ale wystarczało, by zyskać pewność.

Nie wiedziała jednak dotąd, jaki naprawdę jest, jak się porusza, mówi, oddycha. Nie wiedziała, że ma ciepłe ciało, które przyciąga ją nawet z odległości metra. Nie była na to przygotowana.

Miała tyle punktów odniesienia i możliwości ekstrapolacji, lecz na żywo okazał się odmienny. Tamten był jej Rayem. Czytał jej książki, sypiał w jej łóżku. Ten był tą samą osobą, lecz zarazem kimś innym, odrębnym. Nie należał do niej.

– Sasha, chodź!

Kierowca trąbił na nie. Sasha zorientowała się, że Chloe siedzi już w samochodzie.

Miała wrażenie, że jeśli też wsiądzie i zatrzaśnie drzwiczki, ta zdumiewająca chwila skończy się gwałtownie i tak całkowicie, jakby nigdy się nie zdarzyła.

– Sasha! Zostały mi cztery minuty do godziny policyjnej rodziców. Ty już przekroczyłaś swoją.

Naprawdę?

– I to tobie tak zależało, żebyśmy wyszły z imprezy – dorzuciła Chloe.

Sasha z ociąganiem wsiadła do auta i zamknęła drzwi. Gdy wjeżdżali na jezdnię i oddalali się od niego, rzuciła spojrzenie przez okno.

Chloe odwróciła się do niej.

– O co tu chodziło? Powiedziałaś, zdaje się, że go nie znasz.

Sasha nie miała ochoty zwierzać się przyjaciółce. Chciała jeszcze zachować widok Raya. Dotychczas tak często wyobrażała go sobie, tworzyła w umyśle jego przybliżony obraz. Nie chciała, by perspektywa Chloe mieszała się z jej wizją i jeszcze bardziej ją zniekształciła.

Nie chciała nawet zakłócać swojej własnej perspektywy. Pragnęła po prostu zatrzymać w sobie obraz Raya takiego, jakim jest. Charakterystyczną energię jego śmiechu, postawy, uśmiechu. Widok jego rąk, oczu, sposobu, w jaki stał. Zachować w pamięci nie jakąś jego szczególną cechę czy część ciała, lecz wrażenie, które wywierał jako realna, żywa osoba.

Poczuła, że łyży dławią jej gardło. Żałowała, że nie ma go nadal przy niej, zatęskniła za dziwnym ciepłem promieniującym z jego ciała. Czy wcześniej

mogłaby to sobie wyobrazić?

– On niewątpliwie sprawiał wrażenie, jakby cię znał – powiedziała Chloe, wciąż spoglądając na nią wyczekująco.

Sasha machinalnie wzruszyła ramionami.

– Czasami po prostu zna się kogoś z widzenia.

– On jest megauroczy, nie uważasz? Powinniśmy były wziąć od niego numer telefonu. Możemy wysłać mu wiadomość na Facebooku. Jego przyjaciel też był w porządku.

Chloe pogrzebała w torebce, szukając gumy do żucia, żeby zamaskować zapach piwa i papierosów.

Sasha mogłaby ją poinformować, że Ray nie ma konta na Facebooku, lecz nie zrobiła tego. Wiedziała o tym, ponieważ w gimnazjum usiłował zaprzyjaźnić się z nią poprzez Facebook, a ona to zignorowała. Półtora roku później pożałowała tej decyzji, jednak gdy wtedy zdobyła się na odwagę, by spróbować do niego dotrzeć, już go tam nie było. „Ray zlikwidował swoje konto”, napomknęła mimochodem Mattie, jak zawsze wzbudzając w Sashy pragnienie dowiedzenia się o nim czegoś więcej.

– Wydaje mi się, że on chodzi z Piper Greenlow – trąkotała Chloe. – Znasz ją? To ta z liceum Chapin. Przechwala się, że wydzwania do niej superprzystojny gość z Brooklynu, przyjaciel kumpla Zacha Kaplana.

Sasha nie potrafiła nic na to odpowiedzieć. Wpatrzyła się w zielone światła sygnalizacji na Park Avenue i starała się zmusić je siłą woli, żeby nie zmieniły się jeszcze na żółte. Poczowała ulgę, gdy wjechali na Siedemdziesiątą Czwartą Ulicę.

– Cześć. Dzięki za podwiezienie – rzuciła, zatraskując drzwi samochodu.

Nie myślała o Chloe. A raczej myślała tylko o tym, że żałowała, iż pozwoliła, by przyjaciółka odciągnęła ją od Raya („Raya?”).

„Ale to bez sensu – pomyślała odruchowo, gdy wstukała kod i weszła do domu. – Pora się opanować, przestać zachowywać głupio”. Nie podobał się jej tok własnych myśli. Musiała się z nich otrząsnąć.

Ray nie jest jej przyjacielem. Ani chłopakiem. W żadnym sensie nie jest jej Rayem. Ich dwojga nic nie łączy i nigdy nie połączy. Mimo iż dzielili ze sobą pokój i wmawiała sobie, że mają jakąś szczególną więź. To tylko urojenie jej stęsknionego umysłu, nic więcej. Żyją po przeciwnych stronach otchłani stworzonej przez dwoje ludzi, którzy zaciekle się nienawidzą.

Właśnie tak wygląda sytuacja i nigdy się nie zmieni. Bezsensowne i bezcelowe byłyby próby przekroczenia tej przepaści. To daremny, absurdalny upór ze strony Sashy chcieć poznać jedyną osobę na świecie, która zawsze będzie dla niej niedostępna.

A co, gdyby została z nim przed chwilą na chodniku? Co miałyby wtedy powiedzieć albo zrobić? Nic nie przychodziło jej do głowy.

Ray powiedział Parkerowi, żeby poszedł przodem. Pragnął samotnie się przespacerować. Ale Parker nie chciał się od niego odczepić. Szedł obok aż do stacji metra na Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy.

– Dlaczego tak dziwnie się zachowujesz? – pytał. – Znasz tę dziewczynę czy nie?

Ray nie miał ochoty odpowiedzieć. Był zanadto pogrążony w myślach, podekscytowany. Wciąż przypominał sobie jej twarz, śmiech, usiłował zrozumieć, co właściwie się wydarzyło, zatrzymać ją w pamięci. Ale gdy jechali rozklekotanym pociągiem linii 4 do śródmieścia, jednak odpowiedział:

– Tak i nie. Nie znam jej, ale nasi rodzice byli kiedyś małżeństwem. Moja mama i jej tata.

– Żartujesz?

– Nie – rzekł Ray.

Spojrzał na sufit wagonu metra. Przegarnął palcami włosy, strosząc je. Emma nie cierpiała, kiedy tak robił. Przyglądałaby mu je z powrotem, jakby to była jej sprawa.

– Chryyyste. – Parker zrobił długi wydech przez nos. – Więc to ona jest tym dzieciakiem, który zostawia bajzel w twoim pokoju.

Ray doceniał to, że Parker bierze jego stronę.

– Jako współlokatorka ma o wiele więcej powodów do narzekania niż ja – wymamrotał jednak.

– Wygląda super. Bardzo ładna.

– Dołujące jest to, że nie miałem pojęcia, że to ona. – Ray zaczerwienił się na myśl o jej ciele i o tym, jak bardzo go pociągała. – Przypuszczalnie powinienem był ją rozpoznać, ale nie rozpoznałem. Patrzyłem na nią, jakby była... no wiesz... dziewczyną.

Parker zdawał się nie rozumieć, o co chodzi Rayowi.

– Ona jest dziewczyną.

– Nie. Nie dla mnie.

– Skąd możesz wiedzieć, kim dla ciebie jest? Powiedziałeś przed chwilą, że nawet jej nie znasz.

Światła w wagonie zamigotały.

– I nie poznam.

– Dlaczego? Przecież nie jesteś z nią spokrewniony.

Ray niemal roześmiał się cicho.

– Skoro musisz to powiedzieć, może to niedobrze.

Stawanie się silniejszym dzięki wyrzeczeniu

Emma zatrzymała Jamiego przy drzwiach wejściowych domu w Wainscott. Wyglądał świetnie w marynarce i w spodniach khaki. Był porządnie uczesany. Wiedziała, że Jamie stara się, jak może.

– Obiecuję, tym razem żadnej strategii – rzekła do niego cicho, całując go w policzek. – Żadnych więcej sekretów. Dziś rano powiedziałam im o wszystkim. Tata jest tak podekscytowany, że chyba mógłby paść ci w ramiona.

Jamie był zbyt zdenerwowany, żeby się roześmiać, ale wydawał się pełen optymizmu i nadziei, podobnie jak Emma.

Nauczyła się już odgadywać oznaki jego nastroju: trzepotanie dłońmi i tupanie stopą, gdy był zdenerwowany, gardłowe zadowolone mruczenie, kiedy byli razem, przyciskanie kciukiem skroni, gdy skupiał się na pracy, szczere, otwarte spojrzenie zawsze, w każdym stanie ducha.

Wcześniej z jakiegoś powodu uważała, że wybierając mężczyznę, powinna zwracać uwagę na siłę i prostoduszność. Jednak Jamiego pokochała, gdy poznała bliżej jego słabość i wrażliwość.

Ścisnęła jego dłoń.

– Najlepiej po prostu bądź sobą.

– To jedno z najpiękniejszych miejsc, jakie w życiu widziałem – powiedział Jamie jak na zawołanie, spoglądając z tarasu na trawnik i staw w dole.

Pozostali, stojący wokół nich, wyrazili aprobatę. Quinn niemal się roześmiała, widząc, jak kiwają głowami.

W ten sposób najszybciej można było trafić do ich zbiorowego serca. Być może z powodu tego wszystkiego, czego wymagało od nich pozostanie tutaj, zachowanie tego miejsca. Wszystkich kompromisów i przełamywania impasów. I dlatego, że było tu tak pięknie.

Wrócili do domu, gdzie już czekał zastawiony stół. Quinn widziała wcześniej, że Emma nadzorowała ułożenie każdej łyżeczki i widelca niczym kamerdyner z serialu *Downtown Abbey*. A Evie miała dość rozsądku, by pozwolić jej na to i wycofać się na drugi plan.

Evie powinna być panującą władczynią tej posiadłości, ale kto miałby rzetelnie ją wspierać? Z pewnością nie Emma ani Mattie. Obie w ciągu kilku ostatnich lat widywały Evie przy okazji spotkań z ich matką, jednak nadal pozostawały wobec niej tak sceptyczne, jakby zjawiała się dopiero wczoraj. Najważniejsza w życiu Evie była Sasha, lecz Quinn wiedziała, że Sasha pragnie upodobnić się do swoich siostr. Robert kochał Evie, ale doceniał aspiracje i zasady swoich silnych starszych córek. Quinn rozumiała tok jego myślenia: „Dziewczyny ucierpiały z powodu tej sytuacji, prawda? Były tylko dziećmi. Niczym nie

zawiniły”. Świnka morska Gus trzymała stronę Evie, chyba że ktoś inny pamiętał, żeby ją nakarmić. Jeśli wziąć pod uwagę pecha Evie przy obsłudze zmywarki, nawet talerze nie całkiem jej ufały.

Wydawało się niesprawiedliwe, że Evie musi odgrywać dominującą rolę, a jednocześnie jest narażona na wszystkie przykrości spotykające zazwyczaj osobę słabą i nawet nie budzi niczyjego współczucia. Pod wieloma względami była nadzwyczaj wspaniałomyślna. Nigdy nie usiłowała przypisywać sobie zasługi za to, że kolacja jest na stole, w lodówce są zapasy jedzenia, a samochód ma benzynę w baku. Nigdy nie rozpieła się w fotelu, lecz tylko przysiadła na moment, jakby zajmowała w autobusie uprzywilejowane miejsce na przedzie, jedynie po to, by zaraz ustąpić je komuś, kto bardziej na nie zasługuje.

Tego wieczoru Evie zgodziła się, by Emma pod jej czujnym okiem podała trochę sera, krakersy i winogrona. Teraz zebrani goście zasiedli sztywno wokół niskiego stolika do przekąsek. Ten widok przyprawiał Quinn o radosne drżenie serca. Instynktownie pragnęła widywać ich wszystkich. Przepęniała ją nadzieja zmieszana z obawą.

Jamie wyglądał na speszonego, jednak wyczuwało się pod tym jego wielkie podekscytowanie. Był przystojny i dobrze zbudowany, lecz całkiem pozbawiony poczucia wyższości. Nic dziwnego, że jej ojciec siedzący w głębokim fotelu wydawał się tak nadzwyczaj szczęśliwy.

– A więc, Sasho, jesteś najmłodsza, tak? – zagadnął Jamie.

– Owszem. Nie licząc Raya, tego z drugiej strony. On też ma siedemnaście lat – odrzekła Sasha.

Quinn zauważyła, że starała się powiedzieć to swobodnym tonem.

Jamie skinął głową. Czy wiedział, co oznacza określenie „z drugiej strony”? Quinn widziała przejaw jego galanterii w tym, że chciał zrozumieć każdego tutaj i w nic się nie wtrącać.

– Ray jest synem Lili i Adama – wyjaśniła szybko Evie, zanim Robert mógłby włączyć się do rozmowy. Quinn dostrzegła na jej twarzy znajomy ogólnie przepraszający wyraz. – Jesteśmy skomplikowaną rodziną, nieprawdaż?

– Delikatnie mówiąc – dorzuciła cierpko Mattie.

Wyglądało, że Jamie nie wie, co na to powiedzieć. Quinn domyślała się, że usiłował rozstrzygnąć między chęcią bycia uprzejmym wobec Evie a wyraźnym zniecierpliwieniem okazywanym jej przez Emmę.

– Mnie wydajecie się wspaniałą rodziną – odważył się wreszcie oświadczyć, trochę zbyt cicho.

Quinn dostrzegła, że Emma jest bardzo przejęta i niepokoi się drobiazgami, takimi jak to, czy sofa nie jest poplamiona i czy krakersy nie są czerstwe. Różniło się to od jej dawniejszego zachowania, kiedy paradowała z tamtym fotogenicznym hokeistą. Quinn zastanawiała się, czy Emma zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo

bezbronna stała się przy Jamiem.

I była jeszcze Sasha, wciśnięta w kąt segmentowej sofy, patrząca na winogrona i błagająca w duchu matkę, żeby nie powiedziała niczego żenującego. Quinn niemal widziała odwieczną walkę toczącą się w jej umyśle. Sasha pragnęła bronić matki, ale też stać po stronie Emmy.

Sasha, podobnie jak Ray, była osobą uroczą i lojalną, lecz niewiele z tego miała. Mattie odrzucała jej lojalność, a Emma traktowała Saszę protekcjonalnie. Jak na ironię, spośród wszystkich członków obydwu części jej rodziny tylko Ray, skądinąd całkowicie różny od Sashy, potrafiłby docenić to, co miała do zaoferowania.

Jedynym sposobem Sashy na zjednanie sobie Mattie było usunięcie się w cień we wszystkim, w czym przyrodnia siostra brylowała. Mattie była ukochaną, rozpieszczoną córeczką tatusia, pięknocią przykuwającą spojrzenia chłopców, flirciarą. Sasha taktownie wyrzekła się tego i wielu innych rzeczy, wybrała inne dziedziny samorealizacji. Sasha stała się silna dzięki wyrzeczeniu, a Mattie stała się słaba wskutek dogadzania sobie.

Sasha od urodzenia wiedziała, że musi być ostrożna, ponieważ jej rodzice kochają się nawzajem. Zawsze miała przy sobie ojca. Była wychowywana przez troskliwą matkę. Nie miała przybranych rodziców, do których żywiłaby niechęć albo czuła ich niechęć.

Zaczęła się kolacja: brząk talerzy i przekazywanych sobie półmisek, potrawy na tyle smaczne, by wywołać rozwlekłe pochwały. Quinn przyglądała się zarumienionej z podniecenia Emmie, która niemal zdawała się siłą woli zmuszać steki, żeby okazały się wyborne.

Po kolacji Jamie niezgrabnie pomógł sprzątnąć ze stołu i podano na deser smaczną szarlotkę z borówkami. Później Emma i Jamie wybrali się na długi spacer po plaży, a reszta stała kręgiem niczym pięć wersji służącej z *Romea i Julii*.

Nadzieje Emmy wyraźnie malowały się na jej twarzy. Quinn pragnęła je spełnić. Chciała, żeby wiatr nie był za silny, żeby zza chmur wyłonił się księżyc. Żałowała, że nie od niej to zależy. Nade wszystko jednak pragnęła ochronić siostrę właśnie przed tymi nadziejami. „Czy naprawdę tego chcesz? Upojna miłość zawsze szybko się kończy”.

Quinn nauczyła się rozumieć cierpienie, ale uświadomiła sobie, że mniej potrafi rozumieć nadzieję, matkę cierpienia. Właściwie obawiała się jej.

Znała tę swoją słabość – lęk, by ludzie, których kochała, nie pragnęli czegoś zbyt mocno. Jej instynkt opiekuńczy sięgał tylko tak daleko.

„Uważasz, że jestem do niczego” – powiedziała do niej kiedyś Mattie i te słowa utkwiły Quinn w pamięci.

„Po prostu nie chcę, żebyś żywiła zbyt wielkie nadzieje” – wyrwało się jej i później setki razy tego żałowała.

– Myślę, że ona naprawdę go lubi – rzekła teraz z westchnieniem Evie.

Było to tak niewątpliwą prawdą, że nawet Mattie nie potrafiła temu zaprzeczyć.

– Uważam, że Emma ma dobry gust – oświadczył tata z głupio rozanielonym uśmiechem.

Nadzieja zwodzi ludzi, których najbardziej kochamy. Jest groźniejsza niż szybkie samochody czy wściekłe psy. Quinn mogła zrozumieć, dlaczego rodzice na całym świecie wołają, żeby ich dzieci całymi dniami siedziały w domu i gapiły się w monitory.

Drogi drugi Rayu,

czyż to nie było cholernie dziwne?

Przepraszam, że tak mnie zamurowało. Byłem po prostu...

Ray przestał pisać i długo siedział przy klawiaturze, wpatrując się w ekran. Jaki? Jaki był?

...zaskoczony. I trochę zaniepokojony tym, że nie poznałem, że Ty to Ty. I pomyślałem...

Jego palce znów zawisły nad klawiaturą. Co pomyślał? Tak szczerze?

...że jesteś naprawdę piękna. I dlatego laziłem na tej imprezie po całym mieszkaniu (jak oferma/natręt), chcąc znów Cię zobaczyć. Zawiniłem tym, że patrzyłem na Ciebie w TAKI SPOSÓB i myślałem o Tobie w TAKI SPOSÓB, co w tych okolicznościach wydaje się niestosowne i zboczone.

A poza tym zostało naukowo potwierdzone, że w windzie pachniałaś najcudowniej na świecie.

I jak mam teraz zasnąć w naszym łóżku?

Pospiesznie skasował cały tekst, żeby nie zrobić czegoś tak kretyńskiego jak wysłanie go.

Matthew krążył po farmie z budzącą respekt podkładką do pisania z klipsem.

– Już wprowadziłam do komputera moje godziny pracy w tym tygodniu – powiedziała Mattie.

Rozprostowała nogi i oparła je na umywalce leżącej na podłodze.

– Wiem. Sporządzam harmonogram na resztę lata. Kiedy musisz wrócić do szkoły?

Wystawiła twarz do słońca i odetchnęła głęboko.

– Nie wiem. Nie wiem, czy w ogóle tam wrócę – powiedziała w końcu.

Była w lekkomyślnym nastroju.

– Dlaczego?

Uniosła się do pozycji siedzącej. Zazwyczaj w tym punkcie rozmowy Matthew tracił zainteresowanie. Na nic zdawały się jej spryt, figlarność czy flirtowanie. Próbowwała od trzech lat.

Teraz jednak przyglądał się jej z powagą.

Mogła równie dobrze dalej mówić szczerze.

– Nie wiem, po co mi ten college. W gruncie rzeczy zajęcia niewiele mnie obchodzą. Wiesz, moja siostra Emma jest ambitną prymuską w Princeton. Teraz ma tego chłopaka i nie zdziwiłabym się, gdyby się pobrali. A Quinn, no cóż... Quinn to Quinn.

Matthew się uśmiechnął. Nie musiała wyjaśniać. Usiadł na krześle naprzeciw Mattie. Nie była pewna, czy kiedykolwiek wcześniej widziała go siadającego.

– Nie wiem, kim jestem ani co mam zrobić ze swoim życiem. Po co marnować czas i pieniądze na college?

Te własne słowa niemal ją zaskoczyły. Wszystko, co powiedziała, było prawdą, ale dotąd nie całkiem zdawała sobie sprawę, że tak to odczuwa.

Matthew zmierzył ją spokojnym spojrzeniem.

– Rozumiem cię. Ja nie poszedłem do college'u. W każdym razie jeszcze nie. Może pewnego dnia znajdę powód. Ale nie chcę być jedną z tych osób, które idą do college'u, bo nie przychodzi im do głowy nic lepszego, co mogłyby zrobić. Ja zawsze mam tu mnóstwo do roboty.

Mattie niemal się rozejrzała, żeby sprawdzić, czy nie jest w ukrytej kamerze. Tak bardzo niezwykle było zachowanie Matthew.

Ze zrozumieniem pokiwała głową.

– Ja też nie chcę być jedną z takich osób. A obawiam się, że jestem. Co nie znaczy, żeby ktokolwiek czegoś ode mnie oczekiwał. Mój tata uważa, że uniwersytet w Syracuse jest dla idiotek i imprezowiczek. Wiem, że mnie kocha, ale nie traktuje mnie serio.

Matthew poszurał po podłodze stopą w roboczym bucie.

– Szkoda. To znaczy, szkoda, że musisz chcieć, żeby traktował cię serio. – Spojrzał wprost na nią. – Bo chcesz?

Czy ktoś dodał dziś serum prawdy do cydru? Ogarnęło ją lekkie oszołomienie. Kłamała równie łatwo jak każdy, jednak tym razem nie chciała. Poważnie zastanowiła się nad tym pytaniem.

– Czy chcę, żeby traktował mnie serio? – Powoli pokręciła głową. – Sama nie wiem.

Matthew z lekkim zakłopotaniem wzruszył ramionami.

– Jak zawsze mawia mój dziadek: „Zacznij od siebie”.

– Co to znaczy?

– To ulubiona maksyma Howarda. Nabijam się z niego, ale jest prawdziwa. Jeżeli chcesz, by traktowano cię poważnie, bądź poważny. Traktuj poważnie siebie. Popatrzyła na Matthew wielkimi oczami, lekko zaniepokojona.

– Rozumiem – powiedziała.

Wstał.

– Tak czy inaczej, możesz pracować tutaj przez cały październik, jeśli

chcesz. Mamy robotę aż do jesieni przy jabłkach, późnej kukurydzy, dyniach, sokach owocowych, cydrze, ale potem zamykamy na zimę. Potem nie będę miał ci do zaoferowania żadnej pracy.

Jadąc godzinę później rowerem do domu, Mattie wciąż była oszołomiona. Czowała się, jakby otrzymała prezent, ale nie była pewna, na czym polegał.

Przystojny, będący obiektem kobiecych westchnień farmer Matthew Reese mówił tak mądrze, że podkopał jej zwykłe kłamstwa i sposoby zachowania. Odebrała to niczym powiew świeżego powietrza. Jakby ktoś pootwierał okna i przewietrzył zatęchły dom.

„Czy chcę, żeby traktowano mnie poważnie?”.

Może tak.

I nagle zrozumiała sens podarunku Matthew. On potraktował ją poważnie.

Sasha czuła się teraz w swojej sypialni w Wainscott inaczej niż dotychczas. Odmienne wydawało się siadanie tam, a tym bardziej położenie się na łóżku. Mycie zębów. Krepująco odmienne było rozbieranie się.

Nie potrafiła w taki sam sposób jak dawniej patrzeć na półki z książkami, wyglądać przez okno, spoglądać w lustro. Widziała teraz jego łóżko, jego książki, jego widok z okna, jego twarz. Przez wszystkie te lata, kiedy dzielili ze sobą ten pokój, zawsze czuła w nim obecność Raya. Ale nie tak jak teraz.

Ray. Rzeczywisty Ray. Kto to właściwie jest Ray? Kim on jest? Płaską skrzydlatą rybą. Odrobiną światła słonecznego albo nadziei.

Dotąd zawsze był jej wyobrażeniem o nim. I oto nagle okazał się kimś całkiem odmiennym, własną wersją siebie. Wydawało się egoizmem z jego strony odebranie jej obrazu Raya, który pieczołowicie pielęgnowała. Uczynił to tak po prostu, w trakcie zaledwie jednego przelotnego spotkania.

Pamiętała, że kiedy kupili dom przy Siedemdziesiątej Czwartej Ulicy, firma energetyczna Con Ed nie mogła uzyskać dostępu do licznika prądu i przez sześć miesięcy płacili rachunki oparte na szacowanym zużyciu energii elektrycznej. Siódmy rachunek był o wiele wyższy, a kiedy tata zapytał, skąd ta różnica, mama odpowiedziała: „No cóż, firma Con Ed w końcu odczytała licznik”.

Teraz gdy Ray był rzeczywisty, okazał się różny od niej, a ona była odmienna od samej siebie. Budził w niej niepokojące uczucie, jakiego nigdy dotąd nie doświadczyła. Pragnęła zachować swoją wizję Raya, a jednak wciąż na nowo próbowała przywołać obraz jego takiego, jaki był: ramion, brwi, włosów wijących się lekko za uszami. Żałowała, że nie może odzyskać tamtego wyobrazonego Raya. A zarazem żałowała, że nie może wdychać zapachu prawdziwego Raya, znów poczuć ciepła jego ciała.

„Nie jestem pewna, czy chcę odczuwać to wszystko”.

W ósmej klasie oboje omawiali powieść *Zabić drozda*. W weekend, gdy Sasha miała napisać w Wainscott wypracowanie, zostawiła swój egzemplarz

książki w domu na Manhattanie i wpadła z tego powodu w panikę, gdyż wcześniej już i tak zaważyła termin. Wymogła na Emmie, żeby zawiozła ją do biblioteki, która okazała się zamknięta, a potem do księgarni w East Hampton, ale tam nie mieli tej powieści. Wtedy nie można było jeszcze ściągnąć jej na tablet. W niedzielę w południe zalewała się łzami i nawet zaproponowała, żeby wrócić wcześniej do miasta, czego nigdy nie robiła.

I wtedy, gdy leżała w łóżku, ujrzała przed sobą miraż. Na jej nocnym stoliku okładką do dołu leżała powieść *Zabić drozda*. Jego egzemplarz, jej wybawienie. Otworzyła ją ostrożnie, obawiając się, że tytuł i zawartość odmienią się, kiedy spróbuje je przeczytać. Na wewnętrznej stronie okładki zobaczyła imię Raya nakreślone jego charakterem pisma. Na tylnej okładce były też jego notatki, a w tekście podkreślenia i nabazgrane uwagi.

Sasha zdała sobie sprawę, że podąża za tokiem jego myśli, niemal wnika do jego umysłu.

„Mieszkamy w tym samym miejscu, ale nigdy razem”.

Do szóstej po południu skończyła wypracowanie. Była tak pochłonięta pisaniem, że dodała w książce własne podkreślenia, własne notki, zapominając, że prawdopodobnie nie powinna tego robić z egzemplarzem Raya. Ale gdy po dwóch tygodniach wróciła, zobaczyła, że Ray dodał następne uwagi, słowa splatające się z jej słowami, rozwijające idee, które zapisała.

Teraz odszukała tamten egzemplarz na ich wspólnej półce. Pamiętała, że kilka razy rozdzielała ich książki, lecz zawsze kończyło się tym, że znowu się mieszały. Spojrzała na te dawne odręczne dopiski – jego niebieskim długopisem, jej czarnym, splecione razem.

Wyjęła czystą kartkę i przez chwilę wpatrywała się w nią.

Miło było cię poznać, Ray, napisała w końcu, a potem złożyła kartkę i wetknęła pod przednią okładkę.

Ray leżał na swoim łóżku. Kiedy był w Brooklynie, tęsknił za Sashą. Ale jak mógł za nią tęsknić? Nie znał jej. Widział ją tylko raz.

A jednak tęsknił. Za leżeniem w jej łóżku. Za jej zapachem i wyczuwalną obecnością. Przypomnił sobie z pewnym rozczarowaniem tamten koc, który miał odstraszać nocne koszmary. A gdyby przywiózł tu jej jedwabną koszulę nocną?

Musiał się roześmiać z tego szokującego pomysłu. Jakież by to było perwersyjne.

Oczywiście nie miał żadnych szans znaleźć się z nią w łóżku, jednak w Wainscott odnosił wrażenie, jakby to było możliwe. Wyobraził to sobie. To wyobrażenie nie było nawet erotyczne. Albo przynajmniej nie wyłącznie erotyczne. No dobrze, w każdym razie miało inne aspekty niż tylko erotyczne.

Od tygodnia nie kontaktowali się ze sobą w żaden sposób, nie pisali do siebie maili. To znaczy, od tamtego spotkania na Lexington Avenue. Za tym też

tęsknił. Teraz, gdy zobaczył ją na żywo, poczuł jej zapach, nie był już pewien, co miałby do niej pisać.

Uwielbiał, jak jej imię pojawiało się na wyświetlaczu, kiedy sprawdzał maile w telefonie komórkowym. Odczuwał nieokreśloną pustkę, ilekroć otwierał komórkę i nie widział jej imienia – czyli niemal za każdym razem.

Czy Sasha myślała o nim choćby w milionowej części tak często jak on o niej?

Nawet to podniosłoby go na duchu.

Pragnął się z nią znowu skontaktować – w jakiś nieodrażający, nienachalny sposób. Nie muszą nawet rozmawiać o ich niedawnym spotkaniu. Wziął komórkę i po chwili wahania napisał krótki mail:

*Drugi drugi Rayu,
czy Francis próbuje podrywać Emmę albo coś w tym rodzaju?
Druga Sasha*

Wysłał wiadomość.

Przez następne dwadzieścia minut sprawdził skrzynkę mailową jakieś tysiąc razy. Wreszcie zobaczył na ekraniku imię Sashy.

Droga druga Sasho,
on na 100% to robi.

Mam nadzieję, że to wypadnie w Twoim tygodniu pracy, kiedy dowie się o Jamiem.

Drugi Ray

Ray ucieszył się, że odpowiedziała. Zastanawiał się, jak długo ma odczekać, zanim odpisze, żeby nie wydać się odrażający ani nachalny.

Emma rozejrzała się po innych stolikach. Czy była wystarczająco elegancko ubrana? Jamie nie uprzedził, że zaprasza ją do wytwornej restauracji w Southampton. Nagle pożałowała, że nie uczesała się staranniej i nie nałożyła makijażu.

– Czy to jakaś specjalna okazja lub coś podobnego? – zapytała go. – To nie może jeszcze być nasza rocznica.

Jego dłonie zatrzepotały nerwowo.

– Coś w tym rodzaju. Trzy miesiące.

Kelner podał dwa kieliszki szampana; nie pamiętała, żeby je zamawiali.

– Och, to miło – powiedziała.

Czy będą jedną z tych par, które świętują mnóstwo ważnych dla nich dat? Czy Jamie potajemnie obchodzi też połówkę swoich urodzin? Nie była pewna, co ma o tym myśleć.

– Dostałeś podwyżkę?

Roześmiał się, ale z nieco kwaśną miną.

– Nie.

Zaczął nerwowo tupać stopą. Hm.

Na stoliku pojawiły się dwie miseczki jakiejś jasnozielonej zupy.

– Ze słodkiego groszku i z mięty – oznajmił kelner.

Emma popatrzyła pytająco na Jamiego. Czy składał zamówienia telepatycznie?

– Uwielbiam zupę ze słodkiego groszku – oświadczyła.

– Wiem – rzekł Jamie. – Zawsze ją zamawiasz.

Zanurzyła łyżkę w miseczce i spróbowała.

– Pyszna – powiedziała.

Zaczęła jeść ze smakiem. Jamie był dziwnie milczący.

– Widziałam na YouTube coś bardzo zabawnego – odezwała się, nie całkiem wiedząc, dlaczego akurat to przyszło jej na myśl. – Facet zabrał swoją dziewczynę do restauracji z sekretnym zamiarem oświadczenia się jej. Uznał, że będzie nadzwyczaj sprytnie i romantycznie, jeśli ukryje pierścionek zaręczynowy w jej serniku. No więc dziewczyna zajada sernik. Jest duża, mocno zbudowana i dosłownie go pożera – trudno się dziwić – a potem nagle zaczyna się dławić i...

Emma urwała na widok wyraźnej paniki na twarzy Jamiego.

– Jamie, co się stało? – Nigdy dotąd nie widziała, żeby tak poczerwieniał. – O co chodzi?

Czy nie spodobała mu się ta historia? Nie lubi sernika? Może zna tę osobę z filmiku?

Popatrzył ze zgrozą na jej miseczkę z zupą.

Emma też na nią spojrzała. Znieruchomiała z uniesioną łyżką.

Sięgnął przez stół i odebrał jej miseczkę.

– Jamie... słuchaj...

Mocno zacisnął powieki. Kurczowo trzymał miseczkę obiema rękami, jakby

Emma zamierzała mu ją wyrwać.

Emmie powoli zaświtało.

– Jamie... Ty chyba nie...

Z wciąż zamkniętymi oczami skinął głową.

– Nie żartujesz? – rzuciła Emma.

Następne kiwnięcie głową.

– Naprawdę? – spytała.

Nie mogła się powstrzymać i wybuchnęła śmiechem. Wzięła z powrotem swoją miseczkę z zupą, chociaż Jamie usiłował jej nie puścić.

– To niemożliwe, po prostu niemożliwe. – Emma zamieszała zupę, aż usłyszała ciche brzęknięcie i poczuła na łyżce dodatkowy ciężar. Uniosła łyżkę do ust. – Pycha.

– Emmo!

Włożyła ją do ust. Wysiorbała zupę i wyjęła łyżkę ze lśniąca obrączką.

Jamie nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać. Wyrwał jej z ręki obrączkę, ale Emma zdążyła zobaczyć, że to piękny płaski pierścionek z brylantem, jaki sama by wybrała. Brylant wydawał się zbyt duży, żeby Jamiego było na niego stać.

Jamie przyklęknął na jedno kolano przed jej krzesłem. Teraz już większość gości w restauracji przyglądała się im.

– Em, czy możemy po prostu wymazać cały ten ostatni epizod? Udać, że wcale się nie zdarzył? Zacząć od nowa? Proszę.

Emma wciąż śmiała się nerwowo, ale w jej sercu pojawiło się radosne przeczucie nowego możliwego szczęścia.

– Nigdy go nie było – rzekła.

– Właśnie. Zacznę jeszcze raz. – Jamie odchrząknął. – Emmo Thomas.

– Słucham.

– Chociaż jestem idiotą, brak mi przebiegłości i stale ośmieszam się przed tobą, czy mimo to mnie poślubisz?

Na twarzy Emmy odbiły się wzruszenie i radość. Udała, że się zastanawia.

– Wiem, że jesteśmy bardzo młodzi, zwłaszcza ty, i że zapewne powinienem zaczekać. Ale nie potrafię.

Ze łzami w oczach skinęła głową.

– Nie musisz odpowiadać teraz. Możesz odczekać rok albo pięć lat, czy nawet dziesięć, jeśli zechcesz. Po prostu musiałem otworzyć przed tobą serce.

Pragnąłem, żebyś poznała moje intencje, i nie chciałem niczego przed tobą ukrywać.

Emma teraz już naprawdę płakała.

– Pragnę na zawsze być z tobą – mówił dalej. – Chcę, żebyśmy zamieszkali razem, założyli rodzinę i nigdy się nie rozstawali. Wiem, nie zasługuję na ciebie, ale sprawiasz, że czuję się spokojniejszy i szczęśliwszy niż kiedykolwiek.

Otarła oczy.

– Tak, poślubię cię – powiedziała; właściwie nie musiała się nad tym zastanawiać.

Zanim poznała Jamiego, sądziła, że podjęcie decyzji o małżeństwie będzie czymś niezwykle trudnym. Skąd wiedziała, że się nie myli? Skąd w ogóle mogłaby to wiedzieć? Jak mogła być pewna? Zwłaszcza gdy pamiętała o swoich rodzicach. A teraz wcale się nie zastanawiała. Po prostu była pewna.

– Naprawdę?

– Tak.

Wyciągnęła rękę, a on włożył jej na palec pierścionek. Dłonie obojga lekko drżały. Pierścionek pasował idealnie. Był piękny, z czystej platyny, z brylantem.

– Naprawdę? – powtórzył Jamie.

Wstał i podniósł Emmę z krzesła.

– Tak.

Obrócił ją ku sobie.

– Tak po prostu?

– Tak.

Pocałował Emmę.

– Jesteś pewna?

– Tak, Jamie.

– Nie mogę w to uwierzyć.

Przysunęła usta do jego ucha.

– Wolalabym teraz wyjść i obściskiwać się z tobą na plaży niż zostać tutaj, gdzie wszyscy się na nas gapią.

– O mój Boże, ja też – rzekł Jamie.

Zapłacił i oboje opuścili restaurację z prędkością światła. Poszli na ciemniejszą plażę, w kierunku jej odludnej części.

Jamie objął Emmę. Uniosła rękę, żeby zobaczyć pierścionek, a Jamie ucałował jej dłoń.

– Do licha, mój plan kompletnie nie wypalił, a jednak czuję się szczęśliwszy niż kiedykolwiek w życiu.

Emma przytaknęła, również szczęśliwa.

– Tak, to było dla mnie całkowite zaskoczenie.

Sasha, siedząc na tarasie, słyszała Emmę rozmawiającą w salonie przez

telefon. Widziała tył ciemnowłosej głowy i wysokie, napięte ramiona siostry, która siedziała na sofie. Wyczuwała, jak jej podekscytowanie, jej nadmierne podniecenie, niepokój, pewność i niepewność wypełniają salon, przenikają przez parawan. Wyobraziła sobie, jak wyglądałby dom z lotu ptaka, gdyby można było sfilmować w podczerwieni energię emanującą z Emmy.

Ta myśl oraz wiatr wiejący od stawu przyprawiły Sashę o gęsią skórkę. Przyciągnęła kolana do piersi i obciągnęła bluzę od dresu, zasłaniając gołe nogi aż do stóp. Materiał nie był na tyle elastyczny, by całkiem wrócić do poprzedniego kształtu.

– Wiem, wiem – mówiła Emma.

Oczywiście rozmawiała z mamą. Jasne, że zadzwoniła najpierw do Lili.

Sasha domyślała się, że Lila ma pretensję o to, iż tak ważna rzecz wydarzyła się nie podczas jej weekendu w Wainscott, ale ufała, iż Emma ją udobrucha.

– Myślmy o czerwcu. To prawie za rok... Tak, w domu.

Sasha niemal w ogóle nie widywała Lili, jednak często ją sobie wyobrażała. Wprawiało ją w zakłopotanie to, iż czasami zapominała, że Lila nie jest także i jej matką i że w gruncie rzeczy wcale jej nie zna. Wstydziła się, że tak chętnie postrzega Lilę oczami swoich sióstr, respektuje jej autorytet i patrzy na własną matkę krytycznym wzrokiem przyrodnich sióstr.

– Nie tak olbrzymia. Przypuszczam, że moglibyśmy zdobyć wielki namiot.

Emma zamilkła na chwilę, słuchając Lili. Sasha pożałowała, że nie może podsłuchać obydwu części tej rozmowy, choć zarazem miała wyrzuty sumienia, że słucha nawet jednej.

– Będę miała wtedy dwadzieścia trzy lata – powiedziała Emma z lekką urazą w głosie.

Przez następne dwie minuty milczała. Sasha niemal czuła, jak dobry nastrój siostry się rozwiewa. Nie słyszała słów jej matki, ale mogła się domyślić, dlaczego Lila nie jest zachwycona.

– Nie możesz po prostu mi pogratulować? Nie możesz się ucieszyć tym, że jestem szczęśliwa?

Sasha wstała, żeby wymknąć się drugimi drzwiami.

– Tak. On tam jest? Mogę z nim porozmawiać?

Sasha się zatrzymała.

– Cześć, braciszku. – Emma mówiła teraz łagodniejszym głosem.

Sasha przysunęła się bliżej do parawanu. Za nic w świecie nie mogłaby teraz wyjść.

– Wiem, wiem. Dzięki. To wariactwo, co?

Kiedy Emma rozmawiała z Rayem, mówiła odmiennym tonem niż z kimkolwiek innym. Odmiennym, niż gdy rozmawiała z Sashą, prawda?

Znowu to samo. Wykluczenie. Gra pomiędzy nią a Rayem, w której

wygrywa tylko jedna strona. To wzbudziło w Sashy dawne emocje i niepewność. Jej siostry mają brata, a ona nie ma. I on mieszka z nimi w takim wspaniałym miejscu jak Brooklyn, do którego się udają, kiedy wyjeżdżają stąd, a ona nigdy nie mogła tam pojechać, i on jest zabawny i irytujący, i wydaje obrzydliwe dźwięki, kiedy je płatki śniadaniowe, i ma swoich kumpli, a ona jest dla niego tylko jeszcze jedną znajomą dziewczyną.

Ale teraz miała własny dostęp do Raya, chociaż ograniczony: jej prywatne myśli, jej mocno bijące serce, kiedy widziała jego imię pojawiające się na liście nadawców maili.

Głos Emmy znowu się zmienił.

– Co masz na myśli?

Milczała niezwykle długo.

– Chyba wszyscy – powiedziała z lekką nutą niepewności. Znowu umilkła. – Tak, naprawdę wszyscy.

Podśłuchiwanie Emmy rozmawiającej przez telefon nigdy nie było przyjemne. Niemal zawsze mówiła to, czego można się było spodziewać, ale teraz wbrew woli Emmy do jej głosu zaczynała się wsączać złowieszcza nuta.

Określenie „naprawdę wszyscy” dotyczyło w istocie dwojga.

Można siadać po przeciwnych stronach sali podczas ceremonii wręczenia świadectw. Można chodzić do teatru w różne wieczory. Można podzielić na pół sezony zawodów sportowych. Można mieć dwa przyjęcia urodzinowe i dwie imprezy po ukończeniu szkoły. Ale nie można urządzić dwóch ślubów.

Sasha, przysłuchując się słowom Emmy, doskonale rozumiała pytania Raya. „Naprawdę wszyscy” to byli oboje rodzice Emmy, którzy od narodzin Sashy prawie ze sobą nie rozmawiali.

– Oni wszyscy. Dlaczego nie? – Głos Emmy nie brzmiał już niepewnie, lecz ostro. – To mój ślub. Wszyscy.

Roześmiała się, ale była wyraźnie spięta.

A jeszcze dziwniejsze, bardziej niesamowite i ekscytujące było to, że zwrot „naprawdę wszyscy” oznaczał rzeczywiście wszystkich: Sashę i Raya; Lilę i Evie; Roberta i Adama. Przypuszczalnie nawet George’a i Esther z Kalifornii.

W tym jednym przypadku „albo” zmieniało się w „i”.

– Tak czy inaczej, to dopiero w czerwcu. Mają rok, żeby to uzgodnić.

Cokolwiek odpowiedział Ray, wyraźnie nie sprawiło Emmie przyjemności. Miała już dość.

Quinn powtarzała, że Ray często mówi prawdę, której nie chce się usłyszeć.

Emma wstała z sofy tak gwałtownie, że zrzuciła na podłogę dwie poduszki.

– Ray, nie bądź taki dołujący – warknęła. – Nie zachowuj się, jakby to nie mogło się zdarzyć tylko dlatego, że dotąd nigdy się nie zdarzyło.

Duża Sasho,

czy poznałeś już Jamiego?

Mały Ray

MR,

tak, Em przyprowadziła go do domu w Brooklynie pod koniec ubiegłego miesiąca. Lila zaczęła narzekać, nawet nie czekając, aż on wyjdzie.

DS

DS,

Robert traktuje Jamiego jak ósmy cud świata, więc Lila prawdopodobnie z przekory czuje do niego niechęć.

MR

Ha! Lila rzeczywiście powiedziała coś w rodzaju: „Emma spotyka się z Jamiem przypuszczalnie dlatego, że Robert ją do tego namówił. To się skończy, gdy tylko ona spotka jakiegoś faceta, który rzeczywiście się jej spodoba”.

Auć.

Całkowicie się z Tobą zgadzam.

Jak Lila zareagowała na wiadomość o zaręczynach?

Powiedziała do Emmy: „Nie rozumiem, po co ten pośpiech”, i przekazała mi słuchawkę.

Z jakiegoś powodu urodziny Adama obchodzono zawsze kolacją w restauracji Lemongrass na Siódmej Alei. Zdaniem Mattie jedzenie nie było tam najlepsze i zawsze panował hałas. Tego rodzaju lokal nadawał się do tego, żeby wziąć w nim potrawę na wynos we wtorkowy wieczór w drodze z metra do domu, a nie do świętowania urodzin. Kelnerzy podawali darmowe lody z fasoli adzuki, ale byli zbyt zabiegani, żeby śpiewać do klientów. Może właśnie o to chodziło.

Adam nigdy nie zamawiał tam całej ryby, gdyż były za drogie. Jeśli Ray prosił o krewetki, rzucał synowi spojrzenie pełne wyrzutu.

Natomiast ojciec Mattie zamówiłby dwie całe ryby i jeszcze pięć kilogramów homarów, gdyby były w karcie, ponieważ uznał kiedyś jedzenie homarów za symbol odniesionego sukcesu. Robert nie zważałby na ceny. To znaczy, gdyby poszedł do tej restauracji, czego jednak by nie zrobił, gdyż należała do tych, w których bierze się potrawę na wynos w drodze z metra do domu.

Mattie ciekawiło, czy jej matka zwraca uwagę na tę różnicę. Mama twierdziła zawsze, że nie cierpi pieniędzy ich ojca i jego ostentacyjnego demonstrowania zamożności, a Mattie jej wierzyła. Mama kochała w Adamie erudycję, skromność i bezinteresowność. Ale Mattie zastanawiała się nie po raz pierwszy, czy matce rzeczywiście nie przeszkadza brak pieniędzy.

„Adam nie jest biedny, tylko skąpy” – powiedziała kiedyś Emma w swój

zwykły bezceremonialny sposób, jakby to miało być czymś lepszym.

Mattie przyjrzała się matce siedzącej przy stole naprzeciw niej. Mama wprawdzie jadła pałeczkami orzechy arachidowe ze swojego talerza i przytakiwała temu, co mówił Ray, chociaż Mattie wątpiła, by słyszała choćby połowę. Hałas w tej restauracji właściwie uniemożliwiał prowadzenie rozmów. Może właśnie dlatego ją wybierali. Matka pochwyciła spojrzenie Mattie i szybko odwróciła głowę.

Odkąd Mattie wspomniała jej o Jonathanie Dawesie, mama unikała jej wzroku, a tym bardziej pozostania z nią choćby przez chwilę sam na sam.

Gdy po kolacji wracali wolnym krokiem do domu Siódmą Aleją, matka była uwieszona ramienia Adama. Emma wysforowała się naprzód i rozmawiała przez komórkę, a Ray trzymał się wciąż u boku Mattie, bez względu na to, ile razy przystawała, by wysłać esemesy albo obejrzeć wystawy sklepowe.

– Co cię gryzie? – spytała go w końcu przyjaznym tonem.

– Co masz na myśli?

– Chcesz mi o czymś powiedzieć?

– Nie.

– Owszem, chcesz.

– Właściwie nie.

– Chodzi o radę dotyczącą twojej dziewczyny?

– O rany, nie.

– Violet nie daje ci spokoju?

Lekceważąco wzruszył ramionami.

– No więc o co chodzi?

Ray kilkakrotnie pociągnął w górę i w dół zamek błyskawiczny swojej kurtki z kapturem.

– Czy mówiłem ci, że spotkałem Sashę?

Mattie schowała komórkę do kieszeni.

– Moją siostrę Sashę? Nie. Jak to?

– Poznałem ją na imprezie na Manhattanie. Przez większość czasu nie miałem pojęcia, że to ona.

– Co ty wygadujesz? Przecież już wcześniej widziałeś Sashę.

Wzruszył ramionami.

– Widziałem jej twarz niewyraźnie z daleka, z drugiego końca sali Radio City Music Hall podczas twojej ceremonii ukończenia szkoły. Widziałem jej zdjęcia z czasów, kiedy była młodsza. Oczywiście, przez siedemnaście lat dzieliłem z nią pokój. Ale nie, nigdy dotąd jej nie spotkałem.

Mattie była tym poruszona – i nie tylko z powodu nietypowego podekscytowania Raya.

– To niemożliwe.

– Owszem, to prawda.

Rzeczywiście, to była prawda. Czy jej rodzice w ciągu minionych siedemnastu lat choć raz zbliżyli się do siebie na odległość głosu?

– Sama nie wiem, czy dziwniejsze wydaje mi się to, że dotychczas nie spotkałeś Sashy, czy że w końcu ją spotkałeś. – Przygryzła paznokiec kciuka. – Próbuję to sobie wyobrazić.

Nie przychodziło jej to łatwo. Przywykła do tego, że obie rodziny trzymają się od siebie na dystans.

– Czy ona wiedziała, że to byłeś ty? – spytała.

– Zorientowaliśmy się dopiero pod koniec, kiedy wszyscy już wychodziliśmy. Okazało się, że jedna z jej przyjaciółek zna kumpla mojego kumpla i tak dalej. Coś w tym rodzaju.

Mattie kiwnęła głową.

– Chyba wcześniej czy później musiało do tego dojść. Co wtedy powiedziałaś? A ona?

Pragnęła utrzymać życzliwy ton tej rozmowy. Jednak zaczęły ją ogarniać dawne mroczne emocje, których nigdy dotąd nie odczuwała wobec Raya.

Czy Sasha była kolejną osobą, którą Ray mógłby uznać za bystrzejszą i poważniejszą od niej? Mattie dotychczas czerpała drobną satysfakcję z przeświadczenia, że pod tym względem nie musi się martwić Sashą po tej stronie East River. Korciło ją, żeby natychmiast zadzwonić do Sashy i poznać jej wersję. Dlaczego siostra nie wspomniała jej o tym spotkaniu?

– Nie pamiętam – odparł Ray. – Byliśmy chyba oboje zbyt zaskoczeni, by wiele mówić. To była dość krępująca sytuacja.

Powiedział to bardzo młodzieńczo, z zakłopotaniem i bezradnie szczerze. Spotkanie Sashy wyraźnie go poruszyło.

Te mroczne emocje nie opuszczały Mattie, przypominając jej, że gdyby Ray nie zwrócił uwagi na ciemne, workowate ubranie Sashy, jej spuszczoną głowę i niezgrabne stopy, mógłby dostrzec, że dziewczyna ma nadzwyczaj krągłe drobne ciało i najładniejszą twarz spośród wszystkich czterech sióstr. Mattie czuła się czasami jak zła przyrodnia siostra z bajki o Kopciuszku, gdyż chciała, żeby ludzie w blasku jej efektownej urody nie zauważali ukrytego uroku Sashy. I rzeczywiście, zazwyczaj nie zauważali.

Pamiętała, że zwierzyła się kiedyś swojej przyjaciółce Sophie Marlow z kompleksów wobec Sashy. „Mówisz serio? Mattie, jesteś od niej o wiele ładniejsza, dowcipniejsza, bardziej wyluzowana i zdecydowanie bardziej popularna” – odpowiedziała Sophie, pojmując obawy Mattie w najbardziej przyziemny sposób. Od tamtego czasu Mattie przestała się z nią zadawać, ponieważ Sophie w gruncie rzeczy była wyrachowaną zmiją, a nie prawdziwą przyjaciółką, i miała zwyczaj mówienia tego, co jak sądziła, dana osoba chciała

usłyszeć, przez co tylko mąciła jej w głowie i ściągała ją do swojego niskiego poziomu.

Ray i Mattie przeszli w milczeniu aż do następnej przecznicy, obydwie pogrążeni w myślach i nieco zakłopotani. Mattie irytowało, że Ray właściwie niewiele jej powiedział.

– A co z twoim chłopakiem? – zapytał. – Tym wysokim.

Mattie szturchnęła go łokciem w żebra.

– Zamknij się – rzekła ze śmiechem.

Rzeczywiście spotykała się czasami z Johnem Harmanem, ale nie był jej chłopakiem i zdecydowanie nie był wysoki. W istocie frustrowało ją, że był od niej niższy o co najmniej osiem centymetrów.

– Widziałem go na Ósmej Alei w pantoflach na wysokich obcasach.

– Ray! On nie chodzi w szpilkach, tylko w butach.

– Więc był w butach na wysokich obcasach.

– Co ty wygadujesz?

Popatrzyli z podziwem na czekoladowe eklerki w oknie wystawowym cukierni na President Street, a potem znów zapadło między nimi milczenie.

– No, więc co pomyślałeś? – zapytała wreszcie Mattie.

– O czym?

– O Sashy.

– Och, racja. Sam nie wiem. – Ray znów szarpnął w górę i w dół zamek błyskawiczny kurtki. – Wydawała się znajoma. Wyglądała znajomo. – Zastanowił się. – Wydawało się dziwne, że się nie znamy.

Mattie też się zastanowiła.

– W jakim sensie znajomo? Masz na myśli, że jest podobna do nas?

– Do Emmy i Quinn na pewno. – Ray się zaśmiał i udał, że chce nastąpić Mattie na stopę. – Ty nie jesteś podobna do nikogo.

Dziwny rodzaj rodziny

Sasha tkwiła bez celu na krześle przy stole kuchennym domu w Wainscott, patrząc na pojawiających się tam członków rodziny. Czuła się tak podekscytowana poznaniem Raya, że nie mogła wysiedzieć w swoim pokoju. Wprawdzie kuchnia też była jego, jednak nie aż w takim stopniu jak ich sypialnia.

Przez kuchnię przeszły matka i Mattie. Sasha nie odezwała się do nich. Otworzyła usta dopiero na widok Quinn.

– Czy mogę opowiedzieć ci o czymś dziwnym?

Quinn zatrzymała się z kartonem mleka w ręce i się odwróciła.

– Tak.

Sasha ubóstwiała Emmę, darzyła podziwem i pełnym obawy szacunkiem Mattie, ale ciągnęło ją do Quinn. Czuła w sercu lękliwą nadzieję, ilekroć nazywała Quinn siostrą, i zawsze pomijała to niepotrzebne dopełnienie „przyrodnia”.

– W miniony sobotni wieczór poznałam Raya – oznajmiła.

Quinn ze zdziwienia uniosła brwi.

– Mojego brata Raya?

Sashę trochę uraził ten zaimbek. Przytaknęła.

– Jak to się stało?

– Poszłam na imprezę. Ray też tam był. Zorientowałam się, że to on, dopiero gdy już wyszliśmy i staliśmy na chodniku z parą przyjaciół.

Quinn przyglądała się uważnie Sashy, kiwając głową.

– Wcześniej nigdy nie widziałam go z bliska. – Sasha zmuszała się do tych wyjaśnień. Miała opory przed opowiadaniem o Rayu, nawet przed wymawianiem jego imienia, z obawy, że zdradzi zbyt wiele. – Oglądałam tylko zdjęcia z czasów, kiedy był mały, i widziałam go z drugiego końca wielkiej sali.

Quinn z zamyśloną miną wyjęła z szafki szklankę i napełniła ją mlekiem.

– Chyba to prawda. I wy dwoje nigdy nie mieliście się spotkać.

– A jednak się spotkaliśmy. Na rogu Osiemdziesiątej Ósmej i Lexington.

Później Quinn wyszła na taras i usiadła na brzeжку skrzypiącego szeslonga niczym na huśtawce. Sasha dla równowagi wskoczyła na niego z drugiej strony.

– Chyba wszyscy woleliby, żebyście ty i Ray pozostali w odrębnych światach.

– I zawsze tak robiliśmy – odrzekła Sasha z filozoficzną zadumą.

– Z powodu Lili i taty – dorzuciła Quinn.

Nawet ten zwykły, codzienny zwrot sprawiał im trudności. Quinn zawsze mówiła o swoich rodzicach z punktu widzenia Sashy, a nie własnego. Emma, nieodmiennie precyzyjna, mówiła: „moja mama i nasz tata”, Mattie zaś: „mama i tata”, chociaż nie miała na myśli mamy Sashy. W każdej z tych wersji było coś

niewłaściwego. Tych dwojga ludzi nie dawało się już ująć razem w jednym zdaniu.

– Z nas wszystkich tylko ty i Ray nie jesteście rodzeństwem, nawet przyrodnim, ani w ogóle krewnymi. Nie łączą was żadne więzy pokrewieństwa, ale jesteście moimi bratem i siostrą. – Quinn w zamyśleniu przycisnęła kciuk do ust. – To dziwny rodzaj rodziny.

Sasha milczała długo. W końcu spytała:

– Myślisz, że polubilibyśmy się? Gdybyśmy się poznali.

– Kocham cię. I kocham jego – rzekła po prostu Quinn. – Myślę, że pokochalibyście się. Ale ta rachuba już mnie kiedyś zawiodła.

Sasha skinęła głową.

Quinn nigdy świadomie nie przybierała smutnej miny jak Mattie czy jej matka, ale właśnie to było najbardziej przygnębiające. Quinn darzyła oboje rodziców dziecięcą miłością, bez względu na to, jak bardzo nienawidzili się nawzajem i jak wielką, bolesną wyrwę uczynili w jej życiu.

„Dzieci są najważniejsze”. Dorośli członkowie obydwu rodzin powtarzali to zgodnie jak mantrę. To była jedna z niewielu kwestii, co do której się zgadzali, lecz żadne z nich nie traktowało tego zdania serio.

– Kiedy Ray był mały, często wystawiałam z nim na brzegu stawu – rzekła Quinn po dłuższym milczeniu. – Godzinami łapał gołymi rękami kijanki i żaby. W następnym tygodniu przyjeżdżałaś z kolei ty i zbierałyśmy we dwie leśne rośliny. Robiłaś z nich te piękne małe ogródki w szklanych naczyniach. W takich razach często żalowałam, że nie możecie być ze mną oboje jednocześnie.

Sasha z jakiegoś powodu miała ochotę się rozplakać.

Quinn spojrzała jej w twarz.

– Myślę, że byłabym zachwycona, gdybyście ty i Ray się poznali. W większości spraw krańcowo się różnicie, ale stanowicie dwie połówki całości. To mnie trochę niepokoi. Nie wolno mi marzyć, żeby te dwie połowy się połączyły. Jednak zawsze tego pragnę.

– Chcesz czego? – spytała Quinn z niedowierzaniem.

Mattie stojąca pośrodku sypialni Quinn w bezrękawniku i spodniach od pizamy z motywem z okładki płyty Pink Floydów wyglądała na niebezpiecznie zadowoloną z siebie.

Quinn usiadła w łóżku.

– Mówisz o przyszłym miesiącu? O nadchodzącym sierpniu?

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – odezwała się Mattie. – Wszyscy urządzają przyjęcia zaręczynowe.

Wzrok Quinn jasno wyrażał, co o tym myśli, głównie dlatego, że nie chciała tego ukrywać.

Mattie podeszła bliżej i usiadła ze skrzyżowanymi nogami na końcu łóżka siostry.

– Myślę, że najlepszą metodą jest wskoczenie od razu na głęboką wodę, no wiesz. No bo po co czekać cały rok, aż wszyscy stopniowo zaakceptują tę sytuację? Dlaczego nie zacząć już teraz przełamywać barier? Trochę rozładować atmosferę. Urządzić coś w rodzaju próby przed prawdziwym ślubem.

Miłą cechą Mattie był zwyczaj odpowiadania na własne pytania, w przypadku gdy nie czynił tego jej rozmówca. Lubiła prowadzić rozmowę nawet bez aktywnego udziału drugiej strony.

– Tutaj, w domu?

– Tak. No co, pomożesz mi?

Quinn odrzuciła kołdrę i podwinęła nogi pod siebie.

– Zapytałaś Emmę?

– Nie. Chcę, żeby to była niespodzianka.

Quinn popatrzyła na siostrę z powagą.

– Uważam, że to jeden z najgorszych pomysłów, na jaki kiedykolwiek wpadłaś.

Mattie się uśmiechnęła.

– I to już coś mówi. – Zeskoczyła z łóżka, podeszła do toaletki i przejrzała się w lustrze nad nią. Przechyliła głowę na bok i zrobiła minę do swojego odbicia, a potem odwróciła się znowu do siostry. – No dobrze, więc powiemy im. Nie znamy aż tak dobrze Jamiego. I przecież nie chcemy go na zawsze odstraszyć.

Uwagi Quinn nie umknęło, że Mattie, używając liczby mnogiej, już włączyła ją do realizacji tego pomysłu.

Tymczasem Mattie chodziła po pokoju i się zastanawiała.

– Czy chcemy go odstraszyć? Może jednak chcemy? – rozważała na głos. – Nie. Skoro Emma sama go nie odstraszyła, może powinniśmy go zaakceptować. W każdym razie ja chyba go lubię. – Otworzyła drzwi garderoby Quinn i weszła do środka. – No, więc cieszę się, że to już zdecydowane – mówiła dalej z wnętrza garderoby.

– Co ty tam robisz?

– Nic. Nie masz tu niczego, czego bym chciała. – Wyszła. – Z wyjątkiem dużej ilości miejsca. Czy możesz zapytać mamę?

– O co zapytać?

– Albo po prostu jej powiedzieć. Czy możesz powiedzieć mamie o tym przyjęciu?

Quinn usiadła na brzegu łóżka.

– Dlaczego ja?

– Bo tobie nie potrafi powiedzieć „nie”.

– Oczywiście, że potrafi.

– No cóż, mnie nie potrafi powiedzieć „tak”.

– A tata?

– Czy jemu też ty mogłabyś powiedzieć?

– Serio? – spytała Quinn. Mattie zrobiła zawstydzoną minę, ale nieszczercze. Była lekkomyślna. – Wolałabym nie.

– Wiem. – Mattie po raz pierwszy okazała Quinn, jak bardzo jej na tym zależy. – Ale jednak to zrobisz?

Quinn spoglądała za Mattie, która wybiegła z pokoju pewna, że siostra spełni jej prośbę.

Mattie prosiła ją o to właśnie dlatego, że wiedziała, jak trudno siostrze to przyjdzie. Ponieważ ich rodzice też to rozumieją i być może nie odmówią.

– W sierpniu? Za miesiąc? Mówisz serio? – spytała Emma i rozejrzała się, aby się upewnić, czy Francis stojący przy ladzie działu wyrobów cukierniczych nie przyłapie jej na rozmawianiu przez telefon.

– Tak. To dość czasu, żeby zaplanować przyjęcie, ale za mało, żeby rodziny wykopały okopy i rozmieściły ładunki wybuchowe – wyjaśniła Mattie.

Emma potrząsnęła głową. Czym innym było wyobrażenie sobie obojga jej rodziców razem w jednym pokoju dopiero przyszłego lata, a czymś całkiem innym w tak przerażająco bliskim terminie.

– Mama i tata nigdy się na to nie zgodzą.

– Zgodzą się. Quinn ich poprosi. Ona nigdy ich o nic nie prosi, więc jej nie odmówią.

– Czy Quinn uważa to za dobry pomysł?

– Mówi, że tak, o ile nikt nie zostanie tym zaskoczony.

– Musiałabym zaraz zapytać Jamiego. Jego rodzice musieliby przyjechać z Ohio.

– Zapytaj go.

Emma zastanawiała się przez chwilę.

– Posłuchaj, czuję się zaszczycona i wdzięczna, że zamierzacie zorganizować to przyjęcie. Ale... właściwie dlaczego chcecie to zrobić?

– Ponieważ cię kochamy. Chcemy uczcić wasz związek. Wszyscy urządzają przyjęcia zaręczynowe.

– Nie w naszej rodzinie.

– No cóż, może pora przekonać ich do tego. Pora, żeby przestali myśleć tylko o sobie, a zaczęli myśleć o swoich dzieciach.

Emma uśmiechnęła się smutno.

– Matt, to nierealne i dobrze o tym wiesz.

– Ale nie powinno takie być! Właśnie o to chodzi!

Emma roześmiała się, lecz zaraz znów spoważniała.

– Sama nie wiem.

– Więc spójrz na to w inny sposób: jeszcze przed ślubem będziemy mieli najgorsze za sobą.

To miało jakiś sens.

– Dobrze, porozmawiam z Jamiem. Muszę już iść.

Mattie weszła dyskretnie do gabinetu ojca.

– Czy pamiętasz faceta nazywającego się Jonathan Dawes?

Tata siedział plecami do niej przy otwartym laptopie. Przyciskał do ucha słuchawkę jednego telefonu, drugi leżał na stole. Na kolanach miał gazetę, a kilka centymetrów od łokcia filiżankę kawy. Dwa szerokie ekrany zamontowane tuż powyżej poziomu oczu pokazywały zmieniające się ceny towarów, głównie na czerwono.

Ojciec ledwie zwrócił na nią uwagę. Spoglądał to na jeden ekran, to na drugi. Zawsze zostawiał otwarte drzwi do gabinetu, lecz rzadko ktoś tu wchodził.

Mattie z trudem wydusiła z siebie to pytanie. Wiedziała, że się nie uspokoi, dopóki nie zapyta o to taty, ale właściwie nie chciała tego robić. W gruncie rzeczy poczuła ulgę, kiedy puścił jej pytanie mimo uszu. Nie chciała, żeby je zauważył. Najchętniej odwróciłaby się i wyszła. Ale jak wtedy zyskałaby spokój?

Nagle ojciec spojrzał na nią. Jej milczenie zawsze przykuwało jego uwagę, w przeciwieństwie do jej głosu.

– Coś mówiłaś, Matildo?

Nerwowo pociągnęła nitkę zwisającą ze skraju nogawki jej dżinsowych szortów.

– Nic ważnego. Ja tylko...

– Co?

Teraz był zaintrygowany. A kiedy był zaintrygowany, miało się problem.

Mogła zmyślić jakieś głupstwo na temat swojej karty debetowej albo zapytać go jeszcze raz.

– Natknęłam się na tego faceta w markecie Black Horse. Wyglądał jakby znajomo i zastanawiałam się, czy może go znasz.

– Kogo?

Szarpnęła nitkę tak mocno, że wpiła się jej w dłoń. Musiała powiedzieć to teraz, chociaż czuła się jak saper rozbijający bombę. W jednej ręce cążki, w drugiej przewody.

– Mattie? – ponaglił ją ojciec.

– On się nazywa Jonathan Dawes.

Ciach!

Twarz ojca pozostała niewzruszona.

– I chyba... bardzo lubi... surfować. – Z każdym słowem Mattie mówiła coraz ciszej.

Saperzy nie zawsze od razu wiedzą, czy im się powiodło, czy nie. Ona też nie wiedziała. Nie wiedziała nawet, co w tym przypadku byłoby sukcesem, a co porażką. Przypomniała sobie starą strategię Emmy: „Nie zadawaj tacie pytania,

o ile już nie znasz odpowiedzi”.

Uniósł brwi. Odrobinę zacisnął usta. Odchrząknął, ale się nie odezwał.

– Zdaje się, że uczył nas surfingu, kiedy byliśmy małe. Czy ty w ogóle to pamiętasz?

Ojciec siedział całkowicie nieruchomo, wciąż trzymając w dłoni telefon. Za jego głową na ekranach spadały ceny. Czy się zastanawiał? Usiłował sobie przypomnieć? A może był roztargniony? Albo wściekły na nią?

– Nie.

– Nie pamiętasz go?

– Nie.

– Nie pamiętasz, że uczyliśmy się surfowania?

– Nie.

Czy spoglądał na nią gniewnie? A może popadała w paranoję? Oderwała nitkę od nogawki szortów.

– W porządku.

Odwrócił się z fotelem z powrotem do ekranów, chociaż wydawało się, że ledwie się poruszył.

– Tato?

Żadnej odpowiedzi. Odłożył telefon na stół. Miał spuszczoną głowę.

– W porządku – powtórzyła.

Teraz już wiedziała, że przecięła ten przewód, który powoduje eksplozję. Być może powolną i cichą, ale niewątpliwą. I może w jakimś okropnym sensie właśnie to było sukcesem. Ponieważ teraz wiedziała również, że nie przysłała tu, żeby cokolwiek naprawić.

Dziwiła ją postawa ojca. Nie wiedziała, jak zareagować. Nigdy nie odwracał się do niej plecami. Miała wrażenie, że powinna coś powiedzieć, ale nie wiedziała co. Twarz ją paliła, dłonie miała wilgotne od potu i żałowała, że nie może z powrotem połączyć przewodu i cofnąć eksplozji.

Była jego ukochanym dzieckiem, jego złotowłosą córeczką. Dawniej nosił ją na ramionach, a ona wdrapywała się mu na głowę. Nigdy dotąd w jego obecności nie czuła się zakłopotana ani zdezorientowana.

Wyszła z gabinetu.

– Proszę, zamknij drzwi – rzucił.

Takim tonem zwracał się do czyściciela basenu, kiedy na powierzchni wody był kozuch. Nigdy do niej.

Zamknęła drzwi, ale nie potrafiła się zmusić, żeby odejść. Stała drżąca. Usłyszała, że w gabinecie coś się potoczyło, a potem rozbiło. Coś szklanego. Położyła dłoń na klamce i wsłuchiwała się w ciszę. Wyczuwała, jak ona i ojciec oddychają – po obydwu stronach drzwi, ale oddaleni od siebie. Serce biło jej szaleńczo, lecz nie odważyła się wrócić do gabinetu.

W niedzielne popołudnie Quinn przyniosła Myrnie Chapman papierową torbę żółtych brzoskwiń saturn. Lubiła wpadać do niej raz czy dwa razy na tydzień, po skończeniu pracy w sadzie Reese'ów, i zawsze przynosiła trochę owoców z tamtejszych drzew.

Kiedy babka Quinn, Hardy, była mała, nastoletnia Myrna pracowała jako jej opiekunka, a później została jej przyjaciółką. Mieszkała w miasteczku, w wiktoriańskim domu w pobliżu szosy, a dawniej miała jeden z najpiękniejszych ogrodów, jakie Quinn kiedykolwiek widziała.

Quinn w dzieciństwie przychodziła zawsze do Myrny, gdy w jej własnym domu robiło się hałaśliwie. Myrna częstowała ją ciasteczkami w kształcie figur szachowych i czarną herbatą i dzieliła się z nią swoją wiedzą o kwiatkach.

Mała Quinn głównie psociła, lecz gdy trochę dorosła, zaczęła pilnie słuchać nauk ogrodniczych Myrny, a w wieku mniej więcej dwunastu lat stała się dla niej prawdziwą pomocą. Jednego roku Myrna zdobyła lokalną nagrodę za swój ogród – „bezapelacyjnie”, jak mawiali mieszkańcy miasteczka – i wymogła podczas ceremonii, by Quinn odebrała ją razem z nią.

– Za miesiąc, w sierpniu, Mattie wydaje w domu przyjęcie zaręczynowe dla Emmy i Jamiego – oznajmiła Quinn. Pokroiła dwie brzoskwinie i wrzuciła do miski stojącej na środku małego stołu kuchennego Myrny. – Mnie przypadło zadanie zapytania moich rodziców.

Myrna sprawiała wrażenie rozbawionej.

– I co odpowiedzieli?

Quinn usiadła przy stole naprzeciw niej.

– Że być może, ale jestem pewna, że obydwójce się zgodzą.

– Skąd wiesz?

– Ponieważ Mattie zdecydowała, że tak czy inaczej urządzimy to przyjęcie, a rodzice Jamiego przyjadą aż z Ohio. Jamie Hurn pracuje w firmie mojego taty i jest tam gwiazdą. Tata musi być obecny, aby powitać Hurnów jako ojciec, szef i gospodarz. A skoro tata i Evie zgodzą się wziąć w tym udział, moja mama też z pewnością się zjawi. Będzie wyrzekać, ale znasz ją. Uzna, że musi reprezentować naszą rodzinę. Nie pozwoli, żeby tata zachowywał się, jakby to było tylko jego przyjęcie, jego dom i jego córka.

Myrna pokiwała głową.

– Masz rację.

– Zawsze ta sama stara historia – rzekła Quinn.

Myrna sięgnęła po plasterek brzoskwini. Palce miała powykręcane artretyzmem, o gruzłowatych kostkach, ale smak owocu sprawił jej niekłamaną

przyjemność.

– A ty przyjdiesz? – zapytała ją Quinn.

– Oczywiście – odrzekła Myrna.

Myrny przez wiele lat nie zapraszano do ich domu, ponieważ rządziła w nim babka Hardy. Babka potępiała Myrnę za to, że rozwiodła się w czasach, kiedy w miasteczku nie było to jeszcze przyjęte. Dwadzieścia lat później babka Hardy też się rozwiodła, powtórnie wyszła za mąż i zamieszkała w Oyster Bay. Mawiała często: „Dlaczego, u Boga Ojca, czekałam z tym tak długo?”.

– Nigdy nie widziałam moich rodziców razem w jednym pokoju – oświadczyła Quinn. – A przynajmniej nie pamiętam niczego takiego.

– Ja widziałam.

– Kiedy?

Myrna przekrzywiła głowę, próbując sobie przypomnieć.

– Ciężko powiedzieć. Twój dziadek był wtedy pijany i zachowywał się jak cham – chyba chodziło o to, że gospodyni spaliła pieczeń. Włączono alarm przeciwpożarowy i przyjechał wóz ochotniczej straży pożarnej, a twoi rodzice usiłowali uciszyć Emmę.

– Nie zawsze oni byli przyczyną kłopotów – rzekła z uśmiechem Quinn.

Myrna też się uśmiechnęła.

– To kwestia pokoleniowa.

Przez kilka chwil w milczeniu delectowały się brzoskwiniami.

– Chyba upiekę na to przyjęcie tort ozdobiony kwiatami – powiedziała Quinn.

– Cudownie. Wciąż mam goździki i ogóreczniki. Pięknie wyglądają na torcie.

W miarę jak Myrna się starzała, jej ogród się zmniejszał i przybliżał do kuchennych drzwi; obecnie był już tylko małą grządką bylin tuż przy tylnej ścianie domu.

Quinn początkowo sprawiało przykrość obserwowanie tego postępującego procesu kurczenia się.

– Mogłabym dalej uprawiać ogród za ciebie – zaofiarowała się kiedyś niemal ze łzami. – Cały.

Myrnę wzruszyła jej propozycja, ale odparła stanowczo:

– Ogród powinien odzwierciedlać to, co samemu może się i chce w nim zrobić.

Kiedy Quinn wracała rowerem od Myrny do domu, uświadomiła sobie, że powiedziała jej coś, co nie było całkiem prawdą. Gdy miała jedenaście lat, zapadła na tajemniczą chorobę, która trwała wiele dni. W końcu dostała tak wysokiej gorączki, że umieszczono ją w szpitalu. Traciła i odzyskiwała przytomność, miała halucynacje i śniła. Co w gruncie rzeczy było błogosławieństwem, gdyż wprost

nienawidziła szpitalnych odgłosów i zapachów.

Pamiętała jeden moment względnej jasności umysłu, kiedy ocknęła się w ciemnym szpitalnym pokoju. Popatrzyła przez otwarte drzwi na korytarz i wydało się jej, że widzi swoich rodziców stojących w progu. Pamiętała, jak nachylają głowy ku sobie i rozmawiają ściszonymi głosami.

Być może to się jej tylko przywidziało, ale sądziła, że zobaczyła, jak tata ujmuje dłoń mamy i ściska ją przez chwilę, zanim oboje odwrócili się od siebie i odeszli w przeciwnie strony.

Violet wyglądała ładnie. Rayowi podobał się jej iskrzący się cień na powiekach. Nie miał też nic przeciwko temu, że nogi ich obojga wciąż stykały się pod stolikiem. Ale zirytowało go jej pytanie.

– O niczym. A co? – odparł.

Violet odgarnęła włosy za uszy. Potrząsnęła filiżanką z mrożoną kawą.

– Wydajesz się niezwykle roztargniony.

To prawda, był tak roztargniony, że dopiero po kilku sekundach dotarło do niego, iż właśnie zarzuciła mu roztargnienie.

– Aha. Może. Sam nie wiem.

To nie było całkiem prawdą. Nie wiedział, jednak domyślał się powodu. Porównywał dziewczynę, z którą od dwóch lat od czasu do czasu spotykał się i obściskał, dotykając niemal wszystkich części jej ciała – z dziewczyną, którą widział tylko niecałe pięć minut po tamtej imprezie.

Jego kontakty z Violet były zawsze powierzchowne, nigdy naprawdę intymne. Ale była chętna, gotowa i stale pod ręką. Podczas gdy ta *druga* dziewczyna pozostawała całkowicie dla niego niedostępna.

Znał je obie na zupełnie różne sposoby. Violet znał od zewnątrz – wiedział, jak wygląda, jak się ubiera i jakie to uczucie dotykać jej. Tę drugą dziewczynę widział zaledwie chwilę (nie mówiąc o dotykaniu jej) i znał ją tylko z tego, co pisała, czytała i robiła.

Ojciec wytknął mu kiedyś wadę charakteru polegającą na tym, że wyżej ceni to, czego nie ma, niż to, co ma. To, czego nie może mieć, niż to, co może.

Ale czy *ona* pytałaby go tak często, o czym myśli?

Wstał i wziął ze stolika swoją filiżankę zbyt drogiej kawy Hamptons.

– Za dwie minuty muszę być w pracy – rzekł do Violet.

Ona też wstała. Gdy szli do drzwi, przysunęła się do niego. Pocałowała go w policzek; poczuł jej kwiatowy zapach.

– Wybierasz się dziś wieczorem do Frasiera? – spytała.

Violet za każdym razem pachniała inaczej. Była to zawsze woń miła, intensywna, dziewczęca, jak w salonie kosmetycznym, ale nigdy taka sama.

Na zewnątrz, na chodniku, Violet spojrzała na niego ze zniecierpliwieniem, czekając na odpowiedź.

– Przepraszam... do Frasiera? Nie, powiedziałem mu już, że nie mogę.

Frasier był starym kumplem Raya z Wainscott. Ray bardzo lubił surfować z nim albo łowić ryby, ale nie znosił jego imprez.

– Dziś wieczorem muszę być w domu. Kolacja rodzinna.

– A potem wracasz do miasta?

– Tak. Przypuszczalnie zobaczymy się w przyszłym tygodniu.

– Mogłabym przyjść do ciebie na noc.

– Dobrze – powiedział.

– Nudzę się tutaj bez ciebie.

Wiedział, że Violet łatwo się nudzi. Pocałował ją, odwrócił się i ruszył w kierunku marketu Black Horse, zadowolony, że przez jakiś czas nikt nie będzie go wypytywał, o czym myśli.

Czy *ona* też łatwo by się nudziła?

Z jakiegoś powodu pomyślał o ich miasteczku z klocków Lego. W istocie nie potrafił sobie wyobrazić Violet – ani w wieku gimnazjalnym, ani w jakimkolwiek – budującej przez pięć miesięcy miasteczko z sześcioma parkami, ale bez żadnej szkoły czy nawet sklepu.

Spróbował odtworzyć z pamięci *jej* twarz, ale już była niewyraźna, niecałe dwa tygodnie po tym, jak ją widział. W istocie stała się niewyraźna już tamtej nocy, gdy usiłował usnąć, rozwiała się, jak działa się zawsze ze wspomnieniami i z nadziejami. Natomiast bez trudu mógł wyobrazić sobie twarz Violet.

Miał tylko kilka tamtych czystych chwil, gdy widział ją naprawdę, zanim się dowiedział, że ona jest *niq*. Wciąż próbował wrócić do tamtego momentu, kiedy ich spojrzenia spotkały się w korytarzu przed kuchnią. Tamto wspomnienie budziło w nim dziwną skłębioną mieszaninę zakłopotania, wstydu i podniecenia.

Pamiętał przynajmniej tyle, że uznał ją za piękną. Równie piękną jak Violet. Piękniejszą. Być może inni faceci nie zgodziliby się z nim. Violet był wysoka, efektowna i przykuwała męskie spojrzenia. Ale Ray nie miał wątpliwości.

Dlaczego on to robi?

Wszedł do Black Horse tylnymi drzwiami. Odbił kartę równocześnie z Juliem i zabrał się do roboty w magazynie.

Zaczął wyładowywać pudełka drogiego włoskiego makaronu spaghetti z kartonowych pudeł na półki sklepowe.

Rozejrzał się po przejściu przy ostatnim rzędzie regałów, wypatrując następnych pudeł. Zamiast nich zobaczył trzy idealne kopie piramidy z Gizy ułożone z puszek i pojemników.

Uśmiechnął się. Oparł się plecami o stare drzwi pożarowe. Serce przepełniała mu radość. Następną godzinę spędził na ustawianiu miniaturowych puszek z pastą pomidorową w kształt Wielkiego Sfinksa.

Nie, ona nie znudziłaby się łatwo. A on miał wadę charakteru.

*Pytanie dnia do Małego Raya:
Czy Quinn zabrała Cię kiedykolwiek na oglądanie narwali w akwarium na Coney Island?*

Duża Sasha

DS

Tak! Ona uwielbiała to miejsce, a zarazem go nienawidziła. Płakała nad starym morsem i mówiła: „On widzi ze swojego zbiornika otwarty ocean!”. Więc oczywiście ja też płakałam.

Czy w muzeum przyrodniczym prowadziła Cię pod płetwala błękitnego?

MR

MR

Wiele razy. Opowiadała historie o każdej z przerażających podmorskich dioram.

Tylko ona jedna z rodziny gdziekolwiek mnie zabierała. Gdyby nie ona, wyrósłbym na kogoś takiego jak Cameron Reese.

DS

Przestań!

– Uważasz za możliwe, że mama miała romans, kiedy była żoną taty?

Mattie wybrała na to pytanie moment, gdy Quinn zmagala się z głęboko zakorzenionymi chwastami rosnącymi na grządce młodych kabaczków.

Mattie zdecydowała się w pełni zrzucić na Quinn brzemię tej kwestii. Wiedziała, że siostra weźmie na swoje barki większość tego ciężaru, i to jej odpowiadało. Była już wyczerpana dźwiganiem go samotnie.

Quinn się podniosła.

– Dlaczego pytasz?

Nie sprawiała wrażenia ani zaskoczonej, ani zaintrygowanej, co wydawałoby się naturalną reakcją.

– Bo wciąż o tym myślę. Mówiłam ci o tamtym facecie w Black Horse?

– Aha – mruknęła Quinn i powróciła do wrywania chwastów.

– Zapytałam o niego mamę, a ją kompletnie замуrowało. Odtąd nie potrafi spojrzeć mi w oczy.

– Co powiedziała?

– Nic szczególnego. Że był surferem i krótko uczył surfowania ją i nas. Wiedziałam to wszystko. Rzecz w tym, jak wyglądała i jak się zachowywała.

– Racja.

Mattie wzięła wdech.

– A potem zapytałam tatę. – Gwałtownie przygryzła paznokcie. –

Zareagował bardzo dziwnie. Prawie się nie odezwał. Milczał, ale zimno. Nie widziałam nigdy, żeby się tak zachowywał.

Quinn skinęła głową, ale Mattie nawet z boku dostrzegła na jej twarzy ból.

– To było w niedzielę po południu, siedział w swoim gabinecie. Po tym, jak go spytałam, kazał mi zamknąć drzwi i zaraz usłyszałam, jak coś rozbija się z trzaskiem o podłogę. – Quinn, mówiąc to, zadrżała. – Jak myślisz, co to znaczy?

– Coś spadło.

Mattie głośno wypuściła powietrze z płuc.

– Quinn!

– Chcesz wiedzieć, co to znaczy?

– Nie wiem, czy chcę, ale nie potrafię przestać o tym myśleć. – Mattie trzasnęła kostkami palców. Zamknęła oczy. – Nikt z nas nie wie, co się wydarzyło. Nie chcesz się dowiedzieć?

– Oni nie chcą, żebyśmy się dowiedzieli.

– Najwyraźniej nie chcą. Ale dlaczego? Co się wtedy stało? – Mattie ogarnął lekkomyślny nastrój i chociaż wiedziała, że jej brawura zawsze przyprawia Quinn o największe zmartwienia, to jej nie powstrzymało. – Nie jesteś tego ciekawa?

Quinn otrzepała spodnie z ziemi.

– Nie sądzę, by jakakolwiek informacja mogła zmienić sytuację, o której wiemy, że jest prawdziwa – rzekła powoli.

Mattie ledwie jej słuchała. Rozpostarła rękę.

– Inni ludzie rozwodzą się bez gniewu. Pozostają przyjaciółmi. Jadają razem kolacje. Wspólnie obchodzą święta, jeżdżą na wakacje. Znam mnóstwo takich osób. Nasi rodzice od niemal dwudziestu lat nie zbliżyli się do siebie na odległość mniejszą niż trzydzieści metrów. Co wydarzyło się pomiędzy nimi?! I dlaczego nie mogą nam o tym powiedzieć?

– Chcą nas chronić.

– Przed czym? Może w rzeczywistości chcą chronić siebie. Może to jedyna rzecz, co do której zgadzali się przez cały ten czas.

– Może dobrze, że zgadzają się ze sobą przynajmniej co do tego.

– Kiedy byliśmy małe, być może. Ale od pewnego momentu nie powinni już o tym decydować.

Quinn w końcu zwróciła na siostrę intensywne spojrzenie swoich wielkich oczu.

– Proszę cię, Matt, bądź ostrożna.

Nie, Mattie wcale nie zamierzała być ostrożna. Będzie deptać, szarpać i popychać.

– Może ja zdecyduję – powiedziała. – Może nawet ten cholerny Jonathan Dawes będzie miał szansę zdecydować.

Sasha przez dwa dni usiłowała wymyślić, o czym mogłaby napisać do Raya. A potem zobaczyła sfinksa za tylnymi regałami w magazynie, przy jej piramidach, i niemal krzyknęła.

Niemal krzyknęła z podziwu dla tego sfinksa. W jej sercu wezbrała fala przyływu i zaczęła wyciekać przez oczy. To było dziwne.

Ale ten widok wzbudził w niej potok zapomnianych uczuć. Uczuć związanych z klockami Lego, z powieścią *Zabić drozda* i z kolekcją plastikowych figurek zwierzątek. Była w tym nostalgia, ale też coś nowego i ważnego: synteza jej dawnego Raya z tym oszałamiająco obcym Rayem, którego poznała przed kamienicą Samantha Rubin. Oto był cudowny model niemal całej Gizy zrobiony z puszek i pudełek, ciągnący się przez słabo oświetlone przejście za ostatnią ścianą regałów, prowadzące do odrapanych drzwi pożarowych.

Przywołał też dawną wersję samej Sashy, za którą tęskniła, choć ledwie zdawała sobie sprawę, że ta dawna Sasha zniknęła.

I wtedy zza tylnego rzędu regałów wyszedł Francis i spostrzegł Sashę.

– Co to jest, do diabła?

Wypuściła powietrze z płuc. Cholera. Popatrzyła na Gizę z pudełek i puszek, chcąc wryć sobie w pamięć jej ostatnie chwile.

– Czy to piramidy? – pytał dalej Francis.

– Tak.

– Ty to zrobiłaś?

Nie potrafiła rozszyfrować tonu jego głosu. Gdyby usłyszała w nim choć odrobinę podziwu, chciałaby poinformować Francis, że jest to dzieło również Raya, ale nie wówczas, gdyby kierownik był tylko zirytowany.

– Aha – mruknęła w końcu.

– Czy płacę ci za budowanie modeli z artykułów spożywczych?

Sasha usiłowała wydać się skruszona, a nie tylko urażona.

– Przepraszam. Miałam trochę dodatkowego czasu, po tym jak odebrałam poranne dostawy i uzupełniłam towary na półkach sklepowych. Pomyślałam, że moglibyśmy zrobić zdjęcia i wykorzystać je w mediach społecznościowych.

To była kompletna bzdura, ale Francis rozprawiał o znaczeniu mediów społecznościowych prawie równie często co o swoim magisterium z zarządzania.

Niemal widziała, jak w jego głowie zaczynają się obracać tryby.

– Masz na myśli, że moglibyśmy umieścić je na Facebooku?

– Pewnie. I może utworzyć konto na Instagramie.

– W porządku. – Francis uniósł brwi i kiwnął głową. – Dobrze kombinujesz.

Wiesz, właśnie dlatego zatrudniam was, młodych.

– Zrobił to też Ray. To także jego zasługa – powiedziała Sasha i mimo woli uśmiechnęła się z dumy.

– Ty jesteś Ray.

– Mówię o tym drugim Rayu.

Teraz już wiedziała dokładnie, co napisze Rayowi, gdy tylko wyjdzie z pracy. Już nie mogła się doczekać. Serce biło jej absurdalnie mocno.

– On to zrobił?

– Tak.

Francis się roześmiał.

– Wyobrażałem sobie, że Ray jest bardziej dorosły. To znaczy, kiedy widzi się tę jego wystrzałową dziewczynę, która przychodzi po niego codziennie pod koniec zmiany.

Sasha przełknęła z wysiłkiem. Serce nadal biło jej szybko, ale jego rytm się zmienił. Uśmiech wisiał jeszcze przez chwilę niepewnie na jej twarzy, a potem odpadł.

Jej poczucie triumfu rozwiało się bez śladu. Nie potrafiła wydusić z siebie ani słowa. Kręciło się jej w głowie. Nie sądziła, że Francis może tak ją zranić, ale w tym jednym jego zdaniu było tyle okropnych rzeczy, że nie potrafiła się w nich rozeznąć.

Ray jest dorosły. Ona jest dzieckiem. Ray ma dziewczynę. Wystrzałową dziewczynę. Tej dziewczynie bardzo na nim zależy. Sasha w istocie nie widziała tej wystrzałowej dziewczyny. Nie umiała jej sobie nawet wyobrazić. Sasha nie ma nikogo, wystrzałowego czy nie, kto przychodziłby po nią pod koniec jej zmiany. Ani codziennie, ani jakiegokolwiek dnia.

Popatrzyła na te durne piramidy z puszek i poczuła się po prostu głupia. Czy Ray zakpił z niej, dodając sfinksa?

Francis się odwrócił.

– To urocze – rzekł, wskazując na model Gizy. – Naprawdę. Zrobiłaś już zdjęcia?

Sasha czuła się zrozpaczona. Starła się opanować.

– Nie. Ale zrobię.

– Świetnie. A potem rozbierz to wszystko i ułóż towary z powrotem na miejscach.

Żałośnie kiwnęła głową.

– Dziś wieczorem – dorzucił.

– Uważam, że powinniśmy zadzwonić, zanim pójdziemy do restauracji Lexi's – zasugerował Jamie.

Teraz, kiedy rodzice Jamiego zgodzili się przylecieć na Wschodnie Wybrzeże na przyjęcie zaręczynowe, on i Emma zdecydowali, że dobrze byłoby zatelefonować do nich i dokonać wstępnej prezentacji jeszcze przed tą sierpniową

imprezą.

Emma przycisnęła komórkę do ucha, żeby lepiej słyszeć.

– Czy możesz wyjść wcześniej z pracy? – spytała.

– Postaram się. Wrócę do biura po obiedzie, jeśli będę musiał.

Mówił napiętym głosem. Emma żałowała, że nie może go widzieć i odczytać z twarzy jego nastroju.

– Spotkajmy się u mnie o szóstej – powiedział.

– Tak wcześnie?

Nigdy nie widziała, żeby w dzień powszedni wychodził z biura przed ósmą.

– Aha. Chyba tak.

Zjawiała się przed jego budynkiem mieszkalnym w Long Island City równocześnie z nim. Jamie ją pocałował, ale na jego twarzy widniał niepokój. W windzie przez całą jazdę na górę nerwowo tupał stopą.

– To tylko rozmowa przez telefon – powiedziała Emma. – Przecież twoi starzy są na luzie, prawda?

Wzruszył ramionami.

– Sam nie wiem. Czy jacykolwiek rodzice są na luzie?

Emma starała się go zrozumieć. Dotąd niewiele mówił o swojej rodzinie. Jego rodzice byli małżeństwem. Miał siostrę, piętnastoletnią, ale nad wiek dojrzałą. Ojciec pracował w dziale sprzedaży firmy chemicznej. Mieszkali w miłym, przestronnym domu z wiatą na samochód na ładnym osiedlu.

Czy Jamie niepokoił się z jej powodu? Emmie już wcześniej przyszło to do głowy.

– Przez telefon nie zorientują się, że jestem Hinduską – powiedziała, gdy oboje wchodzili do jego małego mieszkania.

Jamie zrobił zdumioną minę.

– Co masz na myśli?

– Martwiłam się po prostu, że kiedy mnie poznają, mogą być zaskoczeni, że nie jestem trochę... bielsza.

Chwycił ją i objął mocno.

– Och, Em, jesteś taka doskonale doskonała. Nie mogę znieść, że się tym martwisz. – Puścił ją. – W każdym razie opowiedziałem im wszystko o tobie; chyba posłużyłem się twoim określeniem: pół-Bengalka, półhipiska. Kiedy w ubiegłym roku przyjechali zobaczyć biuro, w którym pracuję, przez jedną dziesiątą sekundy widzieli twój tatę.

A więc nie chodziło o to.

– Dzwonię – oznajmił Jamie.

Zastali wszystkich troje Hurnów w domu. Rozmowa przebiegła serdecznie, uprzejmie, była pełna gratulacji i trochę niezręczna. Matka Jamiego dziękowała wylewnie za szampana, którego Robert im przysłał.

– Jestem wzruszona, że przyjdziecie na to przyjęcie zaręczynowe – powiedziała na koniec Emma. – Nie mogę się doczekać, kiedy was poznam.

– Widzisz, nie poszło tak źle – rzekła do Jamiego, po tym jak już wszyscy oznajmili, że niecierpliwie wyczekują spotkania, i zakończyli rozmowę.

Jamie skinął głową.

– Właściwie każde z nich zachowało się wspaniale – dodała Emma.

Jednak we wzroku Jamiego dostrzegła więcej rezerwy niż zazwyczaj.

– Moja mama bywa czasami mniej sztywna niż pozostali – powiedział.

– W porównaniu z moją sprawiała wrażenie całkiem wyluzowanej.

W pobliżu była tylko Mattie, więc Sasha mogła zapytać jedynie ją. Nie była tym zachwycona, ale musiała to zrobić.

– Kim jest ta wystrzałowa dziewczyna, która codziennie przychodzi po Raya pod koniec jego zmiany? – spytała.

To nie była sprawa Sashy i obiektywnie rzecz biorąc, nie miała żadnego związku z jej życiem, jednak w rzeczywistości była dla niej ważna.

Mattie siedziała na leżaku przy basenie i malowała paznokcie u nóg. Była ostatnio bardzo roztargniona, więc Sasha miała nadzieję, że po prostu odruchowo odpowie i nie okaże zbyt wielkiego zaciekawienia ani nie będzie prawić jej kazań.

– Masz na myśli Violet?

Cholera. Czy ta dziewczyna musi w dodatku mieć takie superimie?

– Nie wiem. Nie jestem pewna.

Czyżby Ray spotykał się z wieloma dziewczynami?

– Przypuszczam, że chodzi o nią. Stale płacze się przy Rayu. Ale nie wiem, czy jest taka wystrzałowa. – Mattie się zastanowiła. – No, może rzeczywiście jest. Znasz ją?

– Powiedział mi o niej Francis, kierownik marketu.

Mattie przewróciła oczami.

– Francis to stary zboreźnik. Ile on ma lat, trzydzieści? Violet chodzi do liceum!

Sasha pomyślała, że właściwie nie powinna być zdziwiona. Dlaczego miałoby ją zaskakiwać, że w życiu Raya jest jakaś Violet? Oczywiście, że jest. Dlaczego więc poczuła się zdradzona? Czy kompletnie jej odbiło? Co sobie roiała? A jednak zadała następne pytanie:

– Czy oni są ze sobą na poważnie?

Mattie była zaabsorbowana poprawianiem lakieru na jednym z paznokci i zdawała się nie mieć Sashy za złe tego wypytywania. Dobre chociaż to.

– Na poważnie? To jeszcze dzieciaki – powiedziała takim tonem, jakby sama była już emerytką. – Słowa „poważnie” i „Violet” nie pasują do siebie.

Sashy ta uwaga sprawiła jakąś niegodziwą przyjemność.

– Naprawdę? – rzuciła, pragnąc dowiedzieć się więcej.

– Violet kręci się koło Raya, odkąd byli w gimnazjum. Poszła chyba do liceum Nightingale, gdzie chłopcy w ogóle nie mają wstępu, więc Ray jest dla niej kimś wyjątkowym, niczym biały nosorożec. Wiesz, jak to jest. Violet to typowa rozpuszczona smarkula z East Hampton, która paraduje w ostrym makijażu po Main Street w nadziei, że wypatrzy jakichś celebrytów.

Mówiąc to, Mattie surowo marszczyła brwi, jakby była sędzią Sądu Najwyższego.

Przyjemność, jaką sprawiła Sashy ta krytyczna opinia, szybko się rozwiała. Teraz dręczyła ją następna kwestia. Czy Ray też jest taki? Czy naprawdę odpowiadają mu tego rodzaju dziewczyny? To nie pasowało do jej wyobrażenia o nim. Ale przecież w przypadku Raya nie miała prawie nic oprócz wyobrażeń.

– A czy Rayowi na niej zależy? – spytała, nawet nie próbując się powstrzymać.

Mattie machnęła w powietrzu buteleczką z lakierem.

– Nie wiem, na ile Ray jest nią zainteresowany, a na ile jedynie toleruje jej towarzystwo.

To nie brzmiało zbyt romantycznie, prawda?

– Emma nazywa ją „Tylko Violet” – dorzuciła Mattie.

– Dlaczego?

– Bo ilekroć zjawia się u nas w domu, mówimy wszyscy: „Och, to tylko Violet”.

Sasha się roześmiała. Zastanawiała się, czy ten śmiech zabrzmiał rzeczywiście tak diabolicznie jak w jej uszach.

Mattie skończyła nakładać drugą, ostatnią warstwę lakieru na paznokieć małego palca drugiej stopy i wreszcie zadała nieuniknione pytanie:

– A właściwie dlaczego tak cię to interesuje?

Rozmowa o otrzymywaniu więcej, niż się chciało

„Nadal w każdą sobotę surfuję w Ditch Plains”.

Czy on w jakiś sposób przewidział, że Mattie podejmie taką decyzję?

Kiedy wówczas to oznajmił, miała wrażenie, że to śmiesznie nieistotna informacja. A jednak ją zapamiętała. I oto teraz, wczesnym sobotnim rankiem, jechała starą hondą Adama do Ditch Plains.

Jej matka nie chciała rozmawiać o tej sprawie. Ojciec stanowczo nie chciał o tym rozmawiać. Ale Mattie odnosiła wrażenie, że Jonathan Dawes chce.

Ręcznik i książka wydawały się jej tylko rekwizytami, gdy wybierała miejsce na piasku. Ta plaża leżała w odległości zaledwie kilku mil na południe od Georgica, ale nie czuło się tu bliskości miejskiej aglomeracji. Fale były długie, spienione i już roiło się na nich od surferów. Wysokie, strome urwiska i porywisty wiatr nadawały temu miejscu aurę dzikiego pustkowia. Kiedy Jonathan Dawes uczył je jako małe dziewczynki utrzymywania równowagi na desce na płytkich, spokojnych wodach laguny Georgica Pond, musiał mieć wrażenie, że przybywa do ich całkiem innego świata.

Mattie czuła się zakłopotana, idąc w kierunku wody. Tą plażą zarządzali miejscowi nawiedzeni surferzy. Ktoś, kto nie surfował tutaj od co najmniej dziesięciu czy dwudziestu lat, kto nie radził sobie dobrze na desce, nie był mile widziany. A jednak zauważyła więcej skierowanych ku niej przyjaznych skinień głowami niż niechętnych grymasów. Być może młode blondynki w bikini cieszyły się tu specjalnymi względami, podobnie jak w wielu innych okolicznościach.

Rozpoznała na brzegu plecy Jonathana Dawesa z odległości dwustu metrów. Miał na sobie spodnie od piankowego kombinezonu do nurkowania, tak wyblakłe, że mogły być tymi samymi, co na tamtym zdjęciu sprzed siedemnastu lat. Jego włosy przypominały słomę wskutek wielu lat działania słońca i słonej morskiej wody. Stał z dwoma innymi surferami, trzymając imponująco zdezelowaną długą deskę. Był jednym z miejscowych surferów, choć może nie nawiedzonym; stanowił raczej rodzaj instytucji, którą ci nawiedzeni szanują i chronią.

Widok Jonathana Dawesa w dziwny sposób poruszył Mattie – jego swobodna poza i to, jak czuł się tutaj u siebie, jak bardzo należał właśnie do tego miejsca; oraz to, że wciąż przynależał też do tamtego dawnego okresu, chociaż poza tym nic nie było już takie samo jak wówczas.

Ceniła sobie to, że jej życie mogłoby się skrzyżować z jego życiem. Ta myśl była odurzająca, ale i zdradziecka.

Stała nieruchomo, trzymając książkę i ręcznik, gdy Dawes odwrócił się i ją zobaczył. Przechylił głowę na bok, a potem z uśmiechem ruszył ku niej.

Mattie niemal zaskoczyło, że ją zauważył. Zapomniała, że jest widzialną

częścią tej sceny. Wmówiła sobie, że przygląda się Jonathanowi Dawesowi, jakby był na ekranie, obserwując go z zewnątrz w jego naturalnym otoczeniu. Zapomniała, że zjawiała się tutaj, by nawiązać z nim kontakt. Nie była pewna, czy wciąż tego chce.

W tym, jak szedł ku niej, było coś doniosłego – z powodu jaskrawego blasku słońca, cieni, a także pytającego i pełnego oczekiwania wyrazu na twarzy Dawesa. Teraz Mattie wiedziała, że dokonała wyboru.

Czy zamierzała to zrobić?

Widocznie tak. Nie znalazła się tu przypadkiem.

Podszedł blisko i wyciągnął ręce, żeby ją uściskać. Stała niezgrabnie. On zachowywał się swobodnie i chociaż trzymała kurczowo swoje rzeczy, udało mu się ją objąć.

– Miło cię widzieć, Mattie. Miałem nadzieję, że przyjedziesz.

To ją spłoszyło. Przebiegła szybko w myślach to, o czym rozmawiali podczas ich poprzedniego spotkania. Była tylko zwykłą głupią dziewczyną z Hamptons, robiącą zakupy w Black Horse. Na co on miał nadzieję?

„Wyglądam jak moja mama”. Dlatego tak na nią wtedy patrzył. Ta myśl sprawiła, że Mattie odzyskała rezon.

– Chciałam cię o coś zapytać – rzekła śmiało.

Skinął głową, jakby tego też się spodziewał.

Teraz, gdy Mattie już się tu znalazła, nie wiedziała, jak to sformułować.

Czy była zła na mamę? Chciała przyłapać ją na zdradzie? Dowieść czegoś? Co dobrego by z tego wyniknęło?

Nic dobrego. A jednak musiała o to spytać.

– Czy ty byłeś... – Urwała.

Nie dopowiedział tego pytania ani nie zamierzał jej ponaglać.

– Czy ciebie i moją mamę...

Znowu przechylił głowę. W ogóle nie wydawał się zdenerwowany. A w każdym razie nie w taki sposób jak Mattie.

– ...coś łączyło? – dokończyła.

Nie wyglądał na zaskoczonego ani rozgniewanego. Nic nie odpowiedział.

Ale Mattie już chciała się wycofać.

– Wiem, to nie moja sprawa i nie powinnam zadawać ci takich osobistych pytań. W ogóle mnie nie znasz.

Na te ostatnie słowa się roześmiał.

– Co takiego? – spytała zakłopotana i speszona.

– Masz rację. Nie znam cię – powiedział. Zorientowała się, że chciał sprawić, by się uspokoiła, odprężyła. Znowu się zaśmiał, tym razem mniej wesoło.

– Chociaż czuję się niemal, jakbym cię znał.

Przez niespełna sekundę spoglądał jej w oczy. Nie była pewna, które z nich

dwojga odwróciło wzrok.

– Bo jestem podobna do mojej mamy.

Wzruszył ramionami.

– Rzeczywiście jesteś.

– Wszyscy tak mówią.

Przytaknął.

– Jasne. Mogę to sobie wyobrazić.

Mattie znów wzięła się w garść.

– Czy wtedy dobrze ją znałeś?

– Przez krótki czas.

Był dziwnie spokojny.

Mattie czekała, żeby powiedział coś więcej, ale się nie odezwał.

– Mam kilka twoich zdjęć. Z tamtego okresu.

W przeciwieństwie do jej matki nie spłoszył się ani nie okazał obawy.

– Ja też mam kilka – powiedział.

Mattie była już teraz niemal pewna, że Jonathan Dawes niegdyś kochał się w jej mamie.

Wszedł parę kroków na niewielką wydmy nad brzegiem i usiadł. Wskazał dziewczynie gestem ręki, żeby dołączyła do niego. Milczeli przez chwilę.

– Czy zapytałaś o to matkę?

– Próbowałam.

– Nie chciała rozmawiać?

Mattie cicho prychnęła.

– Na dźwięk twojego nazwiska zamknęła buzię na kłódkę. Wydaje mi się, że odtąd mnie unika.

Jonathan Dawes posmutniał, ale nie wyglądał na urażonego.

– To był niełatwy, pogmatwany okres. Prawdopodobnie o tym wiesz.

– Masz na myśli rozwód? – spytała Mattie. Na tym terytorium poczuła się pewnie i śmiało.

Przez twarz Dawesa po raz pierwszy przemknął wyraz z troskaniem. Mężczyzna znowu westchnął.

– W tej kwestii z całym szacunkiem zdaję się na zdanie twojej matki.

Czy rodzice rozwiedli się z jego powodu? Czy wyjaśnienie było tak oczywiste? Jej mama zdradziła ojca, a on ją porzucił? Czy ta sprawa była taka prosta i banalna?

Rozgarnął dłońmi piasek.

– Cieszę się, Mattie, że tu przyjechałaś. Naprawdę z radością znów bym cię widywał. Jeżeli kiedykolwiek zechcesz wznowić naukę surfingu, proszę, zwróć się do mnie. Jestem wolny niemal o każdej porze, a moje stawki są rozsądnie umiarkowane.

Uśmiechnął się do niej. Domyślała się, że z tymi stawkami prawdopodobnie żartował.

– Ale skoro twoja mama nie chce rozmawiać z tobą na ten temat, czuję się skrępowany, mówiąc z tobą o tym.

O tym. A więc coś jednak było. Nie zaprzeczał temu.

– O tobie i mojej mamie? – spytała, chcąc wydobyć z niego trochę więcej.

Kiedy znów się odezwał, mówił mniej pewnie, z większą rezerwą.

– Tak, o mnie i o niej. I o tobie.

– *O mnie?* – rzekła bez namysłu, oburzona. – Co to ma wspólnego ze mną?

Żałowała, że nie powstrzymała się przed powiedzeniem tego – zwłaszcza później, kiedy tyle razy o tym rozmyślała. Przypuszczała, że to wspomnienie będzie ją prześladować do końca życia.

Rzuciła to bez namysłu czy próby zrozumienia, kierowana starym, dobrze znanym katechizmem dzieci rozwiedzionych rodziców: „To nie ma nic wspólnego z tobą. Nigdy nie obwiniaj się o to, co się stało”. Słyszała to od wszystkich dorosłych na świecie – nawet całkiem obcych – i powtarzała sobie przy tysiącach różnych okazji. To był odruch dziecięcej części jej umysłu. Teraz rozbłysnął przed jej oczami, oślepiając ją i uniemożliwiając dostrzeżenie, do czego zmierzał Jonathan Dawes.

Mężczyzna nie odpowiedział. Wydawało się, że nie może wydobyć głosu, i to dało Mattie oszałamiający i bolesny czas na zastanowienie.

„I o tobie”. Nie chciała dopuścić do siebie tych słów. Ale jednak dotarły do niej, niczym lekkie ostre sztychy mieczem, z których każdy ranił ją i dezorientował.

Była wówczas tylko małym dzieckiem. Sztychy stały się wolniejsze, bardziej tępe i raniące. Co mogłoby uczynić takie dziecko? *Ciach!* Z wyjątkiem tej jednej dobrze znanej rzeczy, jaką dziecko może zrobić, żeby zrujnować małżeństwo rodziców.

Ale to nie mogło dotyczyć jej. Ona nie mogła być taka. Zdała sobie sprawę, że spuściła głowę i wpatruje się w swoje stopy.

Kiedy znowu spojrzała na twarz Jonathana Dawesa, zobaczyła na niej wyraz głębokiego zakłopotania. Sądził, że ona wiedziała. Albo przynajmniej podejrzewała. Sądził, że przyjechała tu, żeby się upewnić, może nawet skłonna to zaakceptować. Teraz Mattie mu współczuła. A jeszcze bardziej sobie.

Mocno ubił dłońmi piasek. Podniósł na nią wzrok i otrząpał ręce.

– Przykro mi, Mattie – powiedział. Sprawiał wrażenie, że mówi szczerze. – Muszę porozmawiać z twoją mamą.

W połowie przypadków, gdy Evie przyjeżdżała do Wainscott na weekend, Robert wzywał jeden z samochodów swojej firmy, żeby zawiózł go wcześniej do miasta, by móc skończyć pracę. Sasha zazwyczaj wracała z mamą, ale niekiedy

jechała z tatą.

Oto rozmowa, jaką Sashy zdarzało się słyszeć już wcześniej z tylnego siedzenia lśniącej czarnej limuzyny, może mercedesa albo lincolna town car. Dziś to był chevrolet suburban. Tata wstukiwiał coś w komórkę. I wtedy odzywał się szofer, zazwyczaj uprzejmy i pełen jak najlepszych intencji:

– Czy mogę spytać, skąd pan pochodzi?

Tata unosił głowę, już zniecierpliwiony.

– Z Kanady. Z przedmieścia Toronto.

Znowu wbijał spojrzenie w komórkę.

– A wcześniej? Skąd pochodzi pańska rodzina?

Kiedy to się zdarzało, wiadomo było, co szofer ma na myśli. Sam był Hindusem, Pakistańczykiem albo przybyszem z Azji Południowo-Wschodniej. Dostrzegał teraz potencjalną więź. „Ty nie jesteś jednym z nich – myślał, być może z niejaką dumą. – Jesteś jednym z nas, nieprawdaż? Kim naprawdę jesteś?”.

Tata nie podejmował tematu.

– Wszyscy z południowego Ontario. Kropka.

„Nic tu nie wywieszysz, człowieku. Zajmij się kierownicą”.

Szofer nieodmiennie miał sceptyczną minę, może nawet urażoną. Czasami patrzył we wsteczne lusterko w bengalskie oczy Sashy, szukając wsparcia. Wówczas Sasha rzucała mu przelotne spojrzenie wyrażające współczucie zmieszane z ostrzeżeniem.

Zawsze ją kusilo, żeby powiedzieć więcej: „Mój tata jest z Bangladeszu. Rozpoznaje pan to, prawda? W każdym razie jego biologiczna matka była stamtąd. On nigdy o tym nie mówi, ale podczas wojny w 1971 roku przydarzyło się jej coś strasznego. On jest dzieckiem wojny, lecz nigdy tego nie powie. Kiedy miał dwa lata, wysłano go do Kanady, żeby wychowała go biała rodzina. Jest teraz wysoki, bo poili go mlekiem”.

Tata w dzieciństwie jeździł na łyżwach na ślizgawkach wylewanych przez rodziców na podwórzu za domem, tak jak wszystkie dzieciaki w Ontario. O ile Sasha wiedziała, nie przykładał wielkiej wagi do tego, że wyglądał odmiennie od pozostałych dzieci, że jawnie należał do innej rasy. Nie afiszował się z tym i niezbyt go to obchodziło. „Lubię zajmować się sprawami, które ode mnie zależą” – powiedział jej kiedyś.

Jak zwykły mawiać, był w każdym calu Kanadyjczykiem. Miał najlepszych rodziców pod słońcem. Wolał śpiewać wszystkie cztery zwrotki kanadyjskiego hymnu niż wyznać, że jest niechcianym dzieckiem nastoletniej ofiary gwałtu, urodzonym w obozie dla uchodźców w Bangladeszu. Na studiach w Princeton grał w drużynie hokejowej. Założył firmę Califax Capital. Miał cztery piękne córki. To wszystko, co ktokolwiek powinien o nim wiedzieć.

Teraz tata już znowu wydawał polecenia przez komórkę. W rozmowie

telefonicznej nikt, nawet obcy, nie mógłby wygłosić żadnej uwagi dotyczącej jego wyglądu czy pochodzenia.

Quinn dziesiątki razy mijała salon tatuażu i piercingu Body Arts w Hampton Bays i nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby tam wejść. Niekiedy widywała przed drzwiami kobietę w średnim wieku z czarno-czerwonymi włosami i licznymi tatuażami, palącą papierosa. Teraz Quinn pod wpływem nagłego impulsu wjechała rowerem na parking salonu.

Kobieta była w środku. Przedstawiła się jako Raven.

– Przekłuwacie nosy? – zapytała ją Quinn.

– Tak.

– Możesz przekłuć mój?

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia jeden.

Raven się skrzywiła.

– Naprawdę? Powiedziałabym, że raczej szesnaście. Dorośli nie jeżdżą rowerami po autostradzie Montauk. Masz dowód tożsamości?

– Tak.

– W porządku. Chcesz to zrobić teraz?

– A można?

Raven się rozejrzała.

– Nie widzę tu żadnych innych klientów, a ty? – zapytała, nie oczekując odpowiedzi.

Quinn pokręciła głową. Wnętrze było słabo oświetlone, a na ścianach wisiały wzory tatuaży. Na pierwszy rzut oka widziało się głównie węże i smoki.

– Musisz wypełnić formularz, wybrać sobie kolczyk i możemy zaczynać.

– Dobrze.

Wyglądało, że sama Raven preferuje tatuaże z motywem skrzydeł. Miała wytatuowane motyle, anioły, czarne ptaki drapieżne, sowę, skrzydlatego lwa, smoka, jeden czy dwa nietoperze.

Quinn wypełniła druczek, podała Raven dowód tożsamości i wybrała na początek tytanowy półokrąg.

– Naprawdę masz na imię Quinn? – zapytała Raven, prowadząc ją na zaplecze, gdzie atmosfera była mniej mistyczna, za to było lepsze światło do przekłuwania ludzkich ciał.

– Tak. To było nazwisko panięskie matki mojego ojca – odrzekła Quinn.

Kobieta wskazała jej fotel z regulowanym oparciem, podobny do dentystycznego.

– A ty naprawdę jesteś Raven?

– Nie. Matka dała mi na imię Barbara.

– Och.

Raven miała na sobie rodzaj skórzanego gorsetu opinającego ciasno jej bujne piersi, obcisłe elastyczne spodnie i czarne buty na wysokich obcasach. Jej skóra pod wszystkimi tymi skrzydlatymi tatuażami była ziemista i pomarszczona. Nosiła liczne pierścionki wciśnięte na krótkie palce. Trudno było się zorientować, czy któryś z nich jest obrączką ślubną. Miała na szyi bliznę i drugą na przedramieniu. Quinn się zadumała; próbowała wyobrazić ją sobie jako dziewczynę, której matka dała na imię Barbara.

Każdy ma matkę. Właśnie w tym rzecz. Przed tygodniem Emma zaciągnęła Quinn do kina na film, którego akcja rozgrywała się podczas pierwszej wojny światowej. Quinn wciśnięta w fotel patrzyła, jak na ekranie giną masowo żołnierze i przy śmierci każdego myślała o jego matce. Pan Reese miał kiedyś matkę. To jedno z wielu błogosławieństw natury, że ludzie na ogół nie dożywają wieku, w którym mogliby widzieć, jak ich dzieci się starzeją.

Usiadła wygodnie w fotelu.

„Czy Raven jest czyjąś matką?” – dumiała dalej. Z jakiegoś powodu przypuszczała, że nie.

– Jaki był twój pierwszy tatuaż? – spytała.

W tym momencie strzelił pistolet do przekłuwania i Quinn skoncentrowała się wyłącznie na swoim ciele.

Półtorej godziny później zaczerwienienie skóry zniknęło i Quinn miała w lewym nozdrzu drobinę tytanu. Usłyszała też historię każdego z trzydziestu jeden tatuaży Raven i tym samym poznała niemal całą historię jej życia, od pierwszego tatuażu w wieku czternastu lat aż do najnowszego („ale nie ostatniego”), który zrobiła sobie w kwietniu na sześćdziesiąte urodziny. Pierwszy wybrał jej pierwszy chłopak – owieczkę ulokowaną w rowku między piersiami – a później wszystkie tatuaże, na jakie się decydowała, miały motywy skrzydeł.

Quinn zapłaciła Raven pięćdziesiąt osiem dolarów, w tym napiwek; dała jej też torbę słodkich żółtych śliwek shiro, które wyjęła z koszyka roweru, i uściskała ją na pożegnanie. Raven trzymała ją w objęciach kilka sekund dłużej.

– Jesteś widzącą dusze, wiesz o tym?

– Co to znaczy? – spytała Quinn z ustami przy jej ramieniu.

– Masz taki wzrok – wglądasz w duszę człowieka.

Quinn pomyślała, że to tylko częściowo prawda. Nie tyle wglądała w ludzkie dusze, co raczej wysyłała do nich swoją.

Wracając po ciemku rowerem do domu, Quinn zastanawiała się, dlaczego nie jest bardziej związana ze swoim ciałem. Było to świetne ciało; nie miała mu nic do zarzucenia. I w istocie całkiem dobrze funkcjonowało – ludzie często mówili jej, że jest najbardziej utalentowaną sportsmenką w rodzinie, ale w przeciwieństwie do Emmy nie kręciły jej rekordy ani rywalizacja. Dlaczego więc tak łatwo wymykała się ze swojego ciała? Dlaczego nie czuła z nim silniejszego związku?

A co by się stało, gdyby kiedyś je opuściła i zapomniała wrócić? Jak kaczonek Ping z bajki dla dzieci, który zastał drzwi swojej łódki zamknięte i kołysał się bezradnie w rzece Jangcy. Czy to naprawdę byłaby tragedia – a może jakiś rodzaj apoteozy?

Minęła farmę Reese'ów i doznała nagle dręczącego wrażenia, że sałata na grządkach wysycha. Zatrzymała się więc i cicho oparła rower o boczną ścianę stodoły. Gdy doglądała zielonych warzyw, wszedł księżyc.

Wiedziała, że czas płynie dla niej odmiennie niż dla innych. To była kolejna kwestia. Quinn nie orientowała się nigdy, jaka jest pora dnia ani jaki jest dzień tygodnia. Długo próbowała zwracać uwagę na jednostki czasu, ale nie potrafiła się na nich skupić, nie wydawały się jej stałe i spójne, jak większości ludzi. Czas kurczył się albo rozciągał, włókł się do przodu albo cofał, zależnie od rodzaju światła, pory roku i nastroju Quinn.

Niekiedy wyobrażała sobie dni kalendarza jako ciąg futryn drzwiowych prowadzących z jednego pokoju do następnego. Ona nie przechodziła przez te futryny. Nie było jej w ogóle w tym budynku.

Gdy zajmowała się roślinami, jej zegarem była praca. To rośliny odmierzaly czas.

Tak więc gdy dotarła do domu, zdała sobie sprawę, że kolacja już dawno trwa, a ona miała się zjawić na początku.

Ojciec wstał, żeby ją przywitać. Zapomniała o kolczyku w nosie, lecz tata natychmiast go zauważył.

– Co, u licha, zrobiłaś ze swoim pięknym nosem?

Widziała, że nie żartował i naprawdę jest mu przykro.

Przypomniała sobie i dotknęła kolczyka.

– Uważam, że dzięki temu mój zwyczajny nos wygląda ładniej – odpowiedziała szczerze.

– Niech spojrzę! – zawołała Mattie, podnosząc się z krzesła. – O rany.

Sasha też podeszła, żeby zobaczyć.

– Dlaczego to zrobiłaś, Quinn? – zapytał ojciec. – Wiesz, co myślę o wkłuwaniu kolczyków. Jeśli go usuniesz, czy otwór zarośnie?

Mówił niezwykle napiętym, łamiącym się głosem.

– Dla mnie jest odlotowy – oznajmiła Mattie. – Quinn nigdy dotąd nawet nie próbowała być odlotowa.

– Większość indyjskich kobiet po osiągnięciu pełnoletności przekłują sobie nosy – powiedziała Quinn.

– Nie jesteś Hinduską – odparował ojciec.

Teraz Quinn zrobiło się przykro. Było jej przykro, że zmartwiła ojca. Było jej przykro, że Sasha musiała widzieć, jak ją zrugano, gdyż wiedziała, że Sasha się tym przejmie i lojalnie stanie w jej obronie.

– Z urodzenia jestem po części Bengalką – rzekła ostrożnie.

Wyczuwała w stojącej u jej boku Sashy zarazem serdeczność i cierpienie.

Podeszła Evie, świadoma, że nie może dłużej udawać, iż kolacja przebiega jak zwykle. Położyła dłoń na ramieniu Quinn.

– Obiecuj ojcu, że już niczego więcej sobie nie wklujesz – rzekła beztróskim tonem mistrzyni łagodzenia napięć.

Quinn odwróciła się do niego.

– Obiecuję – powiedziała z powagą. – Nawet w uszy.

– W uszy możesz – mruknął.

Matka Quinn zjawiała się w sobotę, gdyż wypadała jej kolej pobytu w Wainscott, ale dopiero w połowie dnia zatrzymała córkę w kuchni.

– Hej, zaczekaj. Stój. Wyglądasz jakoś inaczej.

Quinn skinęła głową.

Lila ujęła jej twarz w dłonie. Quinn wskazała na swój nos.

Matka przyjrzała się kolczykowi, mrużąc oczy, i dotknęła go lekko czubkiem palca.

– Ładnie wygląda. Podoba mi się.

Mały Rayu,

czy Quinn opowiadała Ci kiedykolwiek historie o Indianach z Eel Cove?

Przyśnili mi się ubiegłej nocy.

Duża Sasha

DS,

o mój Boże, tak. Uwielbiałam tę matkę/przywódczynię szczepu/szamankę, noszącą korale ze szkła wygładzonego przez morze. Nadal myślę o jej miksturach. (Tych sprawiających, że zapominało się swoje imię, wnikało się w czyjś umysł albo słyszało się, co mówią ludzie na drugim końcu świata). Pamiętasz tę historię o dzieciach z białej rodziny, które chodziły do zwykłej lekarki, ale stawały się tylko jeszcze bardziej chore i nieszczęśliwe, a potem jedno z nich wymknęło się potajemnie do tej szamanki na prawdziwą kurację?

MR

MR,

to było, kiedy Quinn zachorowała. W tamtym czasie nigdy nie ułożyło mi się to w całość. Mielśmy chyba zaledwie po sześć czy siedem lat. Pamiętam, jak odwiedzaliśmy ją w szpitalu. Pamiętam, że w tę noc, kiedy wróciła do domu, wstała z łóżka i w piżamie weszła do stawu.

Moje wspomnienie o jej pobycie w szpitalu jest tak mroczne i dziwne, że nie byłem pewien, czy to rzeczywiście się zdarzyło. Ale skoro Ty też to pamiętasz, przypuszczalnie to prawda. Wśliznąłem się do jej szpitalnego łóżka. Powiedziała:

„Muszę się stąd wydostać, bo wykluczone, żebym tutaj wydobrzała”.

DS

Taka jest cena

– Po prostu powiedz mi, że on nie pójdzie do Princeton.

– On pójdzie do Princeton – rzekła Emma stanowczo.

Kiedy mama zaproponowała Emmie w jej wolny poranek wycieczkę na targ rolny, wydawało się to dobrym pomysłem. Teraz Emma wlokła się za Lilą z torbą siatkową pełną dziwnych warzyw korzeniowych i miała ochotę krzyknąć. W jednej chwili matka oglądała lokalne pomidory, a w następnej odwróciła się do niej.

– Nie rozumiem po prostu, skąd ten pośpiech. Po co tak szybko decydować? Masz zaledwie dwadzieścia dwa lata! Dopiero co go poznałaś.

– Przecież ty sama wyszłaś za męża w wieku dwudziestu dwóch lat.

– Właśnie: i spójrz, do czego mnie to doprowadziło!

Emma z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Wielkie dzięki, mamo. Do tego, że urodziłaś mnie, Quinn i Mattie.

Lila wrzuciła pomidory do pojemnika, objęła Emmę i pocałowała w policzek.

– Kochanie, oczywiście. Nigdy, przenigdy bym tego nie zmieniła. Ale wiesz, co mam na myśli.

Emma przycisnęła palce do kolczastej łupiny ananasa. Co to za lokalny targ, na którym sprzedają ananasy?

– Szczerze wątpię, by wyhodował go któryś z okolicznych farmerów.

– I to przyjęcie, o którym wciąż mówią Mattie i Quinn – wymamrotała Lila.

– Mój Boże! Już w sierpniu? Czy to naprawdę konieczne?

– Uważam, że to uroczy pomysł – rzuciła powściągliwie Emma.

Lila z sapnięciem wypuściła powietrze i odwróciła się do pojemnika z poskręcaną fasolką szparagową.

– Nie rozumiem jednego: co zyskasz przez ten ślub? Możesz nadal robić wszystko, co chcesz, bez wychodzenia za męża.

– Ty wzięłaś ślub. Dwa razy.

– Ponieważ miałam dzieci. Nie mów mi, że jesteś gotowa na posiadanie dzieci.

Emma przewrotnie pożałowała, że nie może natychmiast urodzić kilkorga tutaj, w tym miejscu.

– Chcę poślubić Jamiego, bo go kocham. Chcemy mieszkać razem.

– Emmo, masz na to jeszcze całe życie. Teraz jest czas twojej wolności. Możesz podróżować. Możesz poznawać wielu różnych ludzi.

– Nie chcę poznawać wielu różnych ludzi. Chcę być z nim.

Matka postawiła torbę na ziemi.

– Teraz tak. Ale skąd wiesz, czego będziesz chciała za pięć lat? Albo

dziesięć? Czy dwadzieścia?

Emmie nie podobała się ta rozmowa i to, do czego zmierzała. Nie podobał się jej mroczny osąd wzbierający w jej sercu.

– No cóż, może rzecz polega na tym, żeby związać się z kimś, kogo się kocha, i pozostać z nim, bez względu na to, co się zdarzy za dziesięć, dwadzieścia czy sto lat, ponieważ tworzy się z nim rodzinę, ponieważ właśnie tym jest małżeństwo i ponieważ złożyło się ślubną przysięgę.

Lila się odwróciła. Podniosła torbę i przeszła do stoiska z jagodami. Obie w milczeniu zapłaciły za zakupy i w milczeniu poszły do samochodu.

Emma nie znosiła zapachu wnętrza samochodu matki po tym, jak prażył się na rozpalonej słońcem ulicy. Nie znosiła tego, że zawsze było w nim pełno rupieci: koło garncarskie i torby z gliną – czy graty związane z jakąś inną dziedziną rękodzieła, którą matka akurat się zajmowała – dziwaczne batoniki odwiniete do połowy z opakowań, tkwiące w kieszeni na drzwiach albo przywierające do podeszwy buta. Akcesoria połoźnicze, tak zagadkowe i obrzydliwe, że nawet nie miało się ochoty o nie pytać. Kurtki, buty, stare darmowe próbki reklamowe. Zawsze trzeba było to odgarniać wszystko, żeby móc usiąść.

Lila zaczęła, aż wjechały na podjazd, i dopiero wtedy przerwała ciszę:

– Tylko mi nie mów, że zamierzasz przyjąć jego nazwisko.

Emma wysiadła z samochodu i mocno trzasnęła drzwiami. Nawet jeśli dotąd nie chciała zmienić nazwiska, teraz była na to zdecydowana.

Ze wszystkich kłamstw, jakie Ray wypowiedział w życiu, prawdopodobnie najbardziej żałował tego o utracie swojego dziewictwa. Niekoniecznie było to najgorsze kłamstwo i właściwie nikomu nie wyrządziło krzywdy. Ale w przeciwieństwie do większości kłamstw, które odpłynęły w przeszłość i niepamięć, to jedno wciąż mu się przypominało.

Przykładowo, za każdym razem, gdy rozmyślał o tym, że w gruncie rzeczy nie stracił dziewictwa, kłamstwo trącało go w ramię. Ilekroć zastanawiał się, jak mógłby rzeczywiście je stracić, zdawało się chrząkać sceptycznie. Zdarzało się to ciągle.

Jak na przykład teraz, gdy leżał zagrzebany w pościeli w blasku księżycy w tym samym łóżku, w którym poprzedniej nocy spała Sasha, i usiłował ignorować swoje zmysły węchu i dotyku, umysł i całe ciało, żeby o niej nie myśleć.

Kiedyś głupio powiedział to kłamstwo Parkerowi, którego zresztą niezbyt to obeszło. Parker pozostał jego prawdziwym dobrym kumplem, tak więc to kłamstwo irytująco stało się częścią ich przyjaźni.

Dlaczego tak postąpił? Czasami miał wrażenie, że jego ja ulegające tym idiotycznym impulsom oraz ja cierpiące ich konsekwencje są dwiema różnymi osobami. Parker właściwie nie osądzał go ani nie przejmował się tym wyznaniem, sam nawet nigdy nie wyjawiał mu swojego statusu w tej kwestii. Po co więc Ray

wyrwał się z tym kłamstwem?

Częściowo z powodu szczeniackiego przeświadczenia, że będzie mógł swobodnie pozbyć się dziewictwa, kiedy tylko zechce. Violet oznajmiła mu, że straciła je już w dziewiątej klasie. Przypuszczał, że mógłby po prostu zrobić to z nią bez zbędnych ceregieli. Świadomość, że ma tę możliwość pod ręką, sprawiała, że w gruncie rzeczy było tak, jakby już to zrobił.

Późną wiosną przyrzekł sobie, że uczyni to do końca lata, przed ostatnią klasą liceum. Po prostu będzie miał to z głowy.

Teraz jednak – z innych powodów: rozszerzenia się granic jego wcześniejszego pojmowania miłości – wiedział, że prawdopodobnie nie załatwi tego z Violet. Będzie musiał jeszcze z tym poczekać, ponieważ przeczuwał, że to może być coś ważnego.

W każdym razie kiedyś skłamał w tej sprawie. Człowiek musi ponosić konsekwencje swoich kłamstw. Taka jest ich cena.

Mattie nie chciała już więcej patrzeć na siebie w lustrze. Po raz pierwszy uświadomiła to sobie wczoraj, przemykając przez hol wejściowy domu w Wainscott z głową odwróconą od lustra. Dotychczas bardzo lubiła się w nim przeglądać. W tym lustrze podobała się sobie bardziej niż w jakimkolwiek innym, jednak tym razem nie potrafiła w nie spojrzeć. Prześliznęła się chyłkiem obok niego – dziewczyna pełna lęku, kryjąca mroczny sekret.

Odkąd w piątej czy szóstej klasie odkryła, że jest wyjątkowo ładna, spędzała zawstydzająco dużo czasu na gapieniu się w szerokie lustro wiszące nad komodą w jej sypialni. Leżąc na łóżku, napawała się widokiem rozmaitych wersji siebie: Mattie pogrążona w lekturze; Mattie rozmawiająca przez telefon i chichocząca uroczo z jakiegoś żartu; Mattie z poważną miną odrabiająca lekcje. Dziś po powrocie z pracy do domu unikała choćby zerknięcia w lustro; przez jakiś czas siedziała niespokojnie przy biurku, a potem zaciągnęła zasłony, zgasiła światło, rzuciła się na łóżko i popatrzyła na swoją komórkę.

Dzisiejszego wieczoru miała się wybrać do nowej meksykańskiej restauracji w East Hampton z Megan Vise i dwiema jej przyjaciółkami z Uniwersytetu Kalifornijskiego, które akurat były w miasteczku, ale nie mogła znieść widoku swojej twarzy w lusterku do makijażu. Nie potrafiła się zdecydować, którą sukienkę włożyć. Zadzwoiła więc do Megan i powiedziała, że nie przyjdzie, bo źle się czuje.

Elementy wyglądu, które zazwyczaj w sobie podziwiała, teraz budziły w niej wstręt. Ładne jasne włosy i okrągłe fiołkowe oczy. Quinn miała czarne rozmarzone oczy; Emma to egzotyczna, efektowna piękność z czarnymi bujnymi włosami sięgającymi do pępka; a Sasha obdarzona najbardziej indyjską urodą była na swój dyskretny sposób najładniejsza z nich wszystkich. Ale tata słynął ze słabości do blondynek. Wychowywała go kobieta o jasnych włosach. Poślubił kolejno dwie

blondynki, na dobre czy złe. Dlatego zachwycał się Mattie. To sprawiało, że czuła się kimś dla niego wyjątkowym i tak też traktowała samą siebie.

„Dostałam wszystko, co najlepsze” – myślała z satysfakcją przez długi czas. Wygrała główny los na loterii genetycznej. Odziedziczyła po tacie bystrość, spryt i stanowczość, jego zalety outsidera, jego prawość człowieka zawdzięczającego wszystko wyłącznie sobie, wyjątkowość i bogactwo cech charakteru. I wszystko to w baśniowych kolorach disneyowskiej księżniczki. Obecnie ta myśl budziła w niej odrazę; była jak naciskanie bolesnego sińca.

Teraz nagle z tyłu powodów bała się spojrzeć w lustro. Kogo w nim ujrzy? Kogo jeszcze? Kogo nie zobaczy? Co utraci albo uświadomi sobie, że nigdy tego nie miała? Po raz pierwszy nienawidziła swojej odmienności i wyjątkowości, a jeszcze bardziej nienawidziła swojego samozadowolenia.

Kim był Jonathan Dawes? Czego od niej oczekiwał? Czy przez wszystkie te lata uważał, że gdzieś tam ma córkę? Czy przez cały czas wiedział, gdzie ona przebywa? Czy rozmyślał o niej i zastanawiał się, jaka jest?

Bała się myśleć o sobie w odniesieniu do niego i do tego, co mógłby o niej sądzić albo jakie nadzieje z nią wiązać. Jaką córkę chciałby mieć? Dla niego nie była jedną z wielu córek, jak zawsze o sobie myślała, lecz wyjątkową, nieznaną postacią w jego życiu. Czy to czyniło ją poniekąd odpowiedzialną wobec niego?

Rozważyła zasłonięcie lustra, jak uczyniono w domu jej przyjaciółki Ellie, gdy obchodzono sziwę po śmierci jej matki. Ale nie mogła przecież zakryć wszystkich luster w domu – a poza tym przez lata przywiązała się do nich. To w holu wejściowym, odbijające jej przez długi czas ulubioną Mattie – wchodzącą i wychodzącą. Mattie w lustrze nad kominkiem w salonie, z którą zaznajomiła się dopiero, kiedy urosła na tyle, by móc się w nim zobaczyć. I owalne lustro w gabinecie ukazujące Mattie oglądającą telewizję, jeśli tylko pochyliła trochę głowę. Była też Mattie w lustrze widnej, oszklonej werandy, która wyskubywała sobie przy nim brwi, ponieważ było tam dobre światło. Oglądała odbicie swojej twarzy nawet w szkle oprawionych w ramki zdjęć rodzinnych, wiszących na klatce schodowej. Zawsze widywała ruchomą wersję siebie odbitą w czarnej tozde sędziowskiej jej ciotecznego dziadka Henry’ego Harrisona.

Wstała z łóżka. Nie mogła wytrzymać sama w ciemności ze swoimi myślami. Nie mogła też znieść widoku swojego odbicia w świetle.

Nienawidziła własnego zadufania, a tym samym nienawidziła też swojej rzekomej krucjaty na rzecz sprawiedliwości. Oto ona, młodociana tropicielka, odkrywa rodzinną tajemnicę, przyłapuje matkę na kłamstwie i gotowa jest wspinałomyślnie udzielić jej wybaczenia, po tym jak matka stosownie wyzna winę i poniesie karę. Poprzez wydobyć na światło dzienne mrocznego sekretu pomaga całej rodzinie osiągnąć spokój i odrodzenie, najlepiej w trakcie wspinałego przyjęcia.

Ale w rzeczywistości przyłapała jedynie samą siebie. Tylko ona będzie cierpieć i od nikogo nie uzyska przebaczenia.

Zeszła po schodach do gabinetu i włączyła telewizor. Skuliła się na sofie i przeskakiwała od jednych głupich widowisk do następnych jeszcze głupszych. W końcu została przy okropnym programie reklamującym łóżka do solarium i chirurgię plastyczną. Odpowiadał jej nastrojowi: mogła z nienawiścią i osłupieniem oglądać kogoś innego niż siebie.

Z kuchni dobiegły ją brzęk naczyń i odgłos otwierania lodówki. Potem usłyszała ciche kroki kogoś przechodzącego przez salon i wchodzącego po schodach. Nie zdawała sobie sprawy, że Quinn jest w domu. Quinn, która poradziła jej, żeby była ostrożna, która niemal ostrzegła ją, że zrujnuje swoje szczęście, jeśli nadal będzie węszyć.

Quinn stanęła w drzwiach gabinetu, oblana blaskiem ekranu telewizora. Mattie miała spuszczoną głowę, ale siostra i tak natychmiast odgadła jej nastrój.

– Co się stało?

Mattie potrząsnęła głową. Zawsze mówiła Quinn o wszystkim. Nie sposób było tego nie robić; Quinn przeważnie i tak zawczasu wiedziała, co się jej powie. Zazwyczaj przynosiło ulgę przerzucenie swoich kłopotów na Quinn, która przyjmowała je i dźwigała bez słowa skargi.

Teraz Mattie zmusiła się do zastanowienia, czy mogłaby zrzucić z siebie choćby część tego, co ją dręczy. Ale tym razem było to niemożliwe. Ta sprawa była zbyt niepewna, zbyt mglista. Mattie w istocie nie miała nic oprócz wstrętnego podejrzenia oraz wstydu z powodu tego, że kapryśnie zażądała odpowiedzi, której nie była gotowa usłyszeć. Nie chodziło tylko o przyznanie, że Quinn znów miała rację. To że jej siostra ma rację, rozumiało się samo przez się. Rzecz w tym, że wyjawienie tej sprawy uczyniłoby ją bardziej realną, a tego Mattie nie potrafiłaby już znieść.

W wielkich, pięknych oczach Quinn odbiło się zatroskanie.

Mattie jeszcze bardziej skuliła się na sofie, starając się uniknąć nadnaturalnie przenikliwego wzroku siostry. Nie odezwała się. Gdyby spróbowała coś powiedzieć, wybuchnęłaby płaczem.

Quinn stała nad nią w zadumie. Mattie wiedziała, że siostra domyśla się jej problemu i potrafiłaby go nazwać, ale nie będzie naciskać. To była kolejna cecha różniąca Quinn od jej okropnej siostry Mattie. Zamiast się odezwać, Quinn obeszła oparcie sofy i zaczęła splatać włosy Mattie we francuski warkocz, jak dawniej.

Mattie pod dotknięciem siostry zadrżała, a potem jej ramiona i szyja się rozluźniły.

– Dwa warkocz czy jeden? – zapytała ją Quinn.

Z oczu Mattie płynęły już wielkie łzy. Zastanawiała się, czy Quinn o tym wie, czy rozumie, że ona musi się wyplakać bez wyjaśniania powodu. W milczeniu

uniosła dwa palce.

Quinn wprawnie rozdzielala i splatała jej włosy, rozdzielala i splatała. Mattie płakała bezgłośnie. Quinn udawała, że tego nie zauważa, i dalej splatała warkocze. Żadna z nich nie powiedziała nic więcej, ale ta pociecha była dla Mattie ważniejsza niż słowa.

Cześć, Mały Rayu.

Czy mogę opowiedzieć Ci o czymś dziwnym? (Znowu o czymś dziwnym).

Wiele rozmyślałam o sobie w związku z Twoim tatą. Nawet kiedy byłem jeszcze całkiem mały, odnosiłem wrażenie, że ponieważ on jest ojcem moich sióstr, jest też w pewnym sensie moim. Nie znam go. Wyobrażam sobie, że ma o mnie jakąś opinię, chociaż wiem, że nie ma. Moje siostry stale o nim opowiadały, dlatego wyobrażałem go sobie takim, jaki powinien być ojciec, i nie chciałem go rozczarować. Czy wydaje Ci się to bardzo zwariowane?

Duża Sasha

DS,

zadziwia mnie, bawi, a czasami naprawdę przeraża to, jak równolegle bieżą nasze życia. Tak, rozumiem to, co mówisz o moim tacie. I tak, miewam takie same myśli, dokładnie takie same, o Twojej matce. A nawet o krok gorzej: żałuję, że Lila nie jest moją mamą; wepchnęłabym własną matkę pod autobus (mówiąc w przenośni), gdyż pragnę być taka jak nasze siostry – być jedną z nich, a nie tylko ich przyrodnią siostrą. Myślę o Lili jako o „prawdziwej” mamie, poważnej, upartej, która mogłaby przeciwstawić się mojemu tacie. Moją mamę postrzegam jako kogoś w rodzaju nieudolnej naśladowczyni. Czy to bardzo straszne? (Nie mogę uwierzyć, że o tym napisałam).

Prawdopodobnie powinnam wspomnieć, że chociaż Robert to nie lada osobowość, nie mam z nim lekko.

MR

MR,

to o równoległych życiach to niestety prawda. Linie, które wiecznie bieżą obok siebie i nigdy się nie spotkają.

Co do nieudolnych naśladowców: Adam pod koniec ubiegłego semestru stracił pracę nauczyciela akademickiego i nie jest właścicielem żadnego z dwóch domów, w których mieszkamy. Zostawił w Kalifornii dwoje dzieci, żeby poślubić moją mamę, i już prawie wcale nie utrzymuje z nimi kontaktu. Kiedy byłem mały, spędzałem zbyt wiele czasu na rozmyślaniu o tych dzieciakach, formalnie będących moimi przyrodnimi bratem i siostrą, żyjących na drugim końcu kraju. Zastanawiałem się, czy jakimkolwiek ojcu wolno tak postąpić. I jak w ogóle silne są więzi pomiędzy nim a nimi?

Kocham mojego tatę. Szanuję go pod wieloma względami, ale nie chcę być taki jak on.

DS

Jak pływać w mętnej wodzie

– Czy możesz zostać choć na chwilę?

Matka Mattie z filiżanką herbaty w ręce wymykała się z kuchni domu w Wainscott tuż po Adamie z taką samą podejrzaną miną, jaką miała przez ostatnich kilka tygodni.

– Proszę – dorzuciła Mattie.

Wstała szybko od stołu. Nawet nie próbowała mówić spokojnym tonem.

Mama przystanęła. W końcu usłyszała potrzebę córki. Nie zrezygnowała całkiem z matczynej roli.

– Czy wszystko w porządku? – spytała.

– No cóż... – Mattie się zastanowiła. Zyskała część uwagi matki, przynajmniej na kilka sekund. Nie chciała wypłoszyć Lili z kuchni. – Mniej więcej. Zaczęła płakać, co nie powinno było zbyt jej zaskoczyć.

Mama posłała spojrzenie za Adamem, który dochodził już do gabinetu. Potem odważyła się odwrócić do Mattie.

– Kochanie, co się stało?

Mattie przysiadła na skraju stołu. Był późny poranek; przez szklane rozsuwane drzwi wpadały gorące promienie słońca. W ich świetle widać było pierwsze zmarszczki na szyi matki, małe brązowe plamki na jej policzku.

Mattie odetchnęła głęboko. Nie mogła się już cofnąć. Zaczęła mówić:

– Nie wiem już nawet, kim jestem.

Lila podeszła bliżej, przykryła dłonią jej dłoń. Wyglądała na przestraszoną, nawet nie usiadła, tylko stała w pozie gotowości do ucieczki, ale przynajmniej wciąż tu była.

– Wiem o Jonathanie Dawesie, chociaż nie chciałaś, żebym się dowiedziała.

Na napiętej twarzy matki odbijała się walka pomiędzy lękiem, instynktem samoobronnym a miłością. Mattie poczuła, jak pod górą od pizamy krople potu spływają spod jej pach ku żębrom.

– On mi nie powiedział, bo uznał, że decyzja należy do ciebie, ale wiem, że coś zaszło między wami.

Jeszcze bardziej się rozplakała, a matka objęła ją mocniej. Dlatego Mattie nie widziała wyrazu jej twarzy. I to sprawiło jej ulgę. To, co musiała teraz powiedzieć, wołała wymówić, łkając w szyję Lili.

– Wiem, że to dotyczy także mnie. Nie chcę o tym myśleć, ale nie potrafię się powstrzymać. Nie mogę przestać myśleć o tym, że jestem o wiele bardziej podobna do niego... niż do taty.

Matka obejmowała ją teraz niemal za mocno.

– To nic nie znaczy.

Mattie wyrwała się jej gwałtownie.

– Nie chcę, żebyś mnie unikała albo okłamywała. – Wytarła rękawem piżamy oczy i nos. – Chcę tylko, żebyś natychmiast powiedziała mi prawdę. To wszystko.

Na twarzy matki nadal widać było zaciekle zmagania sprzecznych emocji. To nie dodawało Lili uroku. Wyglądała zarazem na udręczoną, zawstydzoną i wojowniczą, ale się nie odezwała.

– Czy tata jest moim ojcem?

Teraz matka też zaczęła płakać.

– Tak, jest twoim ojcem.

Wciąż nie chciała powiedzieć nic więcej.

Mattie chętnie poprzestałaby na tym, lecz nie potrafiła. Zdołała w końcu skłonić matkę do szczerzej rozmowy w cztery oczy – po dziewiętnastu latach sekretów. Nie zamierzała pozwolić jej, by na tym skończyła.

– Gdybym zrobiła test DNA, co by wykazał? – zapytała po chwili.

Matka wydawała się głęboko urażona.

– Mattie, dlaczego miałabyś chcieć go zrobić?

– Wcale bym nie chciała. Chcę tylko, żebyś powiedziała mi prawdę.

Mama płakała już otwarcie.

– Postaraj się nie osądzać zbyt surowo, Mattie. Kiedy jesteśmy nieszczęśliwi, popełniamy głupstwa. Dokonujemy złych wyborów. Szukamy pociechy w destrukcyjny sposób. Ranimy ludzi, których kochamy.

– Czy tak właśnie postąpiłaś?

– Byłam wtedy strasznie nieszczęśliwa. Twój ojciec też. Czułam się zagubiona. Może lepiej to zrozumiesz, gdy będziesz starsza, gdy zostaniesz żoną i matką.

Mattie poczuła, że budzą się w niej jednocześnie współczucie i krytycyzm, niewykluczające się nawzajem.

– Mam nadzieję, że nigdy nie zostanę.

Lila zrozumiała. Jej wojowniczość niemal całkiem się rozviała. Wytarła nos kawałkiem papierowego ręcznika i podała Mattie drugą część. Odgoniła ręką małe muszki owocowe krążące wokół kiści brązowych bananów.

– Jedyne, co powinnaś wiedzieć, to że twój ojciec ogromnie cię kocha już od chwili, gdy się urodziłaś. Nigdy nie istniała kwestia tego, czy jesteś jego córką.

I wtedy Mattie zadała najtrudniejsze pytanie ze wszystkich, choć wcześniej nawet nie zdawała sobie sprawy, że to ją dręczy:

– Ale czy on wie?

Duża S,

wcześniej nie wspomniałam o czymś, co również jest prawdą – że dystansuję się od mojej matki, a jednocześnie odczuwam potrzebę chronienia jej. I tak ma już

trzy przybrane córki, z których dwie skłonne są ją odrzucić. Ja muszę więc stawać w jej obronie. Ona jest naprawdę wielkoduszna. Przypuszczam, że największą niełojalność wobec niej popełniam w myślach.

MR

MR,

to przypomina mi o czymś, czego nie potrafiłem nikomu powiedzieć. Postanowiłem sprawić tacie niespodziankę i w ubiegłym semestrze pojechałem posłuchać jego wykładu w wyższej szkole prawniczej w Brooklynie, w której uczył (uczyl). Sala była wielka, mogłaby pomieścić kilkuset studentów... a siedziało ich tam tylko dwoje. Tata prowadził wykład jakby nigdy nic, jakby sala była pełna. Zostałem, ponieważ wyjście stamtąd wydawało się jeszcze gorsze. A potem w drodze powrotnej do domu czuliśmy się obaj okropnie niezręcznie, staraliśmy się zbagatelizować tę sprawę i nie okazywać zakłopotania, przez wzgląd na siebie nawzajem. Kiedy pragnę mniej surowo odnosić się do taty, przypominam sobie tamto zdarzenie. Ale nie jestem pewien, czy to pomaga.

Myślę, że jako późne, ostatnie dziecko byłem w mojej rodzinie najprawdopodobniej czymś w rodzaju pomyłki. Stałem się ostateczną komplikacją sprawiającą, że rodzice zrezygnowali z prób ogarnięcia sytuacji. Zanim zdecydowali się na mnie, Lila miała już trzy córki, a Adam zostawił dwoje dzieci. Lila właśnie podjęła nową pracę. Adam miał czterdzieści pięć lat. Jestem dzieckiem, które przyszło na świat, bo rodzice pomyśleli: „No dobrze, niech będzie”.

Babka Hardy sądzi, że nie jestem z nią spokrewniony. „Miły z ciebie chłopiec. Kto jest twoją matką?”. Z moją przyrodnią siostrą Esther widziałem się zaledwie kilka razy. Jej mąż myśli, że mam na imię Roy. Kiedy Mattie wyjechała do college'u, moi rodzice wynajęli lokatorom parter naszego domu i podsłuchałem, jak mama mówiła sąsiadom, że uczynili tak, ponieważ wszystkie ich dzieci w końcu opuściły gniazdo rodzinne.

Nie skarzę się. Zaletą jest brak rodzicielskiego nadzoru i presji, z jakimi ma do czynienia wielu moich przyjaciół. Tylko że czasami dołuje mnie świadomość, że rodzice nie czują ze mną zbytnej więzi, nie jestem dla nich kimś ważnym.

Niekiedy Lila próbuje poddawać mnie psychoanalizie. To prawdziwa tortura. Mówi mi, że moje przywiązanie do spędzania wakacji w letnim domu świadczy o tym, że nie potrafię porzucić przeszłości. Ale zważywszy, że ona i tata porzucili wszystko inne, myślę, że chodzi raczej o moją nieumiejętność odrzucenia teraźniejszości i przyszłości.

Przepraszam za te wynurzenia. Nie wiem, co mnie dziś naszło.

DS

DS,

ze mną jest całkiem odwrotnie. Jestem pierwszym i jedynym dzieckiem Evie, a ponieważ ona nie ma wielu innych zajęć, więc robi wielkie halo wokół tego, jaką to tworzymy wspaniałą rodzinę. Wyjątkowe wakacje, wyjątkowe kolacje. Obydwoje okazują „żywe zainteresowanie” moją edukacją, co jest pod każdym względem koszmarnie. Gdy Mattie wyjechała do college’u, moi rodzice kupili nowy, większy dom.

Wiem, to szczęście mieć rodziców, którzy się o mnie troszczą. Staram się być im za to wdzięczna. Ale jeśli mam być całkiem szczerą, wyznam, że za każdym razem, gdy nasze siostry pakują się przed powrotem do domu w Brooklynie, niczego bardziej nie pragnę, niż pojechać z nimi. Kiedy ich nie ma, właściwie przestają istnieć. Jestem jak C-3PO z *Gwiezdnych wojen*: „Teraz się wyłączam”.

Proszę, wynurzaj się wobec mnie, kiedy tylko zechcesz. Możesz to swobodnie robić. I jak widzisz, ja rewanżuję się tym samym.

MR

– Nie chcę już tego przyjęcia – oświadczyła Mattie.

Miała przerwę na lunch i jadła kanapkę w cieniu stodoły, podczas gdy Dana zajmowała się straganem.

Quinn przystanęła w drzwiach i postawiła na ziemi torbę z kompostem, którą dźwigała. Wyczuła, że Mattie upadła na duchu z jakiegoś nowego powodu.

– Dlaczego? – spytała i usiadła ze skrzyżowanymi nogami na trawie naprzeciw młodszej siostry.

– Nasi rodzice są nie do zniesienia.

– Wiemy o tym.

– Mama powiedziała George’owi i Esther, żeby nie przyjeżdżali z drugiego końca kraju na to przyjęcie zaręczynowe, tylko poczekać na ślub, o ile w ogóle do niego dojdzie. Tak powiedziała: „O ile w ogóle do niego dojdzie”.

Quinn w milczeniu pokiwała głową.

– Tata jest rozdarty pomiędzy pragnieniem zaimponowania Hurnom a chęcią ukarania Lili. Domyślasz się, co weźmie górę?

– Ukazanie Lili.

– Właśnie. Tak więc zgodził się wyłożyć na urządzenie przyjęcia taką samą sumę jak mama. Zgadnij, ile pieniędzy wyklada mama.

– Nic.

– Właśnie. Oznajmiła, że jej wkład to sałatka fasolowa. Więc tata powiedział, że świetnie, on też przygotowuje sałatkę. Zgadniesz, z czego?

– Z homarów.

– Właśnie.

– Możemy się zająć resztą – rzekła Quinn. – To nie musi być wystawne przyjęcie. I wiesz, że Evie nam pomoże.

– A kto kupi alkohol?

Quinn wzruszyła ramionami.

– Podamy to, co jest w domu – zdecydowała. Robert trzymał tu sporo wysokoprocentowych trunków i wina, wiedząc, że Lila nie pije. – I mam też trochę zaoszczędzonych pieniędzy.

– Czemu *ty* miałabyś za to płacić? – zaprotestowała Mattie. – Dlaczego oni zachowują się zawsze tak dziecinnie?

Siostra zmierzyła ją uważnym spojrzeniem.

– Mattie, wiem, że nie to jest powodem twojego zdenerwowania. Wiedziałyśmy, że dokładnie tak się stanie. Obydwoje okazali się na tyle odważni, by zdecydować wkrótce się spotkać, i to samo w sobie jest czymś w rodzaju cudu.

Mattie westchnęła.

– Tak, chyba masz rację.

– Jaki jest prawdziwy powód?

Mattie zostawiła niedojedzoną kanapkę na trawie.

– Ja po prostu... straciłam już serce do tego przyjęcia.

Quinn wiedziała, że siostra zмага się z jakimś większym problemem niż ten. Miała silne przeczucie, co to takiego, ale też zdawała sobie sprawę, że Mattie jeszcze nie jest gotowa o tym mówić.

– Chcesz je odwołać?

– Nie chcę zranić uczuć Emmy, a poza tym obawiam się, że Hurnowie już kupili bilety na samolot. Tak więc naprawdę czuję się z tym źle. Ale szczerze mówiąc, nie wiem, co mi przyszło do głowy z tym przyjęciem. Jak mogłam w ogóle uważać, że to dobry pomysł? – Mattie splotła dłonie na czubku głowy. – Przypuszczam więc, że najlepiej, gdyby po prostu nikt nie przyjechał. Czyż nie byłoby ulgą nie musieć urządzać tego przyjęcia? Prawdę mówiąc, myślę, że Emmie też by ulżyło.

Quinn czuła na wierzchu kolan ciepły dotyk promieni słońca. Tak, to byłaby ulga. Ale ona nie szukała w życiu poczucia ulgi. Ulga to zły doradca, o ile w ogóle jest osiągalna.

Nie można zaprzeczyć istnienia cierpienia ani go uniknąć. Trzeba je zaakceptować. To była mantra Quinn, a jednak spójrzmy, co niemal od zawsze działo się w jej rodzinie. Należy dopuścić cierpienie do głosu, jeżeli go potrzebuje. A co, jeśli teraz go potrzebowało?

– Uważam, że nie powinniśmy rezygnować – rzekła wreszcie. – Jeśli chcesz, ja się wszystkim zajmę.

– Dlaczego?

– Ponieważ od zbyt dawna tego unikamy. Musimy pójść dalej. Wszyscy.

– Jesteś pewna? – spytała Mattie.

Posłała siostrze sceptyczne spojrzenie, pamiętając o tym, że Quinn nigdy nie zjawia się tam, gdzie ma być, nigdy nie ubiera się stosownie do danej okazji i nie zdołała nawet wysiedzieć na egzaminie maturalnym.

– Tak.

– To przyjęcie może okazać się katastrofą.

– Owszem, może. Ale to nie powód, by go nie urządzać.

Sasho/Rayu,

moje drugie ja, mój duplikacie, mój partnerze w grze o sumie zerowej. (Ja będę zerem, ponieważ Ty jesteś sumą). Nigdy nie jesteśmy równocześnie w tym samym miejscu. Czy wykluczamy się nawzajem? Czy ktokolwiek zdołałby dowieść, że jest nas dwoje? Odwrotne strony, ciemność i światło, dziewczyna i chłopak, jin i jang.

Co więc powiesz na taką ideę, mój przyjacielu: jesteśmy raczej wzajemnym dopełnieniem niż przeciwieństwem. Jako przeciwstawne siły nie wykluczamy się nawzajem, lecz powodujemy swój wzajemny rozwój.

Ale co, jeśli pragnęłabym choć raz po prostu być z Tobą?

Ray/Sasha

PS Pisałam to trochę pijana. Proszę, odejmij od tego 40%.

– Czy to ty jeździsz tym czarnym audi zaparkowanym na zapleczu?

Mattie usiłowała dźwigać dwa duże wiadra pełne cynii. Wciąż ochlapywała sobie nogi zimną wodą.

– Tak – odpowiedziała.

Matt Reese się uśmiechnął.

– Nasza Dana chyba właśnie zrobiła jego zdjęcie.

Mattie z wyjątkową przesadą przewróciła oczami.

– Jak się domyślam, to wóz twojego taty? – mówił dalej Matt.

– Nie, mojej macochy. Jakiś drań wjechał w przednie koło mojego roweru pod sklepem Dreesen's. Tata powiedział, że mogę jeździć tym samochodem, dopóki nie naprawię roweru.

Matthew wziął od niej jedno z wiader.

– Dziwi mnie, że nie masz własnego auta.

Postawiła na kontuarze drugie wiadro z kwiatami.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Sam nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Chodzi o to, że jesteś ukochaną córeczką tatusia.

– Mój tata ma cztery córki – rzekła stanowczo Mattie i rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

– Ale żadna nie jest taka jak ty. Quinn mówi, że tobie jednej wszystko

uchodzi na sucho.

– Quinn tak powiedziała?

Matthew usiadł na jednym z dwóch krzesełek ogrodowych stojących za kontuarem. W środowe wieczory, gdy już uporali się ze zbieraniem i z sortowaniem, ruch był niewielki.

– Jasne. To nic złego. Przeciwnie, to świetnie. Masz szczęście.

Powiedział to poważnym tonem, świadczącym, że za tymi słowami stoi coś osobistego.

Mattie usiadła ciężko na drugim krześle i odchyliła się do tyłu na elastyczne zielone rurki tworzące oparcie. Najwidoczniej dziwne serum prawdy farmy Reese'ów znów działało.

– Jak przypuszczam, to dlatego, że na mnie skupia się większość poczucia winy taty z powodu rozwodu. Ponieważ byłam wtedy taka mała. Ponieważ Emma tego nie potrzebuje, a Quinn nie chce.

„Ponieważ tak naprawdę nie jestem jego córką” – pomyślała. Poczowała, że łzy napłynęły jej do oczu.

– Przykro mi – powiedział Matt. Usiłowała nie przybrać zrozpaczonej miny, ale i tak zauważył. – Nie chciałem cię zasmucić.

– W porządku.

– Nie słuchaj mnie. Nie powinienem się wypowiadać o rodzicach. Nic o nich nie wiem. – Bardzo się starał zachować lekki ton. – Mógłbym natomiast powiedzieć parę rzeczy o moich dziadkach.

– Za to ja o moich nie mam wiele do powiedzenia. Z wyjątkiem tego, że dziadek Harrison doprowadził rodzinę do bankructwa, a babka Hardy, ilekroć przychodzi do nas z wizytą, ukradkiem chowa do torebki nasze sztuce.

Matt się roześmiał.

– Wiedziałaś, że twoja babka Hardy próbowała zatrudnić moją babkę do sprzątania jej domu, kiedy obie były młodymi mężatkami? Moja babka nigdy jej tego nie wybaczyła.

Mattie szeroko otworzyła oczy.

– No cóż, powinienes powiedzieć swojej babce, że ta niegdyś wielka dama Gloria Hardy Harrison kradnie teraz sztuce. Nawet nie srebrne, tylko tanie, ze stali nierdzewnej. To jej poprawi humor.

Matthew zastanowił się nad tym.

– Może sama jej powiem – dodała Mattie.

Temat rozmowy się wyczerpał, ale Matthew nie wstał, żeby odejść.

Mattie zaczerpnęła pełne płuca powietrza końca lipca.

– Wiesz, Quinn ma rację. Rzeczywiście wszyscy traktują mnie ulgowo. To prawda, wiele rzeczy uchodzi mi na sucho. – Potarła oczy. – Ale sprawy nie zawsze są takie, jakimi się wydają. Może kiedyś byłam ukochaną córeczką tatusia.

Teraz nie wiem już, kim jestem.

Matt skinął głową, jakby czekał na dalszy ciąg.

Nagle przyszło jej do głowy, że być może wszyscy przez cały czas wiedzieli albo przynajmniej podejrzewali. Może to był stały temat plotek w miasteczku. „...I ten biedny Robert Thomas naprawdę myśli, że ta mała jasnowłosa dziewczynka to jego córka...”. A jeśli przez wszystkie te lata to było oczywiste dla każdego oprócz niej i taty?

Zanurzyła rękę w zimnej wodzie wiadra z kwiatami, wyławiając luźne listki.

– Nie jestem już pewna niczego, co jak sądziłam, wiem o sobie – rzekła cicho.

Później tego wieczoru Mattie siedziała na leżaku przy basenie. Powierzchnię wody pokrywały liście, ponieważ firma zajmująca się czyszczeniem basenów zrezygnowała, kiedy matka przestała płacić swoją połowę rachunków. Ojciec wścieknie się, gdy zobaczy, jak zapuszczony jest basen.

Była to wciąż ta sama stara historia: Robert nie znosił, kiedy basen był brudny, Lile natomiast ta kwestia nieszczególnie obchodziła. Robert jeszcze bardziej niż brudnego basenu nie znosił jednak wyciągania Lili z tarapatów finansowych.

– Taki basen bardziej mi odpowiada – oświadczyła Quinn, gdy wyszła z domu.

– Jest bardziej przyjazny dla żab i węzek – dorzuciła Mattie.

– Podoba mi się.

– Ale tacie się nie spodoba.

Quinn przytaknęła. Usiadła na krzeselku obok siostry.

– Tata znowu pojawi się z siatką i oczyści basen – przepowiedziała Mattie. – Zobaczysz. A pod koniec tygodnia wrzuci do niego z powrotem wszystkie liście i śmiecie.

Quinn się roześmiała.

– On nie zdaje sobie sprawy, że mamy to nie obchodzi.

Przez chwilę siedziały w milczeniu.

– Czy wiesz coś o ojcu Matthew Reese’a? – zapytała Mattie.

Quinn powoli pokręciła głową.

– Nie sądzę, by ktokolwiek wiedział.

– Matthew w ogóle go nie zna?

– Nawet jeśli jego mama wie, kto jest ojcem, nigdy tego nie wyjawiała.

Matthew zapytał kiedyś dziadka, a ten odpowiedział: „Twoim ojcem mógł być każdy cholerny mężczyzna w tym kraju”.

Mattie milczała przez chwilę.

– Cameron ma pewnie innego ojca – rzekła w zamyśleniu.

– Prawdopodobnie.

Znowu zapadła cisza.

– Widziałam raz ich mamę – oznajmiła Quinn stłumionym głosem.

– Naprawdę? Sądziłam, że zniknęła stąd na dobre.

– Przed dwoma laty pracowałam późnym wieczorem przy brzoskwiniach.

Ona siedziała w deszczu na tylnych schodkach ich domu, czekając, żeby ktoś ją wpuścił, ale w środku nie paliły się światła. Spytała, czy dałabym jej trochę pieniędzy.

– I co zrobiłaś?

– Powiedziałam, że mam dwadzieścia dolarów, i dałam jej, a ona odeszła.

Nie wiem, czy odtąd kiedykolwiek tu wróciła.

– To takie smutne.

Quinn przytaknęła.

– Ona i nasza mama w młodości się przyjaźniły.

Quinn znowu skinęła głową.

– Carly Reese złamała serce swojemu ojcu. Biedny pan Reese prawie nigdy nawet nie wymawia jej imienia. Później łamała serca innym.

Do licha, moja współsobo. To przyjęcie naprawdę się odbędzie. Znajdziemy się jednocześnie w tym samym miejscu.

W sierpniu zobaczę Cię z bliska. Obowiązujące stroje to kamizelki kuloodporne i skafandry ochronne.

Sasha przeczytała mail od Raya, a potem jeszcze raz. Zeszła na dół i krążyła po domu, aż znalazła matkę w pralni.

– Czy to przyjęcie zaręczynowe Em i Jamiego naprawdę się odbędzie? Tata się zgodził?

Mama nawet tutaj, w pralni, w obecności jedynie córki, zachowała się dyplomatycznie.

– Wygląda na to, że się zgodził – odrzekła pogodnie.

– Dlaczego?

– Bo dziewczyny go poprosiły.

– To takie proste? Po wszystkich tych latach? Dlaczego nikt mi nie powiedział?

– Nie bądź taka ironiczna, Sasho. To niestosowne.

„Niestosowne”. Matka bardzo często tak mówiła. Sasha wiedziała, że to słowo na określenie czegoś złego, ale nie wiedziała, co właściwie znaczy. Jaki dokładnie ma związek ze stosownym? Czy stosowne to coś dobrego? Pohamowała chęć, by o to zapytać, ponieważ ironia jest niestosowna.

– I Lila też się zgodziła? To jeszcze trudniej sobie wyobrazić.

Mama powróciła do starannego składania slipów taty.

– Z tego, co wiem, początkowo powiedziała nie. Ale potem zmieniła zdanie.

Sasha zastanawiała się, czy naprawdę dziewiątego sierpnia wieczorem

zobaczy Raya. Próbowała sobie wyobrazić podanie mu ręki, konwencjonalny powitalny uścisk albo pocałunek w policzek. Czy właśnie tak oboje się zachowają? Czy świat na to pozwoli?

A co z ich rodzicami? Czy znajdą się w tym samym pokoju? Będą ze sobą rozmawiać? Podadzą sobie dłonie? Czy na *to* świat też pozwoli?

– Czy rodzina Jamiego w ogóle zdaje sobie sprawę, w co się pakuje?

– Nie ma potrzeby dramatyzować. Jesteśmy wszyscy dorosłymi ludźmi – powiedziała matka z surową miną woźnego sądowego.

Sasha powstrzymała się przed zrzędlwym burknięciem.

– Nie ma też potrzeby udawać, że całe nasze życie nie jest ciągiem starań, żeby tata mógł uniknąć spotkania Lili i vice versa.

Evie przestała składać bieliznę i spiorunowała córkę wzrokiem.

Sasha zrobiła minę niewiniątka.

– Czy... może jednak powinniśmy to udawać?

Spojrzenie matki stało się jeszcze bardziej gniewne.

Sasha wzruszyła ramionami.

– W porządku, ty tu dowodzisz udawaniem, więc po prostu wydaj mi rozkazy.

Dlaczego, och dlaczego, zawsze robi to mamie?

Gniew w końcu ożywił rysy twarzy matki.

– Nie rozumiem tego, Sasho. Dlaczego jesteś miła dla wszystkich, tylko nie dla mnie?

Dziewczynę ogarnęło zawstydzenie. Zachowała się teraz jawnie niestosownie. Niewłaściwie. Ale to był stały wzór jej postępowania. Prowokowała matkę, dopóki Evie wreszcie nie powiedziała czegoś szczerze.

Do licha, masz rację. Czuję podekscytowanie i lęk. Jak przed nadchodzącym huraganem, który wszystko spustoszy. Teraz to nawet nie Mattie najbardziej dąży do wydania tego przyjęcia, tylko Quinn. ????

Nadążenie za myślami Quinn nigdy nie bywa łatwe, lecz zawsze zabawnie jest próbować. To jak tropienie pieska preriowego. Ona znika, a potem nagle pojawia się w całkiem innym miejscu. Ale tym razem naprawdę się pogubiłem. Co ona sobie myśli, do cholery?

Żałuję, ale nie potrafię ci odpowiedzieć. Nikt nie przejmuję się bardziej, nie odczuwa intensywniej niż ona. Nikt bardziej od niej nie pragnie spokoju i nie cierpi mocniej, gdy ten spokój nigdy nie nadchodzi.

Trafnie to ujęłaś, siostrzo. (To znaczy, nie: moja siostrzo, tylko: siostrzo Quinn). Nie potrafię przestać myśleć o tym, co napisałaś. Jakie to prawdziwe, jakie prawdziwe. To cholerne wariactwo, co?

„Nigdy o tym nie rozmawialiśmy”. Tak odpowiedziała mama, kiedy Mattie zapytała ją, czy ojciec wie.

Mattie siedziała na końcu pomostu, machając nogami zanurzonymi w stawie. W uroczym blasku słońca późnego popołudnia zarówno niebo, jak i staw były idealnie różowe i gładkie, z wyjątkiem wody wzburzonej stopami Mattie. Tata, Evie i Sasha mieli zjawić się lada moment. Mattie chciała wiedzieć, kiedy już przybędą, ale nie czuła się całkiem gotowa na spotkanie z nimi.

To było wstrętne, lecz żałośnie prawdopodobne. Jej matka w efekcie romansu ze swoim kalifornijskim instruktorem surfingu powiła jasnowłose, niebieskookie niemowlę, a później – przynajmniej według jej słów – ona i jej urodzony w Bengalu mąż „nigdy o tym nie rozmawiali”.

A czy kiedykolwiek rozmawiali o tym romansie? Czy ojciec o nim wiedział? Wnioskując z jego reakcji na pytanie Mattie o Jonathana Dawesa, wyglądało na to, że musiał coś wiedzieć. Ale jak wiele? Mattie przypuszczała, że właśnie ten romans stał się powodem ich rozstania – wskazywały na to zbieżność w czasie i ogólna atmosfera skandalu – teraz jednak zaczynała przeczuwać, że ta sprawa była tylko częścią jakiejś większej katastrofy.

Czasami zastanawiała się, czy może absolutnie najważniejszymi przyczynami były te, o których nigdy nie rozmawiali.

Usłyszała chrzęst opon samochodu na żwirowym podjeździe. Zorientowała się, że prowadzi jej ojciec, ponieważ jechał zbyt szybko. Jej serce przyspieszało, w miarę jak pojazd zwalniał i w końcu się zatrzymał.

Nigdy dotąd nie denerwowała się przed spotkaniem z tatą, nigdy nie miała wrażenia, jakby ukrywała przed nim ważny sekret. Nawet wtedy, gdy wróciła z letniego obozu przepełniona zażenowanym poczuciem bycia kimś ważnym z powodu tego, że pierwszy raz dostała okresu. Tata zazwyczaj zachowywał się wobec niej swobodnie i wesoło. Żartobliwie się z nią droczył.

Może naprawdę nie wiedział?

Ale z drugiej strony potrafił doskonale wypierać ze świadomości rzeczy, o których nie chciał wiedzieć.

Siedziała nieruchomo na pomoście, nasłuchując, z palcami stóp wciąż zanurzonymi w teraz spokojnej wodzie. Trzasnęły drzwiczki samochodu. Żwir zachrząścił pod butami. Ojciec otworzył drzwi wejściowe ze zwykłą swobodą właściciela; bardziej to sobie wyobraziła, niż usłyszała.

Nie miało dla niego znaczenia, że ten dom kupił dziadek jego byłej żony, którą darzył obecnie zacieklą nienawiścią, że wyremontował go jej ojciec i że ta kobieta mieszka tutaj przez połowę tygodni w roku ze swoim drugim mężem.

Kiedy tata tu przybywał, obejmował to miejsce całkowicie, radośnie i bez skrępowań.

– Jest tu ktoś? – zawołał. – Mattie?

Wiedział, że Emma i Jamie spędzają dzisiejszą noc u przyjaciół w Shelter Island, a Quinn pracuje na farmie Reese'ów. Ponieważ jednak wszystkie rozsuwane szklane drzwi były otwarte, domyślił się, że ktoś jest w domu.

Usłyszała, że wszedł do kuchni. Nie mogła słyszeć lekkich kroków Evie ani Sashy, ale zawsze rozpoznałaby ciężki tupot butów ojca.

– Matt?

Wpatrywała się w miejsce, w którym staw łączył się z oceanem. Czy ojciec zorientuje się, kiedy zobaczy wyraz jej twarzy? Czy wyczuje, że coś się zmieniło?

Jak ona zdoła spojrzeć mu w oczy? Co mu powie? Czy powinna po prostu wstać i wejść do środka? Nie potrafiła się na to zdobyć, ale co tamci troje sobie pomyślą, jeśli się nie zjawi?

Okazało się, że nie musi wchodzić do domu. Ojciec gwałtownie otworzył drzwi osłonięte siatką przeciw owadom, prowadzące z salonu i ciężkim krokiem wyszedł na wilgotną trawę.

– Mattie, to ty tam jesteś?

Zbierało się jej na płacz. Nie wiedziała nawet, jak ma się odezwać. Odwróciła się i kiwnęła głową, nie mając pewności, czy ojciec dostrzeże ten gest w gasnącym świetle zmierzchu.

Ruszył ku niej i wszedł na pomost. Wyglądał całkiem nie na miejscu w eleganckim londyńskim garniturze i błyszczących trzewikach. Już zawczasu szeroko rozłożył ręce.

– Witaj, kochanie. Co tu robisz?

Jego wyraz twarzy, krok, głos były takie jak zawsze. Nawet jeśli w wyglądzie czy zachowaniu Mattie było coś niecodziennego, zdawał się tego nie zauważać. Głośno tupiąc, dotarł do końca pomostu i objął ją.

Zawsze zachowywał się tak bezpośrednio. Nie był skomplikowany; angażował się całym sobą, bez uprzedniego upewniania się, czy to bezpieczne. Nigdy nie był powściągliwy, pełen rezerwy.

W tym sensie był uderzająco odważny. Mattie nie potrafiła tego zrozumieć – po wszystkim, przez co przeszedł, co stracił i co miał do stracenia.

Czy to by się w nim zmieniło, gdyby się dowiedział? Czy utraciłaby go? Szczyciła się swoim buntowniczym duchem, nawet jeśli był to raczej przejaw lekkomyślności, ale podejrzewała, że w gruncie rzeczy okazałaby się tchórzem, gdyby stanęła w obliczu ryzyka utraty.

Serce przeszył jej ból, kiedy naszła ją zdradziecka myśl o plaży w Ditch Plains.

Ojciec uściskał Mattie, a potem udał, że chce ją zrzucić z pomostu. To był

ich stary żart. Łatwo przyszło jej znowu go podjąć. Pisnęła, zaśmiała się i spróbowała zepchnąć tatę. On udał, że się chwieje, stojąc na skraju pomostu. Ale był wysoki, silny i sprytny i już wiedziała, że nigdy nie wpadłby do wody, o ile by nie chciał.

Otoczył ramieniem jej plecy i poszli z powrotem w kierunku domu.

– Usmażymy hamburgery na grillu. Evie zdobyła jakiś nowy gatunek. Co na farmie? Znowu przyniosłaś do domu te żółte brzoskwinie?

Gdy szli, oparła głowę na jego ramieniu. Z oczu płynęły jej łzy, ale tego nie zauważył.

Zawsze był wobec niej wyrozumiały. Łatwo przychodziło jej kochać go i być przez niego kochaną.

On nie wie, prawda?

A co będzie, jeśli się dowie?

W ciągu mniej więcej tygodnia od zaręczyn matka Jamiego wysłała entuzjastyczne listy z zaproszeniem i gratulacjami do obojga rodziców Emmy. Różnice w ich reakcjach były w smutny sposób znamienne.

Lila wciąż nie odpowiedziała na swój.

– Boże, wzdrygam się na widok notki napisanej odręcznie na wytłaczanym papierze listowym – wybuchła, kiedy Emma ją o to zapytała. – To z mora mojego dzieciństwa. I mam zaadresować „Pani Stewartowa Hurn”? Serio? Czy ona nie ma imienia? Em, powiedz mi prawdę. Czy oni należą do klubu zrzeszającego śmietankę towarzyską?

– Mogłabyś jednak odpisać – rzekła ponuro Emma. – Zanim zjawią się tu na przyjęciu.

Natomiast jej ojciec nie tylko wysłał w odpowiedzi radosny list, ale dołączył do niego skrzynkę szampana.

Emma zwierzyła się Jamiemu, że niepokoi ją upór Lili, a on odpowiedział:

– No cóż, moja mama ciągle jeszcze opowiada wszystkim o tym szampanie.

Ale właśnie w tym rzecz. Problemem był kontrast pomiędzy obojgiem rodziców Emmy. Dzieci małżeństw odruchowo skłonne są żywić pogląd, że ich rodzice wspierają się nawzajem, stosując się do jakiegoś ogólnie przyjętego idealnego wzorca rodzicielstwa. Jej rodzice postępowali wręcz odwrotnie. Robert zawsze czynił bohaterskie gesty, ale gdy Emma dorosła, zrozumiała ich ciemną stronę: stale usuwał Lilę w cień.

W piątkowy wieczór:

– Czy Jamie przyjdzie?

– Nie dziś, tato. Pracuje do późna. Jutro, mam nadzieję. Zamierza przyjechać wczesnym busem.

– No cóż, z radością go ujrzymy, kiedykolwiek się zjawi.

Następnego poranka:

– Zobaczymy dziś wieczorem Jamiego?

– Skoro tylko wyjdzie z biura.

– Ciężko pracuje, nieprawdaż?

A później tego wieczoru przy kolacji, w obecności szacownego Jamiego, ojciec kontynuował doprowadzanie Emmy do szału.

– Małżeństwo to najwspanialsza rzecz na świecie – powiedział i objął ramieniem Evie, która w końcu usiadła, uporawszy się z całym tym gotowaniem i podawaniem do stołu.

Emma chciała trzymać buzię na kłódkę, ale zbierało się jej na wymioty. Była w dziwnym nastroju, wzburzona i rozstrojona. Zachowanie Lili stanowiło dla niej nieustanne wyzwanie, a teraz obserwowała triumfalną dumę ojca demonstrującego chwałę swojego małżeństwa z kobietą niebędącą jej matką. Jak się zdawało, żadne z jej rodziców w ogóle nie zwracało na nią uwagi.

– Tato, co ty mówisz? Czy to nie jest zbyt uproszczenie? Przecież ty i mama się nienawidzicie.

Ojciec zabrał rękę z pleców Evie i usiadł prościej. Miał tak zaskoczoną minę, jakby paprotka na stole wystawiła liść i uszczypnęła go.

– Właśnie dlatego twoja matka i ja nie jesteśmy małżeństwem – odparł sztywno.

– Ale niewątpliwie byliście. Niektóre małżeństwa bywają wspaniałe, a niektóre najwyraźniej nie.

Jamie wyglądał na rozpaczliwie zakłopotanego.

Ojciec nie miał ochoty na sprzeczkę czy choćby szczerą rozmowę. Był koniec tygodnia, a on się najadł i wypił dwa kieliszki wina. Był w jednym ze swoich pozytywnych nastrojów.

– Ty i Jamie będziecie wspaniałym małżeństwem – rzekł kategorycznym tonem, niemal jakby wydawał wyrok.

Boże, zawsze musiała prowadzić z rodzicami wojnę na dwa fronty.

– Tak. Jeśli bardzo mocno się postaramy – powiedziała.

Nieco później tego wieczoru Emma i Jamie usiedli na skraju tarasu, poza kręgiem światła.

– Dlaczego oni to robią? – zapytała.

Nie była przesadnie podejrzliwa ani obdarzona szczególną intuicją, ale odczuwała głęboki, narastający smutek. Ona i Jamie chronią coś wyjątkowego i niezwykłego, delikatne młode drzewko, które usiłuje zapuścić korzenie w nadziei, że w przyszłości sięgnie nimi głęboko i wybije się w górę. Ale uśmierci je trucizna z jej przeszłości, którą rodzice Emmy wciąż regularnie przyrządzają i mieszają. I cała ta nadzieja okaże się tylko czymś, co ona i Jamie niegdyś razem sobie uroili.

Jamie usiadł za nią. Położył dłonie na jej ramionach i zaczął ugniatać napięte mięśnie, aż się odprężyła.

– Uważam, że to powinno nas uszczęśliwiać – rzekł.

– W jakim sensie uszczęśliwiać? – spytała.

Oparła podbródek na piersi. Wdychała intensywny zapach ściętej trawy, chloru i promieni słońca blaknących na kamiennych płytach tarasu. Napawała się ciepłem ciała obejmującego ją Jamiego.

– W takim, że oni świętują nasz zamiar zawarcia małżeństwa. W przeciwieństwie do wszystkich innych traktują nas poważnie, chociaż jesteśmy młodzi i poznaliśmy się dopiero w kwietniu.

– My traktujemy siebie poważnie.

– Tak.

– I właśnie to się liczy.

– Tylko to.

– Więc dlaczego musimy wydawać to przyjęcie?

Przesunął kciukami w dół jej kręgosłupa. Nie potrafiła dalej się z nim spierać.

– Może nie musimy – odrzekł.

– Nie musimy?

– A musimy?

Zastanowiła się. Mattie chciała tego przyjęcia. Quinn też. Dlaczego tak im na tym zależało? Mattie mogła go chcieć z egoistycznych powodów. Żeby przygotować kilka nowych rodzajów kanapek, włożyć seksowną kieckę, wypić trochę wina, wywołać jakąś dramatyczną sytuację. Ale nie Quinn. Emma ufała Quinn z wielu powodów, które niekoniecznie wyznałaby na głos. Dla Quinn, która nie znosiła imprez, nigdy się nie stroiła, przejmowała się wszystkimi konfliktami, to przyjęcie było poświęceniem, powolną torturą. Dlaczego więc go chciała?

– Może to rodzaj testu – powiedziała Emma z twarzą wtuloną w pierś Jamiego.

– To nie zapowiada świetnej zabawy.

– Może to dzień, w którym każdy zostanie poddany próbie. Jeżeli ją zaliczymy, będziemy silni.

– Wystarczająco silni, by sprostać ceremonii ślubnej?

– Wystarczająco silni, by sprostać małżeństwu. I ceremonii ślubnej też. Ale mam przeczucie, że jeśli przetrwamy to przyjęcie i będziemy je mieć za sobą, ślub przebiegnie gładko. Wygląda na to, że trzeba być silnym, aby w tej sytuacji osiągnąć sukces w małżeństwie.

– W każdej sytuacji.

– Ale w tej bardziej niż w innych.

– Przetrwamy oboje to przyjęcie – rzekł śmiało. – Nie boję się.

Emma padła na brzuch na trawę.

– Prawdopodobnie powinieneś się bać – powiedziała stłumionym głosem.

Sasha także chciała mieć coś za sobą.

Czy przyprowadzisz na przyjęcie swoją dziewczynę?

Moją dziewczynę? Masz na myśli Violet?

Tak. Ona ogromnie podoba się Francisowi.

Ach, Francisowi. Może powinienem być tym zirytowany albo zaskoczony, ale nie jestem. Nie reaguję jak zazdrosny chłopak przede wszystkim dlatego, że ona nie jest moją dziewczyną. I nie, nie przyjdzie na przyjęcie.

Nagle Raya uderzyła okropniejsza myśl.

A ty?

Czy przyprowadzę jakąś swoją dziewczynę? Nie. Ani chłopaka.

Boże. Ray poczuł ulgę. Dotąd nie przyszło mu do głowy, że ona może mieć chłopaka ani że go przyprowadzi, a kiedy teraz nagle o tym pomyślał, ogarnęły go dręczące przygnębienie i wzburzenie. Był rad, że te uczucia prześladowały go tylko przez mniej więcej dwanaście minut.

Quinn spostrzegła matkę w dziale artykułów papierniczych supermarketu Stop & Shop na Newton Lane, jeszcze zanim Lila ją zauważyła. To dało jej nieoczekiwany moment poza sferą ich relacji, w którym obie były sobie obce w obcym miejscu.

Podczas tego momentu mogła się wydarzyć jakaś historia. Pośród papierowych talerzy i serwetek mogłoby się objawić jakiś świat. Stało się to w oczach matki w trakcie przemiany Quinn z nieznanym osobą w jej córkę.

Quinn wydawała się tutaj nie na miejscu; nie pasowała. Był to zaskakujący, niewiarygodny rodzaj niedopasowania, niczym żywy wieloryb wyrzucony na brzeg i usychający na piasku, unieruchomiony na boku i spoglądający z rezygnacją jednym wielkim wrażliwym okiem na swój los. A może Quinn tylko tak się zdawało.

Lila nie chciała mieć zwyczajnego dziecka. Właśnie w tym rzecz. Nie przyjmowała do wiadomości, że Emma jest osobą ceniącą porządek i zorganizowanie, układającą swoje książki według kolorów okładek. „To moja buntowniczką” – zwykła mawiać o Emmie, ilekroć ktoś pytał, do którego college’u córka się wybiera. Przewracała oczami, gdy Mattie wydawała fortunę na środki do pielęgnacji włosów, pierzaste japonki i efektowne kuse stroje. Tak więc jej jedyną nadzieją była Quinn.

– Co ty tu robisz? – spytała Lila; wydawało się, że jej źrenice się rozszerzyły.

– Zakupy.

– To widzę. Ale *dlaczego?*

Lila pragnęła córki będącej weganką, noszącej dredy i ubiory ze sztucznej skóry, socjalistki palącej trawkę i jeżdżącej na festiwalu folkowe. Dziewczyny, którą mogłaby dogodnie wykorzystać w wojnie przeciwko byłemu mężowi. Quinn

rozumiała i czuła wszystkie te klimaty. Dawniej nawet chciała stać się właśnie taka. Ale nie była tego typu dziewczyną. Nie pasowała do cenionego przez Lile modelu oryginalności. Ani do niczyjzego innego. Przyjaźniła się z roślinami i ze starymi ludźmi; najsilniejsze relacje nawiązywała z nieznanymi; nie płonęła równym, stałym światłem. Nie czuła się u siebie ani w szkole, ani w biurze, a już z całą pewnością nie w supermarkecie Stop & Shop. Quinn konfundowała swojego ojca, przypuszczalnie wprawiała w zakłopotanie siostrę. Nawet zbuntowana Lila nie potrafiła pohamować wrodzonego matczyne go pragnienia, by jej dziecko gdzieś pasowało.

– Na przyjęcie – wyjaśniła Quinn.

– Na tę imprezę dla Emmy i Jamiego? – spytała Lila takim tonem, że nawet nie musiała dodawać: „Ty? Tutaj? Na *coś takiego*?”.

Quinn spuściła wzrok na dwa słupki plastikowych kubków turlające się w jej sklepowym koszyku.

– Tak.

A więc taką historię zobaczyła przez moment w oczach Lili: lęk przed prawdziwą odmiennością, autentycznością, „pełzaniem w stronę Betlejem”¹.

– Quinn, dlaczego u licha zaangażowałaś się w ten bałagan? – rzuciła Lila i z trzaskiem postawiła na podłodze swój pusty koszyk.

– To nie bałagan, lecz przyjęcie.

– W porządku, przyjęcie. Od kiedy to lubisz przyjęcia? Nie cierpisz ich. Nie potrafię sobie wyobrazić ciebie pojawiającej się na takiej imprezie, a co dopiero zamierzającej ją urządzić.

Quinn przyszło do głowy inne znaczenie słowa „urządzić”. Rzeczywiście chciałaby „urządzić” to przyjęcie tak, żeby cisnąć je z całej siły o ścianę i patrzeć, jak pęka. Rozwalić je na kawałki, jeśli trzeba. Nie mogła się już cofnąć.

Może to rzeczywiście będzie bałagan.

I może potem będą mogli go posprzątać.

Sasha nie wiedziała, jak miałyby się martwić wszystkimi sprawami, którymi powinna, postanowiła więc martwić się kwestią sukienki.

Dziwnym szczęśliwym trafem zarówno Emma, jak i Mattie były w domu i zechciały wybrać się z nią na zakupy. Gdyby starały się to zaplanować nawet z kilkutygodniowym wyprzedzeniem, nigdy by do tego nie doszło.

– Em, ty już masz sukienkę – zauważyła Mattie, gdy wsiadały do samochodu Emmy.

– Wiem. Ale mimo to mogę pomóc Sashy. – Emma rzuciła spojrzenie na Mattie. – I tobie.

– Zamierzasz utemperować swoją zdzirowatą siostrę, zanim zostanie przedstawiona rodzicom Jamiego – podsunęła Mattie.

Emma roześmiała się, ale powściągliwie.

Sasha, idąc z dwiema ze swoich trzech starszych sióstr po Main Street w East Hampton, pośród przejeżdżających lamborghini oraz łysiejących mężczyzn i ich partnerek supermodelek, poczuła, że ogarnia ją dawna, dobrze znana niepewność.

Emma i Mattie były wysokie, a ona nie. Stawiały energiczne kroki długimi nogami, ona zaś wlokła się za nimi chwiejnie, niezgrabnie, boleśnie świadoma swojej ułomności, krzywej stopy. Im więcej o tym myślała, tym bardziej wyolbrzymiała tę wadę, aż w końcu zaczęła się dziwić, że w ogóle może chodzić.

Emma była zawsze „wysoka jak na swój wiek”, dopóki nie stała się po prostu wysoka. Z Mattie było tak samo. Nawet Quinn mająca posturę dwunastoletniego chłopca przewyższała Saszę o co najmniej pięć centymetrów. Sasha pamiętała, jak powiedziała kiedyś ze smutkiem do Evie: „Ja chyba nie jestem wysoka jak na swój wiek”.

Jej siostry zawsze biegały, ścigały się, skakały, kopały przedmioty, rzucały nimi i jeździły, na czym się dało. Sasha czekała, aż jej stopa się wyprostuje, co w końcu częściowo się stało. Z wyjątkiem takich dni jak dziś, kiedy miała wrażenie, że stopa z powrotem się wykrzywiła.

Sasha nie po raz pierwszy zastanawiała się, czy siostry kiedykolwiek drwiły z niej z tego powodu. Nie w jej obecności, gdyż oczywiście były dobrze wychowane, ale za plecami. Czy powiedziały Rayowi, jaka jest niezgrabna? Dawna obawa przybrała teraz dla Sashy nową postać.

Skręciły w Newton Lane i zajrzały najpierw do modnych sklepów, tak jaskrawo oświetlonych, pełnych krzykliwych kolorów i intensywnych woni perfum, że Saszę rozboleła głowa.

– Nie – zawyrokowała Emma, gdy Mattie zdjęła z wieszaka mini z odkrytymi plecami. – Nie – powiedziała na widok obcisłej sukienki z wzorem skóry krokodyla.

W końcu Mattie i Sasha zaczęły dla zgrywy wyjmować najbardziej szokujące kiecki, jakie zdołały znaleźć.

– Żadnych jadowicie różowych kolorów, żadnej lycry, piór ani łańcuszków – zdecydowała Emma.

– Więc chyba musimy pójść do sklepu Talbot z grzecznymi strojami – wyrzekała Mattie.

Sasha się roześmiała.

– W takim razie mogłabym równie dobrze włożyć po prostu mój szkolny mundurek.

Emmę przestało to bawić.

– O pierwszej muszę być w pracy – powiedziała. Poprowadziła je chodnikiem, a potem w górę po schodach do ekskluzywnego sklepu z używaną odzieżą. – Tutaj ubiory są tańsze i mniej zdzirowate – oznajmiła.

Wyjęła naręcze sukienek i zaniósła do przebieralni. Sasha, aby ją zadowolić, wzięła maxi w ciemnogrnatowe i białe paski.

– Czy ona pasuje do burki? – spytała Mattie przez kotarę.

Ona i Emma czekały, aż Sasha wyjdzie. Sasha, przymierzając sukienkę, czuła się spocona i w plamach, jak zwykle w przebieralni. Miała wrażenie, że wszystkie części jej ciała zanadto się uwydatniają, niemal ostentacyjnie.

– No, spójrzmy na ciebie – powiedziała Emma. Przyjrzała się z podziwem głębokiemu dekolтови, obciągnęła sukienkę na biodrach. – Z nas czterech tylko ty wyglądasz naprawdę kobieco.

Mattie przytaknęła.

– Jesteś naszą boginią płodności. Przy tobie reszta nas wypadnie mizernie.

– Chyba uważasz mnie za grubą – rzekła Sasha.

– Uważam, że jesteś zachwycająca – powiedziała szczerze Mattie.

Czasami rzeczywiście wytykała Sashy zbytnią pulchność, ale dziś była w bardziej wspaniałomyślnym nastroju.

– Przymierz tę czarną – zaproponowała.

– Dlaczego ty żadnej nie przymierzasz? Dlaczego tylko ja? – spytała Sasha.

– Żadna z tych sukienek nie jest wystarczająco zdirowata – odparła Mattie, rzucając uśmiezek Emmie.

Sasha posłusznie przymierzyła czarną sukienkę i spocona wyszła z przebieralni poddać się inspekcji. Emma ujęła ją za ramiona i odwróciła.

– Spójrz, jaką masz wąską talię. Gdybym ja taką miała, demonstrowałabym ją.

– Ja też – dodała Mattie.

– Gdyby Mattie miała twoje ciało, nie włożyłaby już nigdy nawet skrawka ubrania – powiedziała Emma.

– Tylko gdyby było zimno – zgodziła się Mattie.

Wszystkie trzy wpatrywały się w odbicie Sashy w lustrze. Dziewczyna wierciła się zakłopotana.

Niełatwo przychodziło jej przymierzać sukienki na oczach sióstr. A tym razem naprawdę jej zależało. Dziewiąty sierpnia był prawdopodobnie jedynym dniem w jej dającej się przewidzieć przyszłości, w którym zobaczy Raya twarzą w twarz, na żywo, a on zobaczy ją.

Chciała ładnie wyglądać. Chciała, żeby uznał ją za ładną. Czy uzna? Czy kiedykolwiek pomyśli tak o niej? Czy zdumiałby się, przeraził, gdyby się dowiedział, że ona myśli o nim w taki sposób? Bo przypuszczała, że na jego miejscu tak by zareagowała. Spośród wszystkich innych rzeczy tego jednego była niemal pewna.

Chciała wydać się seksowna, lecz nie przesadnie. Chciała przykuwać uwagę, ale tylko trochę i nie każdego. Potrzebowała sukienki, której dyskretny urok

przemówi tylko do Raya. Sukienki niczym żart zrozumiały jedynie dla wtajemniczonych – z tą różnicą, żeby nie była śmieszna.

– Dla kogo się tak stroisz? – spytała Emma.

Sasha wstrzymała oddech. Poczowała, że twarz jej płonie z zawstyżenia. Widziała w lustrze, jak ten rumieniec wpełza na jej szyję.

– Co? – wyjąkała.

Czy to możliwe, że Emma wie?

– Ja zawsze zadaję sobie to pytanie – ciągnęła Emma z filozoficzną zadumą.

– Właściwie to Myrna Chapman poruszyła kiedyś tę kwestię. Powiedziała: „Kiedy naprawdę się stroisz, to prawie zawsze dla kogoś konkretnego”.

Mattie błaznowała teraz w turkusowym boa z piór, ale Emma wyraźnie coś wyczuwała. Wygładziła rąbek czarnej sukienki.

– Widzisz, ja niewątpliwie stroję się dla Jamiego, ale także dla jego mamy, której nawet nie znam. Kiedy wybierałam dla siebie sukienkę, zdałam sobie sprawę, że w gruncie rzeczy robię to z myślą o tej kobiecie.

Sasha nerwowo przełknęła ślinę.

– A kto jest w twoim przypadku, Matt? – spytała.

Mattie podniosła na nią wzrok.

– Matt – odpowiedziała.

– Stroisz się dla siebie?

– Nie, dla tamtego drugiego. Dla Matta Reese’a.

Emma głośno wypuściła oddech.

– Czyż wszystkie tego nie robimy? – rzuciła.

– Mówię serio. Codziennie stroję się, z powodzeniem albo nie, dla niego, ale on zdaje się tego nie zauważać.

Emma przewróciła oczami.

– Jak mógłby nie zauważać. Jestem pewna, że zauważa.

Mattie zastanowiła się nad tym.

– Więc może trafniej byłoby powiedzieć, że nie docenia moich wysiłków albo nie sprawiają mu przyjemności.

– W takim razie być może jest jedyny – podsunęła Sasha. – Cameronowi z pewnością sprawiają przyjemność.

Mattie zrobiła minę wyrażającą obrzydzenie.

Emma odwróciła się z powrotem do Sashy.

– Wciąż mi nie odpowiedziałaś.

Sasha skupiła uwagę na strojach na ruchomym wieszaku stojącym przed strefą przebieralni. Chwyciła jakąś sukienkę w pięknym kolorze – coś pomiędzy selerem a miętą – i zdjęła z wieszaka. Uniosła ją w górę. Była to gładka sukienka z surowego jedwabiu, ze spódnicą o długości trzy czwarte, ściętą na ukos. Nadzwyczaj prosta, ale zachwycająca.

Sasha wróciła do przebieralni i wciągnęła sukienkę przez głowę.

Poczuła rozkosz, gdy materiał spłynął po jej ciele; muskał je, lecz nigdzie nie obciskał ani nie przylegał. Nieśmiało odsunęła kotarę. Odgarnęła z karku długie, bujne włosy.

Obydwie jej siostry wpatrzyły się w nią.

– Nie mogę oderwać oczu – oświadczyła Mattie.

– O rany, Sasha – rzekła Emma. – Tylko ta.

Sasha się obróciła, z podekscytowania czując ciarki na skórze.

– Nie za głęboki dekolt?

– Nie, w sam raz – powiedziała Mattie. – Ale musisz zrezygnować z biustonosza.

Gapiły się jeszcze przez chwilę.

– Sash, nie uszło mojej uwagi, że nie chciałaś nam powiedzieć, dla kogo tak się stroisz – oznajmiła Emma. – Ale kimkolwiek jest, zakocha się w tobie bez pamięci.

– Mam więc nadzieję, że nie chodzi o matkę Jamiego – dorzuciła Mattie.

Zdaniem Mattie to nie był odpowiedni moment, żeby Jonathan Dawes wjechał na zapyłony parking straganu farmy Reese'ów.

A może jednak odpowiedni.

Do przyjęcia zaręczynowego – tego ważnego punktu, w którym miały się spotkać życia członków obydwu rodzin – pozostały niecałe dwie doby. I wbrew nadziejom Mattie okazało się, że to nie będzie wielkie, doniosłe wydarzenie.

Trawnik wokół domu był zapuszczony i zarośnięty. Kiedy tata przyjedzie w niedzielę i to zobaczy, włosy staną mu dęba. A Mattie nie zdołała słodkimi słówkami ani nawet przekupstwem nakłonić żadnej z lokalnych firm ogrodniczych do zrobienia porządku z trawą. Wszystkie zostały już wcześniej wykiwane na tym czy innym etapie bitwy pomiędzy jej rodzicami. Tak samo przedstawiała się sprawa z firmą czyszczącą baseny. Zazwyczaj Mattie niezbyt przejmowała się tymi kwestiami. Ale przed tym szczególnym dniem owszem.

– Lubimy, kiedy się nam płaci. Nie lubimy obietnic, nawet pisemnych – oświadczył Mike z firmy Hampton Hedges.

Całkiem słusznie.

Nawet typ odprowadzający samochody na parking nie chciał mieć do czynienia z jej rodziną.

– Słyszeliśmy różne historie – powiedział. – O skłóconych ze sobą właścicielach domu.

Kiedy Jonathan Dawes wjechał na parking, Mattie siedziała z komórką na kolanach za kontuarem straganu w cieniu dębów. Wiązała kolendrę w pęczki, a jednocześnie usiłowała zlokalizować zakład, w którym jej ojciec wypożyczył kiedyś kosiarkę do trawy.

Uświadomiła sobie, że jest wściekła na Jonathana Dawesa, dopiero kiedy zatrzasnęła drzwi rabarbarowoczerwonej toyoty prius i szybkim krokiem ruszył w kierunku straganu. Jeżeli nie zaskoczył go widok Mattie, to odegrał zaskoczenie niczym całkiem dobry aktor.

– Mattie – powiedział na poły pytającym tonem, unosząc brwi.

Gdy się zbliżał, wstała, zadowolona, że oddzieliła ich kontuar. Na szczęście w tym momencie w pobliżu nie było nikogo oprócz nich – żadnych innych klientów ani członków rodziny Reese'ów. Nie wyciągnęła ręk, żeby uściskać go na powitanie. Zamiast tego objęła siebie.

– Pracujesz tutaj? – spytał.

– Dopiero od czterech lat – odparła zgryźliwie.

Tak, była rozgniewana. Czuła ten gniew w ustach.

Skrzywił się.

– Chyba nie zaglądam tu zbyt często.

– Chyba nie.

Lekko przekrzywił głowę. Atmosfera była krępująca.

– Wszystko... w porządku? – zapytał.

Kusiło ją, żeby odpowiedzieć: „Tak, świetnie” i odesłać go w drogę z kilkoma pomidorami i kolbą kukurydzy bądź czymkolwiek, po co przyjechał. Ale w ustach wciąż czuła gniew.

– Z wyjątkiem tego, że kompletnie straciłam poczucie tożsamości, to tak, wszystko dobrze.

Nadal miał uniesione brwi, ale na jego twarzy odbiły się przygnębienie i zakłopotanie.

– Z powodu... tego, co powiedziałem w Ditch Plains?

– Można by rzec, że miało to pewien wpływ.

– Oczywiście – powiedział powoli. Potarł dłońmi twarz. – Ze sto razy odtwarzałem w pamięci tę rozmowę. Posłuchaj, myślałem, że wiesz. Albo że przynajmniej podejrzewasz. Sądziłem, że właśnie dlatego przyjechałaś spotkać się ze mną.

Nawet teraz Mattie nie potrafiła się zdecydować, by zakończyć tę sprawę. Jej przewrotna część chciała usłyszeć, co miałyby wiedzieć, co podejrzewać. Jej druga część w gruncie rzeczy tego nie chciała.

– Przyjechałam, bo mnie zaprosiłeś – odrzekła. – I zastanawiam się, dlaczego to zrobiłeś. Dlaczego w ogóle nawiązałeś ze mną kontakt? Dlaczego to zacząłeś?

Rozmyślnie czy nie, Jonathan Dawes wrzucił granat w sam środek jej życia. To zniszczyło jej spokój i pewność siebie, a ta cholerna eksplozja nawet się jeszcze nie skończyła.

Wyglądał na znużonego, a zarazem bardziej pobudzonego. Położył dłonie na kontuarze pomiędzy nimi.

– Posłuchaj, mam ci wiele do wyjaśnienia. To sięga daleko w przeszłość. – Poruszył się zakłopotany. – Przez minione lata bardzo często o tobie myślałem. Gdy dorastałaś, kilka razy widziałem ciebie i twoje siostry w okolicy miasteczka, ale nigdy nie zbliżyłem się, by cię zagadnąć. Czekałem, aż będziesz dorosła, zdolna sama zdecydować, czego chcesz się o sobie dowiedzieć.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że jest coś, o czym miałabym się dowiedzieć – wtrąciła. – Tak było mi o wiele łatwiej.

Westchnął.

– Kiedy podszedłem do ciebie w Black Horse, zamierzałem tylko się przywitać i na tym poprzestać. To ty postanowiłaś przyjechać do Ditch Plains. Nie spodziewałem się tego.

Mattie się wyprostowała; niemal dorównywała mu wzrostem. Opuściła ręce

wzdłuż ciała.

– Ale czy chciałeś, żeby tak się stało?

Spuścił wzrok. Kiedy znów spojrzął jej w oczy, zorientowała się, że już inaczej o niej myśli.

– Bo wprowadziłeś wielki zamęt w moje życie – mówiła pospiesznie dalej. – I w życie moich rodziców. Mojej mamy, oczywiście, ale prawdziwy problem jest z tatą. I powinieneś być to wiedzieć.

– Nie wiedziałem...

Mattie porzuciła ostrożność – i tym razem uczyniła to w imię uczciwości.

– Być może tego nie przemyślałeś – powiedziała. – Nie twierdzę, że wiem, jakie miałeś intencje. Ale nie możesz się zachowywać, jakbyś tylko obserwował wszystko, co wydarzyło się między moimi rodzicami.

Urwała. Po chwili Jonathan Dawes skinął głową.

– Masz rację. Nie mogę.

– Ta sprawa zapewne ciebie też zraniła – rzekła Mattie, zaskoczona swoją śmiałością.

Był wyraźnie poruszony. Długo przyglądał się jej, usiłując ocenić, jak wiele ma powiedzieć. Nie był tak młody, na jakiego starał się wyglądać.

– Owszem. Co do tego też masz rację. – Rozejrzał się. Było tu cicho i spokojnie. W oddali, za polami, przejeżdżające samochody połyskiwały w świetle słońca. – Czy moglibyśmy gdzie usiąść i porozmawiać?

– Możemy porozmawiać tutaj – odparła i pomyślała przelotnie o zadziwiającej magii farmy Reese'ów, skłaniającej do szczerości.

– Dobrze – zgodził się. Spojrzął w niebo, a potem w dół, na pylistą ziemię. – Postąpię zupełnie nieroztropnie i powiem ci prawdę. Kochałem twoją matkę. W tamtym okresie nienawidziłem twojego ojca. I nie potrafiłem pogodzić się z tym, że nie mogę być z nią i z tobą.

Zajrzyj do następnego pudełka. Mattie zrozumiała teraz przyczynę nieroztropności Dawesa. Ale w tym momencie z jakiegoś powodu poczuła się całkiem odmiennie od niego: nieskończenie stara, zdolna pojąć wszystkie sekrety i możliwości.

– Dlaczego nie mogłeś?

Potrząsnął głową.

– To była totalna katastrofa. Nie wiem, jak wiele z tego wiesz.

– Niedużo.

– A jak wiele chcesz się dowiedzieć?

– Więcej. Dlaczego ty i moja mama nie mogliście być razem? Po tym, jak oni się rozstali?

Nawet głos Mattie miał w sobie leniwy spokój, brzmiał pewnie i zdecydowanie.

– Po twoich narodzinach małżeństwo twoich rodziców się rozpadło. Lila chciała odejść, ale Robert jej nie pozwolił. To był straszny okres. – Jonathan Dawes podniósł wzrok, jakby spoglądał na jakieś wspomnienie. – Quinn zobaczyła nas kiedyś razem, twoją matkę i mnie. Ilekroć o tym myślałem, czułem się okropnie. Była taka mała, nie sądzę, żeby to zapamiętała, ale ten jej wzrok wtedy...

Mattie skinęła głową. Dobrze знаła ten wzrok i wątpiła, by Quinn cokolwiek zapomniała.

– W każdym razie Roberta doprowadzało do szału to, że Lila chce go porzucić. Jakby uważał, że posiada ją na własność. Wciągnął w tę sprawę swoich prawników. Pragnął ukarać Lilę. Kiedy się dowiedział, że ona i ja jesteśmy w moim mieszkaniu, zgłosił na policję podejrzenie o przemoc w rodzinie.

– Boże.

– Trzej policjanci wtargnęli do mojej sypialni. Na podstawie fałszywego zarzutu Roberta zabrano mnie na posterunek w Montauk. Po East Endzie zaczęły krążyć plotki. Potępiano Lilę za zdradę.

– O niczym nie wiedziałam.

– To był dopiero początek. Lila pogodziłaby się ze wstydem. Ale chodziło o was, córki. Robert zagroził, że was jej odbierze. I rzeczywiście to zrobił. Przez sześć dni trzymał was wszystkie w hotelu na Manhattanie, a wasza matka szalała z rozpaczy, nie wiedząc, gdzie jesteście. W końcu sędzia polecił mu przywieźć was z powrotem do Wainscott. To było w lecie. Sędzia zdecydował, że pozostaniecie w tym domu, a wasi rodzice będą tam mieszkać na przemian co drugi tydzień.

To wyjaśniało kilka kwestii. Czy Emma cokolwiek z tego pamiętała? A Quinn?

Jonathan Dawes przerwał. Potarł oczy. Gdy wracał pamięcią w przeszłość, jego twarz zdawała się starzeć.

– A ja zrobiłem coś głupiego. Spróbowałem zyskać prawa rodzicielskie do ciebie. Oczywiście kiedy się urodziłaś, twoi rodzice byli małżeństwem. Twój ojciec prędzej by skonał, niż choćby dopuścił do siebie myśl, że możesz nie być jego córką. Nie miałem żadnej podstawy prawnej, ale przepełniał mnie gniew. Nie potrafiłem wtedy zaakceptować tej sytuacji. Nawet twoja matka błagała, żebym dał temu spokój, dla twojego dobra. Właśnie to w końcu nas poróżniło.

Mattie skinęła głową. Odetchnęła głęboko. Potem jeszcze raz. Spojrzała na Jonathana Dawesa i ogarnęło ją współczucie dla niego. Jej świat przynajmniej nabrał nieco sensu.

Było już niemal ciemno, gdy Dawes skończył opowieść. Nawet jeśli rzeczywiście przyjechał po jakiś produkt rolny, najwyraźniej już go nie potrzebował.

– No cóż. – Westchnął. Zdawało się, że chce podejść do Mattie, jednak się nie odważył. – Przebacz mi – rzekł cicho. Odwrócił się i ruszył z powrotem do

swojego samochodu. – Może prawda cię wyzwoli, Mattie.

Dziewczyna powoli, sumiennie zamknęła na noc stragan i poszła do domu, przez całą drogę prowadząc rower. Pragnęła możliwie jak najdłużej pozostać w zawieszaniu pomiędzy tymi dwoma miejscami.

Rozmyślała o ogorzałej od słońca twarzy Jonathana Dawesa, o jego wysiłkach, by zachować młode ciało, i jego znużonej pasji surfowania. Utknął, zagubił się. Jak każdy, nieprawdaż? „Może prawda wyzwoli nas wszystkich” – pomyślała.

W przeddzień przyjęcia Quinn przystanęła przed domem Myrny z wiśniami, które dla niej przyniosła. Zastała ją jeszcze w szlafroku.

– Dobrze się czujesz? – spytała.

– Świetnie, kochanie. Po prostu się przeziębiam. Zwykła rzecz.

Quinn podeszła i dotknęła jej miękkiego policzka. Myrna przyjrzała się jej przenikliwie.

– Ty sama nie najlepiej wyglądasz, Quinn.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Nic mi nie jest. Zaparzę ci herbatę. A te wiśnie mają dużo witaminy C.

– Z rozkoszą napiję się herbaty.

Quinn napełniła czajnik z kranu przy zlewie.

– Ale obawiam się, że nie będę w stanie przyjść jutro na przyjęcie – dodała Myrna.

Quinn postawiła czajnik.

– Och. Naprawdę? A gdybym przyjechała po ciebie samochodem?

– Nie ma potrzeby, żebyś się fatygowała.

– Więc może zajrzę jeszcze dziś, po lunchu, i zobaczę, czy będziesz mogła przyjść?

– Nie, kochanie. Naprawdę. Zajmij się sobą i nie martw się. Po prostu przynieś mi kawałek swojego tortu, kiedy to wszystko już się skończy.

Przekazanie domu wypadło w południe, jak zawsze, a przyjęcie zaręczynowe Emmy i Jamiego zaczynało się o czwartej. Ray pierwszy raz w życiu miał opuścić swój dom jako jego mieszkaniec i wrócić cztery godziny później jako gość.

Cały teren wyglądał na koszmarnie zaniedbany. Raya to martwiło. Nie był przesadnie porządnicki, uznawał jednak podstawowe standardy. Przez umysł przemknął mu obraz jego sypialni w Brooklynie. No dobrze, bardzo podstawowe.

O czwartej rano obudziła go myśl o Robercie i Evie (i Sashy!), którzy zjawią się w domu pozostawionym przez Lilę w tak opłakanym stanie i będą mieli tylko niecałe cztery godziny, żeby go wysprzątać. Wciąż wyobrażał sobie wyraz rozczarowania na twarzy Roberta, chociaż nigdy nawet jej nie widział, rozczarowanej czy nie.

Dlatego teraz krążył na kosiarce marki John Deere (szerokość cięcia 105 centymetrów, zerowy promień skrętu), którą wypożyczył z firmy Power Equipment Plus w East Hampton, i zaciekle kosił trawnik.

Nie potrafił gładko ścinać obrzeża jak profesjonaliści, ale lepsze to niż nic.

Jego mama i Adam ulotnili się, zanim wrócił z kosiarką, co prawdę mówiąc, cała czwórka jej dzieci przyjęła z ulgą. Oboje nie pojechali aż do Brooklynu. Mieli zjeść lunch u babki Hardy w Oyster Bay, a potem przywieźć ją na przyjęcie.

Ray planował, że przed powrotem na tę imprezę weźmie prysznic i przebierze się w domu swojego przyjaciela Frasiera, teraz jednak martwił się, że nie zdąży w porę skosić trawnika.

Nigdy dotąd nie został w domu po godzinie przekazania. Zawsze poniekąd wyobrażał sobie, że w każde niedzielne południe dom znika, rozplywa się w powietrzu, a później migotliwie pojawia się ponownie, nieco odmieniony.

Poza tym Raya jak zawsze dręczyła myśl o konieczności szybkiego wymknięcia się stąd niczym banita, podczas gdy jego siostry zostaną tu i będą obserwować metamorfozę domu. Wyobrażał sobie, że one też podlegają tej przemianie. Z wybiciem dwunastej w południe stają się częścią innej rodziny.

A co, gdyby po prostu dalej kosił, już po dwunastej, kiedy zjawi się ta druga rodzina? Mógłby udawać pracownika firmy ogrodniczej. Oni go nie znają, więc nie rozpoznaliby go. A przynajmniej nie Robert i Evie.

Gdy omijał podjazd, zobaczył, że z frontowych drzwi wyszła Mattie w piżamie.

– Co robisz? – zawołała, przekrzykując warkot kosiarki.

– Koszę trawnik.

– Widzę. To wspaniale. Skąd zdobyłeś kosiarkę?

Ray zahamował i wrzucił na luz.

– Wypożyczyłem.

– Naprawdę?

Udał urażoną minę.

– Posłuchaj, mam robotę.

– Jak przywiozłeś tu tę kosiarkę?

– Wynająłem od nich przyczepę.

– I czym ją przyholowałeś?

Ray zaczął się czuć mniej dumnie, a coraz bardziej głupio.

– Samochodem, który wypożyczyłem w innej firmie.

Wrzucił bieg i odjechał, zanim Mattie mogłaby zadać mu jeszcze jakieś pytania. Prawdę mówiąc, cała ta sprawa kosztowała go więcej kasy, niż zarobił przez tydzień w Black Horse.

Później, kiedy zatrzymał się przy ogrodzeniu basenu i ocierał pot z twarzy, przez trawnik przemknęła Quinn i wskoczyła na tył kosiarki. Był całkiem pewien,

że to nie jest dwuosobowy pojazd, ale siostra skuliła się zgrabnie jak cykada i przycupnęła zwrócona plecami do Raya. Przejechał od stawu do basenu, a potem od tarasu do skraju lasu.

Lubił jej towarzystwo. Odwrócił się, spojrzał na nią i się uśmiechnął. Hałas silnika uniemożliwiał jakkolwiek rozmowę. Quinn trzymała w zębach źdźbło młodej trawy niczym farmer z dawnych czasów. Jeździli tam i z powrotem, tam i z powrotem.

Od czasu do czasu szturchała go łokciem w plecy.

– Nie tam. To koniczyna – mówiła, a on ostro skręcał i omijał ją.

Kiedy skończył, siostra zeskoczyła z kosiarki. Po hałasie silnika cisza wydawała się jeszcze głębsza. Ray czuł intensywny, wilgotny zapach trawy.

– Zaczekaj. Dlaczego masz taką minę? – zapytał.

– Jaką?

Niewątpliwie szelmowską.

– Taką.

– No dobrze – powiedziała. – Chodź ze mną.

Podążył za nią do szopy, w której trzymano stare rowery i narzędzia ogrodnicze. Pchnięciem otworzyła drzwi i Ray zajrzał do ciemnego wnętrza. Prawie nie musiał czekać, aż jego wzrok przywyknie do mroku, żeby to zobaczyć, gdyż było tak lśniące i nowe. Kosiarka marki John Deere o szerokości cięcia 135 centymetrów i zerowym promieniu skrętu.

– Cholera – rzucił.

– Mój tata kazał dostarczyć tę kosiarkę dziś rano – wyjaśniła Quinn z uśmiechem i wzruszyła ramionami. – Przywieźli ją, kiedy cię nie było.

Kto sieje wiatr...

No dobrze, Mały Rayu, raz kozie śmierć.

Sasha zobaczyła tekst Raya w momencie, gdy z parteru dobiegł ją odgłos otwierania drzwi przez pierwszych gości, i serce podskoczyło jej w piersi.

Stała u szczytu schodów i spojrzała w dół. Właściwie trudno byłoby nazwać ich gośćmi. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami najpierw zjawili się współgospodarze domu, zanim z lotniska przyjadą Hurnowie.

– Halo! – zawołała Lila, otwierając drzwi wejściowe.

Trudno przecież oczekiwać, żeby pukała do drzwi własnego domu, prawda? Domu kupionego przez jej pradiadka. Zwłaszcza w obecnej sytuacji.

Sasha wzięła wdech i cofnęła się o krok na podeście, mając nadzieję, że nikt jej jeszcze nie spostrzegł. Potrzebowała chwili, żeby się przyjrzeć, poobserwować, sama nie będąc widzianą.

Lila weszła pierwsza, wysoka i władcza. Ale Sasha już zobaczyła drobne plamy potu pod pachami jej białej płóciennej sukienki. Jasnoszare proste włosy Lili były ładnie, równo obcięte. Nosiła spiczaste beżowe czółenka i cienkie przezroczyste pończochy. Saszę dziwnie zaintrygował widok bladych pomarańczowych piegów pokrywających jej łydki, stopy, ręce i inne odsłonięte części ciała. Wielokrotnie wyobrażała sobie Lilę, jednak nigdy z piegami.

Poczuła się w porównaniu z nią śniada, o cerze zbyt ciemnej, by mieć piegi.

Drugi wszedł Adam. Okazał się niższy, niż sobie wyobrażała. Właściwie nie był niski, ale zajmował mniej przestrzeni. Miał siwe, sztywne jak drut włosy zwijające się za uszami. Nosił niebieską marynarkę oraz okulary w okrągłej drucianej oprawce jak Lew Trocki.

Potem wszedł Ray. Sasha musiała się opanować, żeby móc na niego spojrzeć. Był o pół głowy wyższy od ojca, ale nie miał władczej miny Lili. Wydawał się rozbawiony, zdenerwowany, trochę nieufny. Wyczuwała, że serce bije mu mocno. Starła się zobaczyć go jako odrębną osobę, beznamiętnie i wyraźnie, lecz to nie było łatwe. Jak mógłby pomieścić w sobie wszystko, co od dawna czuła wobec niego?

Zerknął w górę, jakby wiedział, że ona tam jest. Nie odezwał się, tylko patrzył na nią z uśmiechem i lekko wzruszył ramionami. Nie zarzucił jej, że go szpieguje, ale Sasha wiedziała, że pora już zejść. Spoglądała na niego z porozumiewawczym uśmiechem; starała się zachowywać z taką samą rezerwą jak on. Chociaż była zdenerwowana, nie odwróciła wzroku.

Zeszła po schodach w momencie, gdy z salonu wyłonili się jej tata i mama; świadoma swojej zielonej jedwabnej sukienki ocierającej się z szelestem o kolana, przytłumionego srebrzystego połysku pantofli.

„A więc to już”.

Znów popatrzyła na Raya. To było dla niej pocieszające mieć tutaj swoje drugie ja. Chociaż niemal nic nie łączyło jej fizycznie z Rayem, z jego ciałem, odnosiła wrażenie, jakby oboje przyglądali się swoim rodzicom tymi samymi oczami.

Robert uczynił pierwszy ruch. Uścisnął dłoń kolejno Adamowi i Rayowi. W tym czasie Lila podała rękę Evie, potem Sashy. Sasha zastanawiała się, czy dłonie innych są równie spocone i zimne jak jej. Padły formułki: „Witajcie” i „Miło was widzieć”.

Sasha była boleśnie świadoma tego, jak krzykliwą czerwienią bije w oczy sukienka jej matki przy beżowej sukience Lili, jak jaskrawoczerwona wydaje się szminka Evie w porównaniu ze zwykłym błyszczkiem mamy Raya. Znowu ogarnęły ją sprzeczne uczucia, tchórzliwość walczyła w niej z zawstydzaniem. Zastanawiała się, czy Lila zaaprobuje jej sukienkę. Tak, prawda? A czy zaaprobuje sukienkę Evie? Nie. Możliwe, że później nawet będzie się z niej naśmiewać.

Co gorsza, Sasha wyczuwała niezaprzeczalną siłę pewności siebie Lili, jej fundamentalne poczucie zakorzenienia, bycia na swoim miejscu. Sukienka Evie prawdopodobnie kosztowała dziesięć razy więcej, ale to Lila miała prawdziwą klasę, wiedziała, jak wyglądać, jak się zachować. Z samej postawy Lili można było poznać, że to wciąż jest jej dom, że nadal w gruncie rzeczy należy do jej rodziny, bez względu na to, jak bardzo Robert starał się stworzyć odwrotne wrażenie.

Wszyscy pozostali się cofnęli i nadszedł moment, by Robert i Lila przywitali się ze sobą. Ale oni tego nie zrobili. Czas zwolnił i zgęstniał. Lila przechyliła głowę na bok i zasznurowała usta. Robert zacisnął szczęki i objął ramieniem Evie. Sasha poczuła na obojczyku dotyk jego drugiej dłoni, nie mocny i władczy, jak by się spodziewała, lecz lekko drżący. To również nią wstrząsnęło.

Czuła się zbyt spięta, by nadal patrzeć na ojca. Wskutek obecności Lili postrzegala go innymi oczami, a nie była pewna, czy tego chce.

Robert stanął tak, że jego zwalista postać zajmowała całą przestrzeń, w której hol otwierał się na resztę domu – niczym odźwierny. Było nieuniknione, że Lila wejdzie dalej, ale on zachowywał się, jakby miał prawo powiedzieć jej, kiedy może to zrobić.

Sasha rzuciła szybkie spojrzenie na Raya i zobaczyła na jego twarzy odbicie własnego niepokoju. Oboje do tego stopnia stanowili jedność, że dopiero teraz przypomniała sobie nagle, że się nie przywitali. Sytuacja była tak napięta, że jak się zdawało, nikt nie zwracał na nich wielkiej uwagi. Sasha odwróciła się, zrobiła krok ku niemu i wyciągnęła rękę.

– Cześć, Ray – powiedziała.

– Czy ktoś ma ochotę na drinka? – zadudnił Robert.

Odwrócił się i zszedł po trzech schodkach do salonu. I tak to się skończyło.

Robert zdecydował, kiedy Lila może wejść.

Jak mogliby przywitać się ze sobą? Nie mogli. To była odpowiedź.

Cała czwórka rodziców przeszła przez hol do salonu. Ray jeszcze przez chwilę przytrzymał rękę Sashy.

– Cześć, Sasha – rzekł wreszcie.

Z kuchni wyszła Quinn. Miała na sobie turkusową tunikę z indiańskim wzorem; jej cienkie włosy były mniej rozwichrzone niż zwykle, z gałązką jaśminu wetkniętą nad uchem. W jej nosie – mimo żądania taty, żeby jej nie nosiła – lśniła wkluta srebrna kropka. Ale na twarzy Quinn widniał wyraz zatroskania i niepokoju. Wzrok miała tak nieobecny, jakby widziała jakiś inny dom, inne przyjęcie.

Uściskała Sashę, chociaż widziała ją dziesięć minut wcześniej. A potem Sasha zobaczyła, że Quinn obejmuje na powitanie Raya.

W dzieciństwie Sasha była zazdrosna, kiedy Quinn mówiła o Rayu. Dręczyła ją zazdrość, gdy siostra opuściła ich dawne mieszkanie na Osiedzi Pierwszej Ulicy i wróciła do Brooklynu. Wiedziała, że Ray tam mieszka i że jej strata Quinn będzie zawsze jego zyskiem. Wiedziała, że Quinn kocha Raya. Wiedziała o tym, a teraz po raz pierwszy to zobaczyła: przez chwilę zatroskany, nieobecny wyraz twarzy Quinn zastąpiły czułość i radość bycia w jego towarzystwie, a on w odpowiedzi się rozpromienił. Jednak patrząc na to, Sasha nie odczuwała już zazdrości.

Ujrzała z zewnątrz, co sama posiada, i ogarnęło ją szczęście, że w rodzinie takiej jak ich obydwoje doświadczają takich uczuć. W rodzinie, w której zawsze było za wiele, a nigdy dość, Quinn była ich wspólnym cudem. Wpływała na ich oboje dyskretnie, ale przemożnie. To dzięki niej Sasha i Ray tak dobrze się rozumieli.

Jak dziwnie i jak cudownie mieć swoje drugie ja.

Kiedy Ray poprzednio zobaczył Sashę, już po dziesięciu minutach od rozstania z nią nie potrafił sobie przypomnieć, jak ona wygląda. Właśnie dlatego teraz tak bardzo go to uderzyło. Czuł się wytrącony z równowagi, spanikowany. Obawiał się, że jeśli choćby skręci za róg, znowu ją straci.

Poprzednim razem jej sylwetka w niedbałym stroju, widziana w słabo oświetlonym korytarzu, wydała mu się po części tworem jego rozigranej wyobraźni. Wtedy Sasha była dla niego jeszcze kimś nieznanym o nieznanym cechach.

Teraz po prostu gapił się na nią, uwięziony w martwym punkcie na styku pożądania i zahamowań. Bładozielona sukienka Sashy opowiadała o jej delikatnym zgrabnym i smukłym ciele – opowiadała lepiej, niż mógł to uczynić jego rozpalony umysł.

Sasha rozmawiała z siostrą Jamiego. Ray ledwie mógł na nią patrzeć, ale nie potrafił patrzeć nigdzie indziej.

Hamulce jego zahamowań nie działały zbyt dobrze, prawda? Usiłował się skupić na tym, co mówił do pana Folkesa, ich sąsiada mieszkającego przy szosie Eel Cove, lecz wciąż gubił wątek. Pan Folkes był bardzo stary i sklerotyczny, więc przynajmniej do siebie pasowali.

„Sasho/Rayu, czy to rzeczywiście ty? Czy jin mojego jang może naprawdę tak wyglądać? Sprawiać, że tak się czuję?”

Przez taras i staw powiał niesamowity wietrzyk. Obok Raya przeszedł Robert i zmierzył go spojrzeniem od stóp do głów, a hamulce Raya znów zaczęły działać.

Tuż przed początkiem przyjęcia Emma zaczęła nieśmiało podawać w wątpliwość całą jego ideę jako testu. Przyszła jej do głowy niebezpiecznie zwodnicza myśl: „A jeśli to przyjęcie jest właściwie rozrywką?”

Czuła się pewnie w brzoskwiowo-różowej sukience. Jamie tuż przed przybyciem jego rodziców pocałował ją namiętnie za żywoplotem. Pomyślała wtedy: „Cóż, może to naprawdę jest nasze przyjęcie i powinniśmy tylko pokierować nim i dobrze się bawić”.

Jej siostry włożyły całą swoją energię i entuzjazm w przygotowania, tak aby wszystko wypadło ładnie. Rodzice Jamiego sprawiali wrażenie przyzwoitych i przyjaznych. Początkowo.

– Czy możesz powiedzieć coś barmanowi? Żeby nie podawał mojej matce następnego džinu z tonikiem, dobrze? – szepnął do niej nagląco Jamie, gdy mijał ją, wleczony pod ramię przez babkę Hardy.

Emma rozejrzała się wokoło. Susan Hurn stała metr od prowizorycznego baru; trzymała w ręce wysoką szklankę z limonką i rozmawiała z ożywieniem z Evie. Ojciec Jamiego i tata Emmy stali przy basenie, dyskutując o golfie, wędkowaniu, domowych naprawach lub czymś podobnym. Tata wciąż zamazyście gestykułował.

Na zachodzie zbierały się wyraźnie szare chmury i zaczął wiać porywisty wiatr. Goście zabezpieczali papierowe talerze i serwetki, stawiając na nich szklanki i butelki.

Emma przelotnie spostrzegła swoją matkę, która stała w pobliżu domu z talerzem nietkniętego jedzenia i zdawała się ledwie nad sobą panować. Towarzyszył jej pełen troski Adam. Emma wiedziała, że on też wyczuwa niebezpieczeństwo.

Martwiło ją, że Hurnowie zdawali się lekceważyć i ignorować Lilę. Czy z powodu tej głupiej notki na wytłaczanym papierze listowym? Czyżby Lila w ogóle na nią nie odpisała? Widocznie wyczuli jej niechęć wobec pomysłu urządzenia przyjęcia. Emma podsłuchiwała ubiegłego wieczoru, jak Jamie mówił przez telefon do swojej matki: „Ona się do tego przekona”.

Weszła do domu i zobaczyła Quinn, która dekorowała kwiatami upieczony

przez siebie tort. Mattie ubrana jak zakonnica – mówiąc nieco w przenośni – i nietypowo dla siebie nieśmiała przyrządzała napoje. Grupka przyjaciółek z Uniwersytetu Princeton zmierzała w stronę stawu.

„Chciałabym, żeby to przyjęcie już się skończyło” – pomyślała Emma.

Obserwowała, jak matka Jamiego zrobiła krok w kierunku baru i zamówiła jeszcze jednego drinka u przyszczonego chłopaka z sąsiedztwa odgrywającego rolę barmana.

Zastanawiała się, jak ma postąpić. Czy powinna wyjąć szklankę z dłoni przyszłej teściowej? Kobiety, z którą jak dotąd zamieniła najwyżej pięć zdań? Taka grożąca wywołaniem niesnasek ingerencja wydawała się niewłaściwa na tak wczesnym etapie ich stosunków.

„Dlaczego Jamie nie wspomniał, że jego matka nie lubi wylewać za kołnierz?” – pomyślała niezycyliwie. Przecież już wcześniej musiały być tego oznaki, prawda? Gdyby tylko zwróciła na nie uwagę. Gdyby postanowiła zapytać Jamiego.

Czy on chciał, żeby o to zapytała?

Emma nigdy nie była osobą wyrozumiałą, jednak aż do teraz nie miewała takich krytycznych myśli o Jamiem.

Usłyszała władcze brzęknięcie widelcem o kieliszek. Jej ojciec też śledził sytuację. To był krępujący, ale niezbędny krok na drodze do uporania się z tym przyjęciem. Posłała Jamiemu ostrzegawcze spojrzenie. „Zaczyna się”.

Ojciec stanął pośrodku tarasu, mając obok siebie Evie. Jeszcze raz brzęknął w kieliszek i goście zaczęli powoli napływać ku niemu. Jamie usadowił babkę Hardy w solidnym fotelu i podszedł sprawdzić, co z matką. Jego ojciec już znalazł dla niej krzesło. Siostra Jamiego, Grace, sprawiała wrażenie zaniepokojonej.

„Wy mieliście zachowywać się normalnie” – pomyślała Emma.

Lila nadal trzymała się z tyłu, w pobliżu domu, zastanawiając się, czy uczestniczyć w przyjęciu. Nikt nie chciał jeść przygotowanej przez nią sałatki fasolowej.

Z domu wyłoniła się Mattie i szerokim łukiem ominęła Lilę. Przez szklane rozsuwane drzwi kuchenne wyszła Quinn, niosąc swój tort obramowany kwiatami polnymi, najbardziej uroczy poczęstunek ze wszystkich, i postawiła go na stole bufetowym. Sasha przystanęła zmieszana przy Evie; Ray stał z państwem Reese w cieniu altany.

Jamie pojawił się u boku Emmy i ujął ją za rękę. Zobaczyła plamy potu na plecach jego koszuli i załapała ją fala czułości.

– Na wstępie Evie i ja chcielibyśmy serdecznie powitać naszych gości – zaczął jej ojciec tubalnym głosem mówcy i objął żonę ramieniem.

Emma rzuciła niespokojne spojrzenie na matkę. Fakt, że ojciec ujął to w taki sposób, jakby był wyłącznym gospodarzem domu, jeszcze pogarszał sytuację.

– Zwłaszcza rodzinę Hurnów, która przybyła do nas aż z Ohio – ciągnął.

Nie wyglądał na zdenerwowanego, jednak zachowywał się sztywno. Zaczął się rozwodzić o tym, jak bardzo dumny jest z Emmy i Jamiego z powodu ich wzajemnego oddania i ich szacunku dla wspaniałej instytucji małżeństwa, bla, bla.

Rozległy się rzadkie oklaski, głównie najstarszych gości.

– Emmo, jesteś piękną, świetnie wykształconą młodą kobietą. – Ojciec uniósł kieliszek, a ona odpowiedziała tym samym gestem. – Jamie, przynosisz chlubę swojej rodzinie i naszej firmie.

– Dziękuję panu.

Zazwyczaj Emmie sprawiały przyjemność wszelkiego rodzaju wyrazy uznania, jednak bez tych mogłaby się obejść. Publiczne wygłaszanie prywatnych pochwał uważała zawsze za niestosowne. Tak czy owak, ojciec w gruncie rzeczy nie mówił tego z myślą o niej i Jamiem, lecz przede wszystkim mając na względzie siebie i Hurnów.

– Wznoszę toast za was oboje – zakończył.

Teraz zabrzmiały głośne oklaski, oklepane okrzyki „Brawo, brawo!” i wszyscy unieśli kieliszki.

Ojciec Jamiego, Stewart, podszedł do Roberta. Odchrząknął i odczekał, aż zapadnie cisza.

– Susan i ja pragniemy podziękować Robertowi i Evie za to, że przyjęli nas w swoim pięknym domu.

Emma oczekiwała, że podziękuje również Lili i Adamowi, lecz tego nie zrobił. Głędził jeszcze przez jakiś czas i zakończył kolejnym banałem:

– Chcielibyśmy też podziękować Robertowi za to, że ofiarował Jamiemu wspaniałą szansę pracy w firmie Califax i jeszcze wspanialszą szansę poślubienia jego córki.

Robert zareagował serdecznym śmiechem, a kilka osób zaśmiało się cicho z zakłopotaniem. Emma nie potrafiła nawet spojrzeć na matkę. Boże, to było okropne.

Czy Hurnowie nie zdawali sobie sprawy z sytuacji? Z tego, że nawet bez ich pakowania się w sam środek i dolewania oliwy do ognia, pomiędzy obiema stronami jej rodziny panuje olbrzymia wrogość. Emma posłała Quinn rozpaczliwe spojrzenie.

Quinn śmiało postąpiła parę kroków w kierunku gości.

– Proszę wybaczyć, panie Hurn, że panu przerywam, ale zanim zacznie pan mówić dalej, chciałabym wyjaśnić, że to także moja...

Ale było już za późno. Lila odstawiła swój kieliszek z winem na stół tak gwałtownie, że pękł. Oczy wszystkich zwróciły się na nią. To było skuteczniejsze niż zwykle brzękanie widelcem.

Lila nawet nie spojrzała na odłamki szkła.

– Mylisz się, Stewart – powiedziała, odsuwając się trochę od ściany domu. Emma nie potrafiła się zorientować, czy Lila zamierza mówić tylko do Stewarta i Roberta, czy do ogółu zgromadzonych. – Co do kilku kwestii.

Stała wyprostowana, a jej głos rozbrzmiewał na tyle donośnie, że docierał do wszystkich. Była niczym wiedźma, która zjawiała się, by rzucić klątwę na to planowane małżeństwo. A jednak Emma w tym momencie współczuła właśnie wiedźmie.

Jamie mocno ścisnął dłoń Emmy. Czowała się jak sparaliżowana.

– Nie wiem, co powiedział ci Jamie, ale to nie jest dom Roberta. Mój dziadek zbudował go na ziemi kupionej przez jego ojca. Owszem, jesteś gościem Roberta, lecz także moim. Robert nie jest właścicielem ani tego domu, ani Emmy.

Jamie próbował coś powiedzieć, ale Robert go uciszył. Ojciec Emmy teraz wprost kipiał ze wściekłości i ledwie nad sobą panował. Przeraziła się, widząc go w takim stanie.

– Chciałbym wyjaśnić – powtarzał wciąż; nawet nie spojrzał na Lilę, zwracał się tylko do nieszczęsnego Stewarta Hurna.

Emma wyczuwała zażenowanie towarzystwa zebranego na tarasie, gdy tata zaczął opowiadać panu Hurnowi, jak kupił od ciamajdowatego ojca Lili ten dom, zanim bank przejąłby go z powodu niespłaconych długów. Czy nieszczęśni goście mieli dalej tego wysłuchiwać?

Do Emmy ledwie docierał sens słów ojca. Odbierała głównie skumulowaną siłę jego gniewu, jakby Robert czekał dwadzieścia lat, żeby dać mu upust.

Nawet Lila zdawała się wstrząśnięta, jednak nie zamierzała się cofnąć.

– Wtedy jeszcze byliśmy małżeństwem. Odkupiliśmy go od niego wspólnie.

Emma nie mogła uwierzyć, że jej rodzice wyrzucają to z siebie tutaj, na oczach wszystkich. Czy zupełnie nie potrafili się opanować? Właśnie tego się obawiała, a jednocześnie wydawało się jej to absurdalne i niewyobrażalne.

Jej ojciec w końcu zwrócił się do Lili i Emma nie potrafiła dłużej na niego patrzeć. Serce zamarło jej w piersi i zdawało się, że już nigdy nie zacznie znowu bić. Ojciec, jak się spodziewała, demonstrował gorycz i wstręt, ale jego zachowanie miało też inne cechy, jakich dumny, dbający o swój publiczny wizerunek Robert Thomas nie powinien chcieć przed nikim ujawniać.

– Byliśmy małżeństwem? Czyżby? Nie postępowałaś jak żona – rzucił.

Emma po raz pierwszy usłyszała w jego głosie nutę mglistego, naiwnego cierpienia. Zauważyła bezwiednie, że większość gości taktownie wymyka się z tarasu. Wlekli się w stronę pomostu albo znikali we wnętrzu domu. Nie chcieli być świadkami tego koszmarnego, gwałtownego incydentu.

– Tato – powiedziała cicho Sasha.

Lila przyciskała obie dłonie do szyi. Jej skóra straciła zwykły kolor.

– Dlaczego to robisz? – spytała.

Jamie wszedł w pełną napięcia przestrzeń między obojgiem jej rodziców. Emma prawdopodobnie powstrzymałaby go, gdyby była w stanie jasno myśleć.

– Odłóżmy to chwilowo na bok – powiedział cichym, opanowanym głosem – w imię tego, co jak mamy nadzieję, będzie przyszłym szczęśliwym wydarzeniem.

Emma wiedziała, że Jamie zawsze odruchowo skłonny jest postąpić właściwie, a gdy nie wiadomo, co jest właściwe, zrobić cokolwiek.

Popatrzyła na matkę, szukając w jej twarzy choćby śladu rozsądku, lecz go nie znalazła.

– Proszę, nie wtrącaj się w to, Jamie – rzekła Lila ostrym tonem.

Sasha z głębokim bólem przyglądała się temu zajściu; od czasu do czasu podnosiła wzrok na niebo zasnuwane chmurami burzowymi.

Już dawno chciała stąd uciec, ale Evie ścisnęła jej rękę tak mocno, że Sasha niemal całkiem straciła w niej czucie.

Przypomniała sobie, że kiedy w dzieciństwie miano jej założyć szwy albo zrobić zastrzyk, Evie mawiała do niej: „Ściśnij moje palce tak mocno, aż zaboli”.

Zobaczyła, że Jamie, sztywno wyprostowany, przeniósł spojrzenie z surowej, zaciętej twarzy Lili na gniewną twarz Roberta. Potem odwrócił głowę ku swojej matce, która wstawiała z krzesła kilka metrów od miejsca, w którym stała Sasha, i po prostu zgarbił się przygnębiony.

Sasha widziała tylko fragment twarzy Susan Hurn, ale zorientowała się, że kobieta jest niezdecydowana i wściekła. Matka Jamiego wymamrotała gwałtownie kilka niezrozumiałych słów pod adresem Lili, a potem rzekła głośno zjadliwym tonem:

– Nie waż się mówić mojemu synowi, co ma robić.

– Susan – szepnął jej mąż.

– Cholera – mruknął pod nosem Jamie.

Jego matka już stała wyprostowana; machała ręką i obrzucała Lilę mnóstwem szokujących oskarżeń.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – spytała na koniec.

„Och, mój Boże” – jęknęła w duchu Sasha i rzuciła ukradkowe spojrzenie na Raya.

Lila była zbyt osłupiała, żeby zareagować. Gniew Roberta w końcu się wypalił, lecz było już za późno. Sasha mogłaby przysiąc, że dostrzegła na twarzy ojca cień poczucia winy wobec Lili. No cóż, oboje zasiali wiatr, a teraz zbierali burzę.

W tym momencie Sasha nienawidziła ich, a jednocześnie im współczuła. Ale Emmę kochała. Jej współczuła o wiele bardziej.

– Pijana suka.

Sasha wzięła ostry wdech. Usłyszała, jak srebrne sztucce z brzękiem spadły na podłogę. Początkowo nie mogła się zorientować, kto to powiedział, ale

oczywiście to była Mattie. Mattie, która niewątpliwie przed chwilą płakała.

„Och, mój Boże”. Sasha wolną dłonią zakryła sobie usta.

Grace, siostra Jamiego, pociągnęła matkę za rękę. Ona także płakała.

Susan Hurn odepchnęła córkę, cofnęła się o krok i przewróciła cały stół bufetowy. Porcelana, szkło i srebro runęły z hukiem na kamienne płyty tarasu. Z blatu spływał potok naczyń i potraw. Kilka kilogramów sałatki z homarów wpadło w górę sałatki fasolowej. Bułki potoczyły się po ziemi, a kawałki melonów rozprysnęły się na wszystkie strony.

Zapanował chaos, ale Sashy i Rayowi jednocześnie przyszło do głowy to samo. Tort Quinn z kwiatami – ogrodowymi, które wyhodowała z nasion, i polnymi, które starannie zebrała – ułożonymi wokół i na szczycie, z delikatnymi płatkami wetkniętymi pieczołowicie w miękkie ciasto. Ten tort miał w sobie szczególną magię Quinn. Stał na stole, który właśnie się przewracał.

Tort zdawał się wzlatywać w górę, gdy obydwójce biegli do niego z przeciwnych stron stołu. Sasha spostrzegła jakby w zwolnionym tempie, że tort nie jest cały. Brakowało w nim jednego idealnie trójkątnego kawałka.

Oboje równocześnie sięgnęli po tort, jednak żadne z nich nie na tyle szybko, by go uratować. Sasha patrzyła z rozpaczą, jak obrócił się i spadł; jego magiczna aura, cukier i masło spłynęły powoli na kamienie.

„Czy to się dzieje naprawdę? Proszę, niech to się nie dzieje”.

Ray był zanadto zły na mamę, żeby jej współczuć. Po raz pierwszy Robert wydał mu się trywialny. Nie obchodziły go cholerna zwariowana matka Jamiego, jedzenie na podłodze ani odłamki szkła zaścielające cały taras. Chociaż gdyby ojciec Jamiego podszedł jeszcze o krok bliżej do Lili, Ray osobiście rąbnąłby go pięścią w twarz.

Obchodziły go natomiast podejmowane przez Sashę niepewne próby pocieszenia ich idiotycznych rodziców i odważne usiłowania Quinn pogodzenia ich, na które z pewnością nie zasługiwali.

Żałował też pięknego tortu Quinn, miazdzonego teraz bezmyślnie stopami umykających gości i roznoszonego na podszewkach ich butów we wszystkie cztery kąty tarasu, a nawet dalej.

Dobrze, jeśli ich rodzice przezwyciężą choćby niektóre zasadnicze wzajemne urazy, ale czym zawiniła Quinn? Dlaczego Sasha musiała na to patrzeć? I on?

Na twarzy jego matki wciąż płonął zaciekle gniew. Ray mógłby naprawdę stanąć w płomieniach, a ona by tego nawet nie zauważyła. Ale uroczą młodą Sashę zgarbiła się ze smutku i z przygnębienia. Dlaczego najbardziej ucierpieli zwykli spokojni ludzie? Podobnie jak we wszystkich okropnych długotrwałych wojnach, tak i w tej uczestniczyli i ponosili ofiary również ci, którzy nie żywili do nikogo żalu ani pretensji – i właśnie najbardziej niewinnych spotykało najgorsze.

„Ponieważ my pragniemy pokoju pośród dorosłych, a oni wciąż chcą

wojny”.

Ray zastanawiał się, dlaczego on i Sasha ciągle muszą tak bardzo się tym przejmować. Dlaczego muszą nadal kochać tych ludzi, mimo ich egoizmu i pędu do destrukcji? Byłoby lepiej, gdyby oboje mogli po prostu zrezygnować. Dlaczego nawet teraz muszą na nich liczyć? Czy w przyszłości będą skazani na dźwiganie tych samych żalów i uraz?

Popatrzył bezradnie na Saszę; nadal leżał pomiędzy nimi przewrócony stół bufetowy. Sasha stała oszołomiona i zrozpaczona obok wywróconego krzesła; z jakiegoś powodu ścisnęła w ręce torebkę Evie. Na jej miętowozielonej sukience widniała ukośna niczym szarfa plama jakiejś ciemnej cieczy. Czy Sasha obwini go o to, że stał po drugiej stronie tego katastrofalnego starcia? Zamknął oczy.

Otworzył je w porę, by ujrzeć z ulgą, że Hurnowie wychodzą, okrążając boczną ścianę domu. Ojciec Jamiego garbił się, przygnieciony ciężarem gniewu i wstydu; matka szła niepewnym krokiem. Grace miała twarz opuchniętą od żalnego płaczu.

Jamie ostatni raz przytulił Emmę, szepcząc jej do ucha, a potem oddalił się w ślad za swoją rodziną. Hurnowie z pewnością zamierzali zatrzymać się gdzieś w drodze powrotnej. Mieli tyle do omówienia.

Jak zebrać wszystkie kawałki tego, co się wydarzyło, tak by móc zapakować je i odesłać w przeszłość? Daleko minęli punkt, w którym można próbować udawać, że to wszystko się nie stało.

Emma zbierała z podłogi odłamki szkła i wrzucała je do szerokiej drewnianej salaterki. Kiedy się podniosła, Ray zobaczył, że makijaż ma rozmazany łzami. Wyglądała tak cholernie żałośnie.

Ale gdzie była Quinn?

Robert z ramionami skrzyżowanymi groźnie na piersi stał przy drzwiach, najwyraźniej czekając, aż przejdą przez nie Lila i Adam.

Ray usłyszał krzyki na trawniku przed domem. Nie wiedział czyje i w tym momencie nic go to nie obchodziło. Samochody przejeżdżały jeden za drugim zwirowym podjazdem i umykały na gładką szosę miasteczka. Kto nie chciałby się stąd wynieść?

Tyle tylko, że oni, dzieci – nawet dorosłe – nie mieli wyboru. Właśnie to było w tym wszystkim najbardziej niesprawiedliwe.

Ale nie, nie będą żywić tych uraz. Sasha uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Wiedział, że ona nie obwiniła go ani nie obwini.

Wiedział, jak ona się czuje, jedyny ze wszystkich ludzi na świecie. A ona wiedziała, jak on się czuje. Nie musieli nic mówić, żeby mieć co do tego pewność. W jakimś dziwnym sensie nigdy nie musieli.

Kiedy do niej podchodził, właściwie nie myślał. Nie miał w głowie żadnego wyraźnego zamiaru, gdy okrążył przewrócony stół, przekraczał leżące na ziemi

krzesła i talerze, by znaleźć się bliżej niej. Jej fizyczna obecność nadal wydawała mu się czymś dziwnym, ale wyciągnął rękę, a ona ją ujęła. Obydwoje stali ze splecionymi dłońmi pośrodku tego chaosu i przyglądali się temu, co pozostało z królestwa.

Ray w tym momencie nie dbał o to, kto ich widzi. Przed czym chronili swoich rodziców? Nie przed harmonią, Boże uchowaj. Raczej przed współczuciem i niezwykłym rodzajem miłości.

Ich rodzice nie zasługiwali na przebaczenie, a jednak je otrzymają. Cóż można na to poradzić?

Chmury zdecydowały się w końcu lunąć deszczem, który przyniósł ulgę bardziej niż cokolwiek innego.

Quinn obserwowała, jak deszcz zacina ukośnie w powierzchnię stawu i w wodę w basenie. Z ziemi wznosiły się opary, a niebo schodziło im na spotkanie.

Deszcz rozmył rozrzucone na tarasie jedzenie w gęstą maź. Połączone deszcz i łzy spływały razem do kałuż, basenu i stawu.

Bose stopy Quinn grzęzły w aksamitnie miękkiej, wilgotnej ziemi. Czuła pustkę w głowie, na którą spadały grube krople deszczu. Uniosła twarz ku niebu i pozwoliła, by woda deszczowa łagodnie omywała jej powieki.

„Zaakceptuj cierpienie. Dopuść je do głosu, jeśli będzie go potrzebowało”.

Teraz cierpienie miało głos. Był wstrętny, ale przemówił. Być może nikt z pozostałych nie potrafił wyczuć tej wiszącej w powietrzu zmiany sytuacji, ale Quinn potrafiła. Może odtąd będą mogli wspólnie ją przewyciężyć.

Niemal wszyscy goście już wyjechali. Na ciepłych kamiennych ścianach domu nie pozostały żadne słowa ani obrazy. Quinn pozwoliła, by wszystkie one się rozmyły, z wyjątkiem jednego widoku: miętowozielonej jedwabnej sukienki Sashy i sportowej kurtki Raya, gdy oboje stali razem w centrum całego zamętu. Drobną i wysoki, mrok i światło, strona lewa i prawa. Zobaczyła, że za plecami trzymają się za ręce. Wszystkie te przeciwieństwa nagle połączyły się w harmonii. Rozpacz się rozwiła i pozostała owa jedność. Istniała przeszłość i istniała przyszłość. Zdawały się tworzyć całość.

„Jakże pełni nadziei byliśmy i jesteśmy. Nie może być inaczej”.

Usiadła na wilgotnej trawie i przyglądała się, jak krople deszczu uderzają tysiące razy w powierzchnię stawu. W umyśle wciąż widziała obraz splecionych dłoni tych dwojga.

Mogłaby tak siedzieć, aż zajdzie słońce, a prawdopodobnie nawet aż znowu wzejdzie. Mogłaby pozostać tu przez jakiś czas, by dojść do siebie. Ale wciąż miała jeszcze coś do zrobienia. Tylko co? To wydawało się jej w tym momencie mgliste.

A potem przypomniała sobie, że obiecała przynieść Myrnie kawałek tortu.

Mama powiedziała Sashy, że jej ojciec jest już w samochodzie. „Proszę, idź tam *natychmiast, natychmiast*”, powtórzyła dramatycznie, bezgłośnie.

Wcześniej Sasha usiłowała jakoś uporządkować swoje wrażenia, obawy i emocje, póki nie zrobiło się ich po prostu za dużo. Czuła dłoń Raya w swojej, a wszystkie sieci jej umysłu zaskwiercały, przepaliły się i przestały działać.

Teraz jej umysł był płótnem, przez które ulotne wrażenia przemykały niczym skrobiące pazurkami gryzonie. Ból pęcherza na pięcie od otarcia paskiem jej

nowego srebrzystego pantofla. Widok zbiegających palców Susan Hurn ściskających kurczowo brzeg stołu. I inny – tortu ozdobionego kwiatami, wzlatującego łagodnie w ciemnoszare niebo.

Sasha przed dotarciem do samochodu musiała jeszcze odszukać Quinn. Chciała zobaczyć ją, by się przekonać, czy siostra sobie poradzi. Mattie powiedziała, że widziała Quinn leżącą w trawie nieopodal stawu.

W strugach deszczu Sasha poszła chwiejnie boso przez trawnik. Miękkie błoto bulgotało pod jej stopami, kompletnie przemoczona sukienka przywierała do nóg, płacząc krok. Zapadał zmierzch. Jej idealnie zielona sukienka wyglądała w gasnącym świetle na czarną.

Sasha nie znalazła Quinn przy basenie. Potykając się, poszła z powrotem w kierunku domu. Wyczuwała obecność ojca w samochodzie – okna zamknięte przed deszczem, zaparowane szyby odgradzające od świata na zewnątrz, w środku atmosfera pod tak wielkim ciśnieniem gniewu i oburzenia, że pojazd mógłby eksplodować jak w efekcie specjalnym filmu z Vinem Dieselem. Wyobraziła sobie kawałki mercedesa ojca rozrzucone na obszarze od Manorville do Montauk.

Mattie powiedziała, że Emma wyjechała kilka minut wcześniej swoim wozem. Zapewniła też, że Emma wyglądała na wystarczająco spokojną, by móc prowadzić. Mattie miała pojechać z Lilą i Adamem. A Raya jeszcze przed początkiem przyjęcia wyznaczono, by samochodem Mattie odwiózł babkę Hardy do jej domu w ośrodku spokojnej starości w Oyster Bay.

Sasha zobaczyła przelotnie przez zalaną strugami deszczu szybę samochodu Lilę w fotelu pasażera. „Nie jesteś taka, jak myślałam. Miałam o tobie lepsze wyobrażenie”.

Czuła już nagłą potrzebę odbudowania swojego obrazu ojca, Lili i całej związanej z nimi mitologii. Wiedziała jednak, że nie powinna tego robić. Nie zasługiwali na to. „Być może podtrzymujemy ten ich obraz ze względu na samych siebie, nie na nich”.

„Jesteśmy bandą fantastów” – pomyślała. Od czasu do czasu rzeczywistość brutalnie dochodziła do głosu, a wtedy wszyscy oni usiłowali w panice przed nią uciec.

Być może z wyjątkiem Quinn. Ona nie bała się rzeczywistości.

Sasha wyszła przez frontowe drzwi. Jej matka ze zniecierpliwieniem opuściła boczną szybę wozu.

– Zabierz swoje rzeczy i chodź do nas! Zaczekamy na ciebie przy końcu podjazdu.

Któż chciałby zostać tutaj, w miejscu katastrofy? Nikt. „Uciekaj stąd, odsuń ją od siebie, niech ta katastrofa będzie problemem kogoś innego, nie twoim”.

Z wyjątkiem Quinn. Gdzie ona jest?

Sasha odszukała swoje przemoczone i zabłocone srebrzyste pantofle, które

wcześniej kopnięciem zrzuciła z nóg przy tarasie. W kuchni znalazła komórkę i torbę.

Idąc przez zwirowy podjazd przed domem, w końcu odnalazła Quinn. Siostra siedziała okrakiem na swoim rowerze, nadal w długiej tunice, przemoczonej teraz i z ubłoconym rąbkiem. Jej włosy ociekały wodą; wkłuta w nos kropka błyszczała. Przez ramię miała przewieszoną wiśniowoczerwoną płócienną torbę.

– Nic ci nie jest? – zapytała Sasha.

– Nie. Wróć tu. Muszę tylko załatwić jedną sprawę – zawołała Quinn i pedałując, odjechała w zapadający mrok.

Sasha czuła, że powinna zapytać o coś jeszcze, ale nie mogła sobie uświadomić, o co. Gałęzie drzew po obu stronach podjazdu uginały się pod ciężarem mokrych liści, tworząc rodzaj gotyckiego łuku nad głową Quinn.

Nawet teraz Quinn pedałowała na stojąco, jak mała dziewczynka z czwartej klasy podstawówki, i ten widok był kolejną rzeczą, która wzruszyła Sashę niemal do łez.

Czegokolwiek oni wszyscy kiedyś pragnęli, było już za późno. A może jeszcze nie było za późno.

Gdy jechali powoli w gęstym ruchu Queens, półtora kilometra za tunelem Midtown, zadzwoniła komórka ojca Sashy. Robert prowadził. Wciąż był zbyt rozgniewany, by odezwać się do żony czy córki, a tym bardziej rozmawiać przez komórkę. Nie wyjął jej z kieszeni.

Zadzwoniła ponownie. To go jeszcze bardziej rozwścieczyło. Zaklął i zignorował ją.

A potem telefon zadzwonił jeszcze raz.

Sasha wyprostowała się, serce biło jej mocno i coraz szybciej.

– Kochanie, powinienes odebrać – powiedziała Evie do męża. – A jeśli stało się coś złego?

– O Boże, Evie. Co gorszego mogłoby się dziś jeszcze zdarzyć? – warknął Robert.

Gdy wypowiadał te słowa, dzwonek odezwał się po raz czwarty i serce Sashy przeszył lęk. Według jej prywatnych wierzeń nie wolno było nigdy mówić tego, co przed chwilą powiedział ojciec.

Robert uniósł się w fotelu i wygrzebał komórkę z dna kieszeni.

– Cholera – mruknął. – Nie zdążyłem odebrać.

Cisnął komórkę Evie, jakby pod wpływem rozczarowania albo lęku.

– To numer sześćset trzydzieści jeden. Nie znam go – oznajmiła Evie.

– Za każdym razem?

– Wszystkie cztery połączenia. – Evie odczekała, aż zatrzymali się w korku, i pokazała mu wyświetlacz. – Rozpoznajesz ten numer?

Rober przyjrzał się, mrużąc oczy, i pokręcił głową.

– Włącz pocztę głosową.

Sasha odruchowo postawiła stopy na podłodze samochodu, a dłonie oparła płasko na siedzeniu po obu bokach. Zdała sobie sprawę, że wibracje w okolicy jej żołądka to nie skutek zdenerwowania, lecz brzęczenie jej komórki. Zignorowała ją, chcąc usłyszeć wiadomość z poczty głosowej.

Evie mocno przyciskała komórkę męża do ucha, tak że na zewnątrz wydobywały się tylko nikłe dźwięki.

– Zjedź na pobocze – powiedziała.

Evie nigdy nie wydawała Robertowi poleceń, a on nigdy by nie usłuchał, gdyby jej głos nie zabrzmiał tak jak teraz. Szarpnął kierownicę; gwałtownie skręcili w prawo, przejechali przez dwa pasy ruchu i zatrzymali się na poboczu. Wszystkie samochody na obu pasach zatrąbiły na nich.

Robert nadal kurczowo ścisnął dłońmi kierownicę, chociaż już stali.

– Kto dzwonił?

– Jakaś kobieta z OIOM-u szpitala w Brookhaven.

Ojciec mocno zaciskał szczęki; oczy miał zamknięte. Sasha bała się o niego. Dlaczego o niego? Dlaczego wyobraziła sobie, że to będzie zła wiadomość dla ojca, a nie dla niej?

Evie wydała dziwny zwierzęcy pomruk, a potem rzuciła szybko trzy słowa:

– Quinn miała wypadek.

W prawdziwym życiu tragedie nie nadchodzą powoli. Nic ich nie poprzedza ani nie zapowiada, jak w powieściach i filmach. A ich skutkiem nie jest zdobycie życiowej mądrości czy odzyskanie spokoju sumienia.

Rzeczywiste tragedie dzieją się w trzy sekundy, w trzech słowach. Czekają, aż niesiony potokiem pojazdów, wjedziesz do tego durnego tunelu Midtown, i wtedy wałą cię w głowę. Odbierają ci to, co kochasz, i zostawiają cię z pustką.

Sasha usłyszała głos wydobywający się z jej ust, którego nie rozpoznawała:

– Czy nic jej się nie stało?

Widząc wyraz twarzy Evie, Sasha rozpaczliwie pragnęła poznać odpowiedź, a zarazem nie chciała, żeby matka odpowiedziała. Objęła dłońmi głowę – niczym bokser oszołomiony uderzeniem i czekający na nokaut – zasłaniając uszy, żeby nie usłyszeć nic więcej.

Jej ojciec był jak czarna dziura strachu, która zapadła się pod wpływem grawitacji, zbyt przerażająca, by móc na nią spojrzeć.

– Ona mówi, że powinniśmy przyjechać do szpitala.

„Nie, nie. Jesteśmy już za daleko. Nie jesteśmy gotowi” – pomyślała Sasha.

A potem to posprzątasz

Rodzice Raya byli w ich zaciemnionym pokoju w domu w Brooklynie. Chłopca od czasu do czasu dobiegał stamtąd pełen rozpaczy głos matki, a potem znów zapadała cisza.

Emma i Mattie usnęły na sofach w salonie.

Lekarz w Brookhaven dał im buteleczkę proszków nasennych i Ray przypuszczał, że dzięki nim siostry znalazły chwilowe zapomnienie.

Ile czasu spędzili tego dnia w szpitalu? Późne popołudnie przeszło w wieczór, ale Rayowi wszystko to nadal wydawało się tak nagłe i nieoczekiwane, że zastanawiał się, czy sobie tego nie uroił. Pojechali tam, żeby zaopiekować się Quinn i pomóc jej dojść do zdrowia. Ale gdy dotarli do szpitala, było już za późno. Quinn nie żyła. Nie mieli kogo objąć ani pocieszyć. Nie było nikogo, kto by ich objął i pocieszył. „Jak mogłaś, Quinn?”

Były tylko dwie oniemiałe połowy zdruzgotanej, zdeorientowanej rodziny, spoglądające na siebie nawzajem nad dzielącą je przepaścią. „Jak mamy poradzić sobie bez ciebie?”

Rodzice musieli zająć się kilkoma sprawami. Ray nie był pewien, jak ani kiedy to się odbyło. Poddał się zagubieniu i nie śmiał nawet próbować go zgłębić. Przyjechali odszukać Quinn, a jej nie było ani tutaj, ani nigdzie. Co więc mogli zrobić? Pojechali do domu.

Rozważył, czy też nie połknąć jednego czy dwóch proszków nasennych. Pozostawanie świadomym było torturą, ale gdyby pograżył się w nieświadomości, musiałby później znów się obudzić, a wówczas prawda o tym, co się stało, dopadłaby go słabego i bezbronno. Wiedział, że musi wytrwać przy tej prawdzie, przyglądać się jej bacznie tak długo, jak zdoła.

Tak więc nie usnął. Czuł się zbyt wstrząśnięty, by usiedzieć na miejscu. Nie potrafił być w domu i nie potrafił być na zewnątrz. W ogóle nie potrafił *być*.

Chodził tam i z powrotem po Carroll Street; zauważał deszcz, ale go nie czuł. Od czasu do czasu błyskawica wyrywała go z otępienia, lecz zaraz znów w nie wpadał.

Zawędrował w dół aż w pobliże cuchnącego kanału Gowanus, zanim uświadomił sobie, dokąd powinien pojechać, a wtedy poszedł do stacji metra Atlantic Avenue i wsiadł do ostatniego nocnego pociągu do Montauk.

Podczas jazdy łąził po wagonach; w każdym było tylko kilka osób. Tak, zachowywał się irytująco, ale nie potrafił się zmusić, żeby usiąść.

Wysłał z pociągu esemes. Z trudem wyobrażał sobie, że słowa z jego komórki ulecą w przestrzeń, a potem wylądują w jej telefonie. Ale może to zrobią. I może ona czuje się równie samotna jak on.

Nazwy mijanych miasteczek brzmiały zawsze w jego uszach jak dziwny wierszyk z dzieciństwa, ale tej nocy nabrały upiornego charakteru. „Wantagh, Seaford, Amityville, Babylon, Islip, Speonk”.

W pamięci przemknęła mu historyjka o skunksie ze Speonk, którą Quinn kiedyś mu opowiedziała. Poczuł, że twarz wykrzywił mu grymas rozpaczony, i płakał, przechodząc przez trzy ostatnie wagony metra. Zastanawiał się, czy Sasha zna tę opowiadankę.

Przypomniał sobie Saszę spoglądającą na niego przed kilkoma godzinami z drugiego końca szpitalnej poczekalni. Nie potrafił zatrzymać długo tego obrazu.

„Jak to się mogło stać?”.

Instynktownie nie chciał widzieć ani robić niczego więcej poza tym, co konieczne, gdyż każde doznanie złączyłoby się w jego umyśle z potwornością tej nocy i zostałyby nią na zawsze skażone. A także każde doznanie jutrzejsze i następnego dnia. Być może przez resztę życia każde wrażenie będzie zatrute tym, że dzieje się w świecie, w którym nie ma Quinn.

Wysiadł na East Hampton. Stacja była pusta. Na zewnątrz stała jedna taksówka, a jej kierowca spał. Ray ruszył pieszo.

Gdy szedł na południe w stronę oceanu, wiatr się wzmógł. Po pewnym czasie Ray stracił czucie w nogach. Zastanawiał się, czy to odrętwienie popęźnie w górę i obejmie całe ciało.

Przyrzekł sobie przyglądać się prawdzie, lecz to było trudne. Nachodziły go rozmaite myśli. A jeśli w rzeczywistości to nie była Quinn? A jeśli ona w istocie nie umarła? A jeśli wciąż może się ocknąć?

A jeżeli on tylko wyobraził sobie, że to się stało – i jakaś bardziej rzeczywista rzeczywistość może się pojawić i wybawić ich od tej strasznej?

Jego umysł wciąż przewijał czas wstecz. A gdyby Quinn nie wsiadła na rower? A gdyby wyjechała kilka minut wcześniej albo później? A gdyby nie padało? A gdyby wybrała inną drogę?

A gdyby ten kierowca nie był takim cholernym idiotą? A gdyby nie wypił margarity na tym jakimś przyjęciu w ogrodzie? Gliniarze powiedzieli, że poziom alkoholu w jego krwi nie był powyżej dopuszczalnej normy, lecz mimo wszystko...

A gdyby ona upadła w trawę zamiast na jezdnię? Jak mogła upaść na jezdnię?

I wtedy Ray musiał znów spojrzeć na prawdę, bo gdyby mu umknęła, gdyby zakradła mu się za plecy, mogłaby go pokonać i być może nie zdołałby się znowu podnieść.

Sasha nie powiedziała rodzicom, że wychodzi. Miała zamiar wyjść, jeszcze zanim zobaczyła słowa Raya pojawiające się na ekranie jej komórki. Po prostu wymknęła się z domu. Co nie znaczy, że rodzice zauważą jej nieobecność. Nie

w tym momencie, nie dziś.

Tej nocy nie potrafiła ponownie spojrzeć na ojca. Bała się o niego. Zdała sobie sprawę, że myśli: „On nie potrafi poradzić sobie z czymś takim”.

Nie, żeby ona potrafiła. Ale wiedziała, że szaleńczo kochała Quinn. Rozumiała, że Quinn była ich niezwykłą sekretną magią. Opowieścią i opowiadającą. Bez niej będą już tylko krążyć bezsensownie w świecie. Ogarnie ich pustka. Ich zbiorniki pamięci mogą wydawać się wciąż jeszcze pełne niej, ale szybko się opróżnią, a bez niej nie zostaną ponownie napełnione.

W głębi przepełnionego bólem i rozpaczą serca Sasha wiedziała, że do jej ojca to wszystko jeszcze nie dotarło. Od dawna tkwił zaplątany w kwestie przekłutego nosa Quinn, jej indyjskiego krosna, nieobliczalnego trybu życia i nierównych stopni w szkole. Mylił to z tym, co naprawdę miało znaczenie. Sasha podsłuchiwała kiedyś nauczyciela mówiącego: „Rodzice nastolatków i dorastającej młodzieży skupiają się na kompletnie nieistotnych sprawach” i odtąd często o tym rozmyślała. Być może ojciec miał obsesję na punkcie kolczyka w nosie Quinn, gdyż chciał nabrać do niej nieco dystansu. Tak więc usiłował trochę mniej ją kochać, a ona dorastała i stopniowo oddalała się od niego.

A teraz pozostało mu jedynie spadać bez końca i z każdym zderzeniem przeżywać na nowo ból, podczas gdy Sasha już oczekiwała na niego na dnie tej przepaści rozpaczy.

Zbiegła szybko na dół i wymknęła się na ulicę, cicho zamykając za sobą drzwi. W domu nie pozostał żaden ślad po Quinn. Wcześniej tej nocy Sasha chodziła po schodach i ukradkiem krążyła korytarzami, pragnąc odnaleźć cokolwiek, lecz niczego nie było. Quinn miała tutaj swój pokój, jednak w ciągu dwóch lat, odkąd Robert i Evie kupili ten dom, nigdy w nim nie nocowała. Wolałaby raczej przespać się na ławce w parku. I prawdopodobnie czasami tak robiła. Może kilka razy jadła kolację w jadalni, ale zawsze wtedy sprawiała wrażenie, że nie czuje się swobodnie.

Cokolwiek pozostało z mebli Quinn z ich dawnego mieszkania przy Osiemdziesiątej Pierwszej Ulicy, odnowiono, obito nową tapicerką albo zastąpiono innymi. Sasha pragnęła uchwycić się tego, co zostało – zapachów, smaków i dźwięków, które wciąż zachowały coś z jej siostry. Chciała wchłonąć je, zanim całkiem się rozwieją.

Ostatni tej nocy pociąg sieci Long Island Railroad już odjechał, więc Sasha wzięła samochód z garażu. Pracownik wyglądał na zaskoczonego, ale o nic nie pytał. Pojechała w deszczu ulicami – nowojorska dziewczyna, która dopiero od niespełna roku miała prawo jazdy.

Gdyby jej ojciec wiedział, co zrobiła, dostałby ataku serca, ale serca ich obojga i tak już były zbolale.

Orientowała się mniej więcej, którądy jechać. Być może już wcześniej

planowała tę ucieczkę. Wpisała cel podróży do systemu nawigacji. Robiła to już wcześniej dla taty w trakcie różnych wycieczek samochodem. Tata nie miał zmysłu orientacji przestrzennej.

System poprowadził ją przez most Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Nie byłaby w stanie przejechać ponownie tunelem Midtown.

Uświadomiła sobie, że jest bosa. Widocznie w którymś momencie po powrocie ze szpitala zdjęła miętowozieloną sukienkę, a włożyła legginsy i flanelową koszulę, jednak zupełnie tego nie pamiętała.

Odpowiadało jej prowadzenie auta. Ponieważ nie była w tym zbyt dobra, ta czynność angażowała większość jej uwagi. Zresztą na zazwyczaj niebezpiecznej autostradzie Montauk panował o tej porze niewielki ruch.

Sasha była zdeterminowana, by dotrzeć do celu, ale gdy wjechała na podjazd, przygniotła ją rozpacz i nie miała pojęcia, co robić. Bezsilnie oparła się o kierownicę.

Kiedy w końcu wysiadła z samochodu, zorientowała się, że drzwi wejściowe są zamknięte. Odszukała więc dróżkę wyłożoną kamiennymi płytami i poszła nią wokoło domu na jego tył.

Ray usłyszał nadjeżdżający samochód. Jego umysł nie działał prawidłowo, więc chłopca nie zaniepokoiło to ani nie zainteresowało tak, jak powinno. To nie mogła być Sasha. Cała istota Raya skurczyła się do małego rodzyńka u podstawy czaszki. Ten rodzynek nie odczuwał ciekawości, nadziei ani nawet zwykłego lęku.

Ray przeszedł po trawie. Odnosił wrażenie, że jego nogi są zniszczonymi pniakami, ledwie połączonymi z tułowiem. Uświadomił sobie mgliście, że wciąż ma na sobie nowe buty, które kupił na przyjęcie, i że okropnie obcierają mu stopy. Gdy zdejmował obuwie, zakręciło mu się w głowie. Jego stopy były pokryte nieznośnie bolesnymi pęcherzami. Ray pomyślał, że palce u nóg niewątpliwie szernieją i odpadną, ale niezbyt się tym przejmował. Przede wszystkim po prostu nie potrafił się zatrzymać z powodu dręczących go wciąż myśli: „A gdyby wtedy...”. Nie wiedział, czy zdoła iść dalej, ale gdyby upadł z wyczerpania, prawda zyskałaby szansę dopadnięcia go nieprzygotowanego. Był tego pewien.

Dowlóknął się nad brzeg stawu i ochłodził stopy w wodzie. Podniósł z ziemi płaski omszały kamyk i cisnął go najdalej, jak zdołał. To sprawiło mu przyjemność. Rzucił więc drugi, potem następny. Jego ramię chodziło tak luźno, że spodziewał się na poły, iż oderwie się od tułowia i też wpadnie do stawu.

„Czas rzucania kamieni”.

Z czego to było? Z Biblii. Usłyszał kiedyś ten fragment na pogrzebie. Na pogrzebie jego dziadka Harrisona.

Cisnął kolejny kamień. Tak mocno, że wyobraził sobie, iż ten kamień przeleci nad stawem i uderzy z trzaskiem w dom po drugiej stronie. Ale usłyszał, że wpadł z pluskiem do wody, jak inne.

Sasha nawet w ciemności zobaczyła ślady chaosu na całym tarasie. Nie zapomniała, co tu się wydarzyło, ale te wspomnienia zostały zagrzebane pod grubą warstwą popiołu. Teraz powróciły niczym dźwięki strojącej się orkiestry. Nie zmieniły się w harmonijną muzykę, tylko stały się okropniejsze i bardziej kakofoniczne.

Potknęła się o rozbity kieliszek do wina. Podniosła jego obydwie części i popatrzyła na nie. A potem cisnęła je na kamienne płyty podłogi, roztrzaskując na setki kawałków. Wzięła głęboki wdech.

Następnie na jej drodze znalazł się biały porcelanowy talerz. Podniosła go z podłogi i też rzuciła – płasko, oburącz, po prostu dla zabawy. Potem drugi talerz mrugnął do niej jak duże białe oko. Podniosła go i roztrzaskała. Odłamki porcelany odbiły się od jej nóg. Zrobiła krok i kilka z tych odłamków utkwilo w jej bosych stopach. Talerze były zdane na łaskę Sashy, a jej stopy – na ich łaskę.

Była gotowa. Co jeszcze?

Ray usłyszał trzask pękającego szkła, dobiegający od strony domu. Potem kolejny. Nogi zaprowadziły go w górę wzgórza, w kierunku tych dźwięków.

Rodzynek w jego czaszce nie był zaniepokojony, przestraszony ani zdolny do zdziwienia. Czy to Sasha? Ułożenie faktów zajęło Rayowi kilka sekund. Sasha, suma jego zera, była tutaj, w tym domu, i rozwalala porcelanę. Rodzynek był w stanie poczuć podziw.

To miało sens. Tylko to można było zrobić. Ray podszedł ciężkim krokiem do tarasu i podniósł pierwszy talerz, jaki zobaczył. Z ekstatycznym zapalem cisnął go o kamienną podłogę. Odłamki odbiły się tak wysoko, że uderzyły go w czoło.

Sasha zastygła z talerzykiem deserowym w ręce. Wpatrzyła się w Raya. On wpatrzył się nią. W słabym świetle lamp solarnych objął ją wzrokiem od zacieklej twarzy do bosych stóp.

Wymienili spojrzenia pełne dumnego uznania. Udręka Raya wzrosła i popłynęła ku jej udręce. Na twarzy Sashy widniały oznaki toczącej się w niej walki. Jego twarz wykrzywił grymas cierpienia. Ray jeszcze nie potrafił zapomnieć.

Roztrzaskał więc kolejny talerz. Sasha cisnęła dzbankiem do lemoniady w ścianę domu niczym baseballista Clayton Kershaw. Krążyli wokół siebie w osobliwym balecie zniszczenia, porozumiewając się poprzez rozbijanie naczyń.

Słońce w końcu wyjrzało zza horyzontu i zobaczyło, co zrobili. Znieruchomieli. Deszcz już nie padał. Wszystko, co niegdyś było całością, zostało rozbite.

Sasha bez słowa weszła do domku przy basenie i odszukała duże torby na śmieci. Ray znalazł mocną miotłę i zaczął zamiatać jak opętany. Przed chwilą w pierwszych promieniach słońca zobaczył wszędzie na tarasie krew z ich bosych stóp i nie mógł dłużej znieść widoku Sashy chodzącej po odłamkach.

Kontynuowali swój balet, tym razem, dla odmiany, w ciszy. Wrzucili do grubych toreb od kosiarki sterty rozbitego szkła, kawałki homarów, nasiąknięte wodą papierowe kubki i talerze. Poustawiali przewrócone stoły i krzesła. Ray silnym strumieniem z węża ogrodowego spłukał z tarasu resztki krwi i jedzenia.

Razem ustawili porządnie torby w szopie na odpadki. Ray podziwiał dokładność pracy Sashy, jak wcześniej wielokrotnie w markecie Black Horse.

Poszedł za nią przez trawę na niewielkie wzniesienie z widokiem na staw, pod ulubioną lipę Quinn. Jeżeli spojrzano się w górę pod odpowiednim kątem, można było wciąż dostrzec pozostałości jej domku na drzewie.

Sasha zatrzymała się i Ray też. Chociaż był tylko rodzyńkiem, uświadomił sobie, że ujmuje ją za ręce. Sasha dzielnie podniosła na niego wzrok i wtedy poczuł się zagubiony. Ujrzał na jej twarzy ból i żal i nie potrafił się już dłużej opanować. Jej twarz się wykrzywiła, podobnie jak jego. Cierpienie Raya było tak ostre i dojmujące, że nie chciał, by je zobaczyła.

Nogi odmówiły mu posłuszeństwa i zorientował się, że klęczy na ziemi. Sasha otoczyła go ramionami i przytuliła jego twarz do piersi. Objął ją w tali i szlochał.

Po jakimś czasie ukucnęła i powoli położyli się na trawie. Leżeli długo, obejmując się mocno i łkając.

W końcu oboje ucichli. Obróciła się plecami do niego i poczuł pod dłońmi bicie jej serca. Jej cudowne ciało zwinęło się w kłębek przy jego ciele. Wtulił twarz w jej szyję, tuż za uchem. Ten zapach, jej bezpieczny, łagodny zapach, którego Ray dotychczas doświadczał tylko w nikłych, pośrednich dawkach i za którym tęsknił przez kolejne lata, teraz owiewał go i wnikał w niego, litościwie spowijając ukojeniem.

Ray pozwolił, by jego świadomość się rozproszyła, a mięśnie rozluźniły. Gdy się obudzi, prawda być może podkradnie się do niego i zada mu cios, nawet śmiertelny, ale wiedział, że będzie wtedy z Sashą.

Sasha otworzyła oczy. Wynurzała się ze snu ostrożnie, powoli, wiedząc, że przestraszy się tego, co znajdzie, gdy przebije się na jawę.

Jej głowa spoczywała na trawie. Obejmowały ją ramiona Raya, jego twarz była przy jej szyi. To był Ray. Z ciężkiego bezwładu jego ciała zorientowała się, że on nadal śpi. Leżała w całkowitym bezruchu. Oszacowała spojrzeniem jego i swoje części ciała. Jej stopy były wciśnięte między jego łydki i płonęły z bólu.

Powoli, ostrożnie połączyła fragmenty zdarzeń, które doprowadziły tutaj ich oboje. Nie pozwoliła, by najgorsze fakty dotarły do niej natychmiast w postaci słów. Ale nie zdołała odepchnąć od siebie uczuć. Łzy wciąż napływały jej do oczu i wylewały się z nich. Starła się nie poruszyć. Skapywały przez mostek nosa w trawę. Usiłowała powstrzymać drżenie.

Słońce przebyło już połowę wspinaczki po niebie, a ptaki śpiewały głośno.

Jej rodzice niewątpliwie odchodzą od zmysłów ze strachu o nią. W nastroju porannej szczerości wiedziała, że nie powinna jeszcze powiększać ich cierpienia.

Bardzo delikatnie obróciła się twarzą do Raya. Poruszył się we śnie i przyciągnął ją bliżej. Objęła go czule i mocno. Starła się utrwalić sobie w pamięci jego obraz.

Odważyła się pocałować go w policzek, potem w ucho.

– Przepraszam, muszę już iść – szepnęła, wyplątując swoje nogi z jego nóg.

– Proszę – wymamrotał, więc obejmowała go cierpliwie, gdy się budził.

Później podniósł się, trochę zakłopotany. Chciał odprowadzić ją do jej samochodu. Oboje kuleli. Nawet nie próbowali o niczym rozmawiać i byli sobie nawzajem za to wdzięczni.

Patrzył, jak wyjeżdża z podjazdu. Potarł oczy.

Czuła, jak łączący ich sznur rozciąga się i napina. Zostawiła tam Raya, stojącego z rękami w kieszeniach, z włosami sterczącymi na wszystkie strony.

Kiedy jechała dalej, ten sznur coraz bardziej się rozciągał, aż w końcu zaczął wibrować jak struna banjo. Mocno szarpał jej serce, ale nie pękł.

Tam jest smutek dla ciebie, a tu jest jakiś dla mnie... o, musisz nosić swój smutek odmiennie

– Nie mogę wziąć ślubu.

Emma rozmyślała o tym w trakcie wielu godzin półsnu, gdy odzyskiwała świadomość i znów ją traciła, gdy opuszczała i znów w nie wchodziła – w sny bez kształtu i dni bez czasu. Dawniej istniało coś, co ona i Jamie starali się chronić, czego rozpaczliwie usiłowali się trzymać, ale już dłużej tego nie potrafiła. Nie umiała sobie nawet przypomnieć, co to było.

Powiedziała Jamiemu, żeby nie przychodził, a on odczekał kilka dni. Przesłał jej artykuły spożywcze ze sklepu internetowego Fresh Direct. Przesłał jej olbrzymią skrzynkę owoców ze sklepu sieci Dean & DeLuca. Potem w końcu przysłał samego siebie. Objął ją na sofie w salonie domu na Carroll Street.

– Nie musimy teraz o tym myśleć – odpowiedział jej.

– Przez jakiś czas nie chcę cię widywać. Chcę tylko być w domu i leżeć w moim łóżku.

– Dobrze. Rozumiem.

– Nie chcę myśleć o przyszłości ani o niczym, co się z nią wiąże.

– Dobrze.

Obejmował ją mocniej niż kiedykolwiek i to było przyjemne. Ale także wprawiało ją w zakłopotanie, kojarzyło się z przyszłością i przypominało jej o sprawach, o których nie chciała musieć myśleć.

– To oznacza, że odkleisz się ode mnie i wyjdiesz.

– Już teraz?

– Tak.

– Czy mogę przyjść jutro?

– Nie.

– A w przyszłym tygodniu?

– Nie. Nie wiem. Nie potrafię o tym myśleć. Nie chcę podejmować żadnych decyzji. Wiem tylko, że potrzebuję przerwy i tego, żebyś mnie usłuchał.

– Dobrze. – Przycisnął czoło do jej policzka. – Nie chcę tego, ale zrobię tak.

– Dziękuję.

– Trudność polega na tym, że myślami jestem przez cały czas tutaj z tobą. Pragnę ci pomóc.

– Wiem, ale teraz nie możesz mi pomóc.

Westchnął.

– Dobrze. Będę się trzymał z dala, póki nie będziesz gotowa, żebym wrócił.

– W porządku.

– A czy tymczasem obiecasz mi, że zadzwonisz, jeśli będziesz czegoś

potrzebowała? Czegokolwiek, co mogę zrobić. Bez względu na to, czy to coś ważnego, czy nie.

– Obiecuję.

– Cieszę się.

– Więc teraz musisz przestać mnie obejmować – powiedziała.

Znowu płakała i on też.

– Dobrze, przestanę. – Zrobił to. – Em?

– Co? – spytała.

Nie poruszał się.

– Ty też musisz przestać mnie obejmować.

Emma w trakcie długich godzin i dni marzeń sennych (i poza nimi) rozmyślała o małej sadzonce jabłoni, którą mama podarowała tacie na jego ostatnie urodziny, kiedy jeszcze byli małżeństwem. To było pod koniec października, więc zostawili drzewko na zimę w skrzynce w szopie, żeby zasadzić je wiosną.

Ale jakiś czas potem stosunki między jej rodzicami zaczęły się psuć. Wiosna i lato nadeszły i minęły. Przez kolejne miesiące skrzynka po prostu stała w szopie. „No cóż, to drzewko już dawno uschło” – powiedział ojciec, gdy minęła następna zima, ale Emma zauważyła, że go nie wyrzucił.

Miała wtedy chyba pięć albo sześć lat. Wyobrażała sobie, jak matka się czuje za każdym razem, gdy wchodzi do szopy po grabie czy łopatę i widzi tę nieotwartą wysoką, wąską, brązową skrzynkę. Był to jeszcze jeden zaciekły impas panujący między jej rodzicami, przez który cierpiała kolejna niewinna ofiara.

To Quinn w końcu wywlekła skrzynkę z szopy. Emma pomogła jej ją otworzyć. Obydwie zamknęły oczy, przerażone widokiem żalonych resztek drzewka. Ale Quinn nie pozwoliła go wyrzucić. Nakłoniła Adama, żeby pomógł im wykopać dziurę na skraju lasu. Bardzo ostrożnie rozplotły korzenie i włożyły drzewko w ziemię, chociaż wiedziały, że jest martwe.

Emma pamiętała, że spytała Quinn: „Sadzimy je czy grzebiemy?”.

„To to samo” – odpowiedziała Quinn, a potem usiadła przy resztkę drzewka i przez kilka godzin rozmawiała z nią.

Być może to właśnie wtedy Quinn zaczęła obmyślać swój dziwaczny system wierzeń dotyczący wzrastania. Odtąd codziennie rano tuż po przebudzeniu i wieczorem przed pójściem spać biegły sprawdzić, co się dzieje z drzewkiem.

W ciągu sześciu dni na końcach dwóch cienkich brązowych gałązek wyrosły dwa maleńkie zielone pędy. Emma pamiętała spokój wilgotnego poranka, odgłos oddechów jej i Quinn, zachwyt ich obydwu. Nazajutrz pojawiły się następne pędy. Pod koniec drugiego tygodnia każda sucha brązowa gałązka wypuściła bladezielone listki.

Po miesiącu przyprowadziły ojca, trzymając go za rękę.

– To chyba nie ta stara sadzonka jabłoni – powiedział.

Obie z powagą kiwnęły głowami.

– Niemożliwe – rzekł.

– Naprawdę.

Odszedł, kręcąc głową; najwyraźniej potraktował ich potwierdzenie jako dziecięcą pomyłkę.

Pod koniec lata Lila też zobaczyła drzewko.

– Wasz ojciec w końcu je zasadził? – spytała.

Emma popatrzyła niepewnie na siostrę, a Quinn lekko skinęła głową. To było jedyne kłamstwo Quinn, o jakim Emma kiedykolwiek się dowiedziała.

Kilka razy dziennie przez kilka dni z rzędu Emma szła w głąb ciemnego holu i nasłuchiwała uważnie pod drzwiami pokoju matki. Czasami słyszała łkania i uciekała spłoszona. Czasami jeszcze bardziej płoszyła ją cisza. Dzisiaj usłyszała westchnienie, które zabrzmiało jak zaproszenie.

Lekko uchyliła drzwi.

– Mamo?

– To ty, Emmo?

– Tak.

– Wejź.

Matka uniosła się w łóżku. Żaluzje w oknach były spuszczone, jednak dzisiaj nie całkiem. Miała na sobie sprany podkoszulek i legginsy. Jej potargane jasne włosy przypominały dredy.

Emma położyła się na łóżku obok niej.

– Mogę rozmasować ci plecy? – spytała.

Lila zawsze tak do nich mówiła, kiedy zasnęły, a ona wkradała się cicho do ich pokoi, albo kiedy były chore i nie szły do szkoły, tylko zostawały w domu.

– Dobrze – odrzekła Lila i obróciła się na brzuch, chowając ręce pod siebie.

Emma przesuwała dłonią po jej plecach, naśladowując najbardziej kojącą technikę masażu stosowaną przez Lilę.

– Jak jest na świecie na zewnątrz? – spytała cicho matka.

– W zasadzie tak samo jak było. To znaczy, dla innych ludzi. Dla nas jest gorzej niż dotąd.

Lila przytaknęła z twarzą wciśniętą w poduszkę.

– Dla nas już nigdy nie będzie tak samo. Ale czy jakoś będzie?

– Tak, jakoś będzie.

– Tak łatwo było ją kochać. Myślałam, że mam ją na zawsze.

– Wszyscy tak myśleliśmy – powiedziała Emma i zaczęła płakać.

– Wiesz, to z jej powodu zostałam położną.

– Wiem – rzekła Emma.

– Urodziłam ją we własnym łóżku. W tym łóżku. Potrafisz w to uwierzyć?

Emma słyszała już tę historię, ale wyczuwała, że powtarzanie jej teraz

przynosi matce pociechę.

– Tej nocy, kiedy się urodziła, była wspaniała, piękna zamieć śnieżna. Twój ojciec rozpaczliwie usiłował odkopać szuflę samochód ze śniegu. Chciał wezwać karetkę, ale powiedziałam mu, żeby tego nie robił. Czy może być jakieś gorsze miejsce do rodzenia niż karetka?

Emma nie знаła takiego.

– Więc zamiast tego sprowadził Monicę, która w tamtym czasie mieszkała na Union Street.

Emma wiedziała, że chodzi o tę Monicę, która później odebrała też poród Mattie i Raya i została mentorką Lili w dziedzinie połoźnictwa, a w końcu jej współniczką.

– Quinn urodziła się dosłownie w czepku, to znaczy w worku owodniowym. Wyglądał jak połyskliwy welon okrywający jej twarz i głowę. Monica nigdy dotąd nie widziała czegoś takiego. Powiedziała, że to znak.

– Czego?

– Wyjątkowego przeznaczenia.

– I rzeczywiście nim był.

– Tak, był.

Lila oddychała teraz wolniej. Długo leżały razem w milczeniu, aż wreszcie Emma pomyślała, że matka być może usnęła.

– Co u Jamiego? – spytała Lili; jednak nie spała.

– Nie wiem. Nie widziałam się z nim od jakiegoś czasu.

– Z mojego powodu?

– Z powodu wszystkiego.

Lila odwróciła się z powrotem, tak by móc spojrzeć Emmie w twarz.

– Ty go naprawdę kochasz, co?

– Tak.

– Widzę to.

– Żałuję, że wcześniej nie widziałas.

– Uwierz mi, ja też tego żałuję – rzekła Lila.

Zamknęła oczy. Łzy popłynęły spod powiek na prześcieradło.

Emma podparła głowę na łokciu.

– Wczoraj powiedziałam do Mattie: „Kiedy jestem z nim, bardziej lubię siebie”. I wiesz, co Mattie odpowiedziała?

Lila pokręciła głową.

– Powiedziała: „Ja też bardziej cię lubię, kiedy z nim jesteś”.

Przez twarz Lili przemknął cień uśmiechu. Emma dodała:

– To prawda. Przyznaję, w jego towarzystwie jestem łagodniejsza, spokojniejsza.

– Powinnaś mu o tym powiedzieć. Potrzebujesz go.

Emma westchnęła.

– Trochę dziwnie usłyszeć to z twoich ust.

Lila też podparła głowę.

– O Boże, wiem. – Z oczu znów pociekły jej łzy. – Odwołuję to, co wcześniej o nim mówiłam. Żałuję tylu rzeczy. Całymi dniami leżę tutaj i rozpamiętuję z bólem wszystko, co zrobiłam nie tak, jak powinnam.

W jej słowach było tyle szczerości, tyle ujawnionych uczuć, że Emma także zaczęła płakać. Matka nawet już nie usiłowała dłużej bronić siebie.

– Och, mamo.

– Wiem, kochanie. Wiem – powiedziała Lila.

Pogładziła Emmę po włosach, odgarnęła je z jej twarzy.

Wprawdzie Emma zawsze pragnęła, żeby matka w końcu przestała walczyć, jednak teraz w pewnym sensie wydawało się to jeszcze okropniejsze.

Czuły i przyczajony

– Z pewnością nie musisz iść do pracy – powiedziała mama do Raya, gdy wszedł do kuchni domu w Wainscott, wreszcie ogolony i ubrany w coś innego niż spodnie od pizamy ze znakiem Batmana.

Wiedział, że Lila pragnie możliwie jak najdłużej zatrzymać ich przy sobie.

– Wiem, ale chcę. Emma poszła. Mattie też.

– One są szalone – rzekła.

Spędzili dziewięć dni w ciemnym domu w Brooklynie, zanim matka odważyła się pojechać do Wainscott. W tym czasie przyjmowali telefony, listy, kwiaty, dostawy jedzenia oraz kilkoro gości, w tym George’a Riggsa, który wpadł z krótką wizytą w drodze z Kalifornii, by złożyć kondolencje. Od czterech dni przebywali w widnym domu w Wainscott i w tym czasie Lila opuściła go tylko raz – żeby odwiedzić Myrnę. Wydawało się to ze strony matki aktem wręcz heroicznym, co nappełniło Raya takim smutkiem, że nie potrafił nawet zapytać jej, jak się czuje Myrna.

Teraz był poniedziałek, dziesiąta rano – pierwsza okazja, by wyrwać się z tej mrocznej atmosfery. Ray czuł, że musi się znaleźć z dala od rodziców.

– One potrzebują się czymś zająć. Ja też. Potrzebuję zmiany miejsca i czegoś, w co mógłbym włożyć ręce.

W pracy Francis i pozostali niezgrabnie złożyli mu kondolencje. Wydawało się, że nikt w miasteczku nie potrafi odnosić się do niego w zwykły sposób, jakby nie byli pewni, jak się zachować wobec tak wielkiego smutku.

W magazynie Ray był osowiały i apatyczny. Wyszedł z Juliem na papierosa przy pojemnikach na śmieci. To było straszne, a zarazem prawdopodobnie najlepsze, co miało go dziś spotkać.

Wreszcie wrócił do domu i wszedł po schodach, nie zamieniając z nikim ani słowa. Gdy otwierał drzwi do swojego pokoju, wstrzymał oddech. Za każdym razem, kiedy tu wchodził, czuł jej zapach i jej obecność.

„Nie wiem, co robić” – rzekł do niej w duchu.

Jego serce przepelniała dręcząca tęsknota. Ból nieustannie napływał falami i czasami bywał nie do zniesienia. Wypadki z dziewiątego sierpnia były tak mroczne i zagadkowe, że Ray zaczął wątpić, czy naprawdę się zdarzyły. Wiedział tylko, że Quinn zniknęła – i Sasha też.

Nie potrafił odróżnić zniknięcia Quinn od zniknięcia Sashy, ale w tęsknocie za Sashą wydawało się tkwić odrobinę więcej nadziei. Nie umiał odróżnić swojego cierpienia od cierpienia Sashy. To było to samo cierpienie, ta sama strata. Myślenie o niej potęgowało ból, a zarazem przynosiło dziwny rodzaj pociechy i ukojenia.

Wszedł do kabiny prysznicowej i puścił gorącą wodę. Wolał gęstą parę

i piekący strumień na plecach.

Pod prysznicem myślał o Sashy. Myślał o niej wszędzie. Jej dłonie obracały ten sam oporny kurek zimnej wody. Jej pokaleczone stopy stały na tych samych śliskich kafelkach kabiny co jego pokaleczone stopy. Przepelniało go mnóstwo pogmatwanych uczuć. Wprawdzie kilka z nich było pożądlivych, ale nie wszystkie.

Wyczuwał, że oboje są więźniami: swojej rozpacz, swoich rodzin i rozpacz swoich rodzin. Domyślał się, że jej rodzice, tak jak jego, nie potrafią spuścić jej z oczu. Czasami zastanawiał się też nad poczuciem winy.

Wyszedł spod prysznic i stanął przed lustrem. To lustro miało szansę widywać Saszę. Dlaczego on nie?

Wyciągnął rękę i palcem wskazującym napisał na zaporowanym szkłe kilka słów. Otworzył drzwi, wpuszczając chłodne powietrze z sypialni, i patrzył, jak słowa znikają.

Niebo nad farmą Reese'ów przybrało upiornie żółtą barwę, a wiatr wciąż zmieniał kierunek. Mattie zdążyła już przenieść wszystkie produkty i koszyki pod bezpieczne schronienie markizy.

– Chcesz, żebym schowała wszystko na noc do magazynu? – zawołała do Matthew.

Wyszedł pośpiesznie ze stodoły, niosąc dwie olbrzymie rolki brezentu. Na jego twarzy malował się niepokój.

Mattie zrównała się z nim.

– Co się dzieje? Znosi się na wielką burzę, tak?

Jego twarz wciąż miała skryty wyraz. Nadal niemal nie potrafili na siebie spojrzeć.

– Przypuszczalnie spadnie grad. Co będzie cholerną katastrofą.

– Co zamierzasz zrobić?

– Przykryję wszystko, co zdołam.

– Sam?

Cisnął obie rolki na ziemię obok grządki dyń.

Mattie wiedziała, że Matthew nie jest starszy od Emmy; w istocie urodzili się w tym samym miesiącu. Widziała zdjęcie ich wyczerpanych mam z dwojgiem tłustych niemowląt. Lila powiedziała kiedyś, że Carly pozostała w okolicy na tyle długo, by znaleźć się na tym zdjęciu, lecz niewiele dłużej. Ale czasami Matthew wyglądał, jakby miał czterdzieści lat, czy nawet sto, i to napawało Mattie smutkiem.

Wiedziała, że jest sam. Patsy i tępawa Dana wyjechały już na letnie wakacje.

Przypomniała sobie wieczór sprzed kilku lat, gdy Quinn nie wróciła z farmy do domu. Kolacja minęła bez niej. Było już po północy i ojciec chodził nerwowo po domu, kiedy Quinn wreszcie przyszła od Reese'ów, przemoknięta i radośnie

podekscytowana, opowiadając o tym, co robi się na farmie warzywnej podczas gradu.

– Mogę pomóc? – spytała teraz Mattie.

– Nie powinnaś była w ogóle tu dziś przychodzić – rzekł Matthew.

Wiedziała, że Matthew stara się po prostu ochronić ją w jej żałobie. To pani Reese zadzwoniła i poprosiła ją, żeby przyszła do pracy. Pani Reese tego nie powiedziała, ale Mattie wiedziała, że jego też wezwała nagle. Ciężko harował. Jak oni wszyscy.

– Nie mam nic przeciwko temu – odparła.

Kręcąc głową, zawrócił do stodoły.

– To ciężka, brudna, męcząca praca.

Mattie nadal szła za nim. „Proszę, tym razem mnie nie spław”. Powlokła się za nim z powrotem do stodoły, wzięła następne plandeki i wróciła do sadu.

– Wiem, nie jestem Quinn – powiedziała łamiącym się głosem.

W końcu zatrzymał się i odwrócił do niej. Nie przypuszczała, że kiedykolwiek ujrzy na jego twarzy taką jawną rozpacz. Skinął głową.

– Możesz pomóc, jeśli chcesz – rzekł.

Mattie początkowo tylko krążyła za nim, starając się zorientować, co robił. Zdawała sobie sprawę, że być może jest irytująca, ale wiedziała, że mogłaby go bardziej zirytować, zasypując dziesiątkami pytań. Przyglądała się uważnie, jak przykrył pierwszą grządkę melonów brezentową płachtą i umocował ją palikami. Zgodził się, by pomogła mu przy drugiej grządce. Przy trzeciej pozwolił, żeby sama przykryła jedną część, podczas gdy on zabezpieczał resztę.

Zaczęło padać – początkowo ciepła mżawka, która jednak szybko przeszła w zimny, dokuczliwy deszcz. Kiedy Matthew kolejny raz pobiegł do stodoły, przyniósł jej kurtkę, która pachniała nim. Gdy ją wciągała, popatrzył sceptycznie na jej stopy w szaroniebieskich japonkach, z paznokciami pomalowanymi na turkusowo.

– Jaki nosisz rozmiar butów?

Mattie od czternastego roku życia nigdy nikomu tego nie wyjawiała. Ani przyjaciółkom, ani siostram, ani nawet matce, a już z pewnością nie najprzystojniejszemu młodemu mężczyźnie, jakiego kiedykolwiek poznała. Wzniosła wzrok ku niebu. Czego się obawiać, skoro najgorsze rzeczy i tak już się wydarzyły?

– Jedenasty.

– Niesamowite – rzekł Matthew z absolutną szczerością i znowu ruszył biegiem do stodoły. – Możesz włożyć jedno z moich.

Mattie pracowała ze spuszczoną głową. Bolały ją ręce i nogi, miała obtartą skórę dłoni. Lecz głębiej pod tym wszystkim dręczyło ją coś gorszego niż ból mięśni. Był to dojmujący wstyd z powodu tego, że przez minione cztery okresy

letnie tak stroiła się na straganie pośród cynii i jagód, starała się wyglądać zachwycająco za kontuarem, przy klientach.

Przybierała pozy w pracy, przy zarabianiu pieniędzy, rywalizując z głupią Daną o to, która z nich potrafi ładniej się ubrać, wdzięczniej flirtować. „Nienawidzę siebie” – pomyślała. Nic dziwnego, że Matthew pokręcił głową i nie chciał mieć z Mattie do czynienia. Dla Matthew, podobnie jak dla jego rodziny, to była praca, której poświęcił życie, źródło jego utrzymania. Teraz, pracując z nim, ponieważ pojęła to wszystko i gorzko wyrzucała sobie dotychczasowe postępowanie.

Gdy już nabrał do niej zaufania, że poradzi sobie z zabezpieczeniem niskich roślin, pobiegł do sadu. Wyczuła, że najbardziej niepokoi się właśnie o drzewa owocowe.

Teraz już rozpętała się ulewa, zmieniając ziemię w błoto. Mattie ślizgała się w nim, przechodząc od grządki do grządki. Dwa razy upadła tak spektakularnie, że obryzgała się błotem aż po czubek głowy. Wiedziała, że to mała farma, ale Boże, dzisiejszego wieczoru wydawała się wielka. Bakłażany, kalafior, kukurydza cukrowa, ogórki, kabaczki. Ukochane dzieci Quinn, które pielęgnowała swoimi magicznymi rękami, teraz przycupnięte bezradnie pod niskim niebem, po którym gnały ciemne chmury. Mattie współczuła im i też trochę sobie. „Tęsknimy do ciebie. Potrzebujemy cię. Jak mogłaś nas opuścić?”

Mattie stała się teraz cieniem Matthew, jego drugim ja, bliźniaczką w takiej samej kurtce i roboczych butach, biegającą tam i z powrotem pomiędzy stodołą a polami. Przykrywała brezentem kolejne grządki: pomidorów winogronowych, pieprzu, ziemniaków, czarnych borówek, jeżyn. Wbijanie palików mocujących płachty stawało się coraz trudniejsze, w miarę jak grunt rozmiękał.

Pozostały jej do zabezpieczenia jeszcze cztery rzędy krzaków jeżyn. Odczuwała szaleńczą, desperacką energię i głęboką koncentrację. Straciła poczucie czasu. Nie mogła znieść myśli, że choćby jedna jagoda, jedna łodyga pozostanie bez ochrony. Przyspieszyła tempo pracy. Jej zazwyczaj strasznie rozkojarzony umysł skupił się na jednym prostym zadaniu.

Zaczęła już wątpić, czy grad spadnie, i wtedy spadł. Najpierw tylko drobny niczym pesteczki i iskierki, śmigający w powietrzu niemal swawolnie. Gdy Matthew następnym razem wybiegł ze stodoły, niósł kask rowerowy, który wcisnął jej na głowę.

– Serio? – spytała.

Zdawał się jej nie słyszeć. Zapięła pasek pod brodą.

Och, gdyby Dana mogła ją teraz widzieć.

Nie czuła już swojego ciała, a jedynie to, że trzyma w dłoniach rozpostartą plastikową płachtę. Nie podobał się jej ostry stukot ziaren gradu. Co więc mogły o nim myśleć jagody?

Nie zdołała przykryć do końca ostatniego rzędu, przystanęła więc, osłoniła własnym ciałem trzy młode krzaki i czekała. Była tak rozemocjonowana, że trochę się siebie przestraszyła, ale zaniepokojone ją Mattie dzielił wielki dystans od jej nowego wcielenia jako matki jagód.

„Nie wiem, kim jestem” – rzekła niedawno do Matthew. Czy kiedykolwiek wypowiedziano prawdziwsze słowa? To, że cała ubłocona stała pośrodku pola, pochylona nad krzakami jagód, a spadające z nieba lodowe grudki uderzały o pożyczony kask rowerowy na jej głowie, było dla niej rzeczywiście czymś całkiem nowym.

Trochę później odnalazł ją tam Matthew.

– Myślę, że najgorsze już minęło – powiedział ostrożnie.

Kiwnęła głową, wyplątała się z krzaków, poprawiła kask. Gdy szła w stronę Matthew, starała się nie chwiać ani nie potykać. Nie można całkiem zrezygnować z poczucia godności.

– Nic ci się nie stało? – spytał.

Potwierdziła ruchem głowy.

Popatrzył na pola z miną bliską niedowierzaniu.

– Wykonałaś niesamowitą pracę.

Mattie zaczęła dygotać.

– Nie wiem nawet, co powiedzieć – rzekł.

Znowu w milczeniu skinęła głową.

– Nawet gdybym się rozdzielił, nie zrobiłbym tego tak dobrze.

Wzruszyła ramionami. Drżącymi rękami zdjęła kask. Nie potrafiła wydusić ani słowa. W końcu znalazła kilka i wyjąkała:

– N-nie wiedziałeś, że sobie poradzę.

Jego twarz znów się rozpromieniła i wyglądał teraz na nie więcej niż swoje dwadzieścia dwa lata. Jednym wielkim krokiem pokonał odległość między nimi i objął Mattie. Trzymał w ramionach jej drżące ciało i zanurzył zmęczoną twarz w jej włosach.

– W ogóle nic o tobie nie wiedziałem.

Niełatwo było tu wrócić. Wszyscy to czuli.

Minęły prawie trzy tygodnie. Po tamtej pierwszej szalonej nocy Sasha przyrzekła rodzicom, że nie oddali się z domu, i dotrzymała słowa.

Lato dobiegło końca. Lila i jej rodzina wrócili tu już w ubiegłym tygodniu. Może więc właśnie dlatego uznali, że oni też powinni tak zrobić.

Tata Sashy przemykał pod ścianami pokoiów jak statysta w filmie. Od tamtego tragicznego wypadku sylwetka Roberta się zmieniła. Jak mówił, jego ciało już nie trawiło dobrze jedzenia. W miejsce dawniej grubego brzucha miał teraz próżnię, w której zaczęły tonąć inne części jego ciała.

Evie stale była strasznie napięta. „On to przetrwa. Wszyscy przetrwamy” – mawiała nerwowo, co budziło w Sashy obawę, że stanie się wręcz przeciwnie.

Podtrzymywała ich jedynie planowana rodzinna ceremonia żałobna poświęcona Quinn, która miała się odbyć pod koniec września.

Dziś wczesnym rankiem Sasha podsłuchiwała, jak ojciec, siedząc przy śniadaniu nad nietkniętą owsianką, usiłował ustalić z Evie szczegóły, jakby to mogło dotyczyć tylko ich rodziny. I nagle przymulony umysł Sashy przeszła ostra myśl: „Czyżbyśmy niczego nie zrozumieli?”

Stała gwałtownie przed stołem kuchennym.

– Musisz zadzwonić do Lili i zaplanować to razem z nią – rzekła do ojca.

Skonsternowany podniósł na nią wzrok. Nie pozostała w nim ani odrobina chęci walki, tylko pył unoszący się jeszcze w powietrzu po klęsce.

Później tego ranka, gdy ojciec błakał się pod ścianami pokoi, Sasha zobaczyła, że z wolna świta w nim zrozumienie. W południe podsłuchiwała, jak rozmawiał cicho przez telefon z Lilą. Szukała w jego głosie gorczy i oskarżycielskiego tonu, lecz brzmiało w nim tylko znużenie. Oboje wspólnie uzgodnili szczegóły.

Niełatwo było jej wejść do swojej sypialni, a przebywanie tam wywołało w niej zamęt.

Ray starał się zasłać łóżko. Była niemal pewna, że zdarzyło się to pierwszy raz, odkąd na przemian dzielili ten pokój. Przez jej usta przemknął nikły uśmiech; od tak dawna się nie uśmiechała, że teraz przyszło jej to z trudem. Łóżko wyglądało, jakby próbował je zasłać pięciolatek.

Bała się myśleć o Rayu. Bała się przypomnieć sobie wrażenie tego, jak ich ciała leżały splecione przez tych kilka godzin snu na trawie. Bo co, jeśli to był owoc umowy, której nie zamierzała zawrzeć? Co, jeśli wymieniła swój najgorszy lęk na najdawniejsze pragnienie?

Jej skromna, prosta, pozbawiona mistycyzmu religia wymagała, aby Sasha

złożyła w ofierze swoje szczęście w zamian za doznanie w życiu trochę mniej rozczarowania i lęku. Cierpienie było jak umieszczanie pieniędzy w karmicznym banku. Zawsze było więcej rachunków do zapłacenia. Ta religia zabraniała, by wyniknęła z tego jakakolwiek radość.

Ale Quinn wyznawała inną religię – śmiałą i szczodłą. Nie bój się bólu, powiedziałyby. Nie unikaj doświadczania go na różne sposoby. Nie prehandluj swojego szczęścia. Pozwól, by z cierpienia narodziła się radość.

Sasha teraz usiadła ostrożnie na łóżku. Głęboko wciągnęła w płuca powietrze późnego lata; czuła obecność Quinn i dopuściła do siebie myśli o Rayu. „Szkoda, że wciąż jesteśmy podzieleni” – powiedziała do niej Quinn w dzień wypadku. Sasha nie zamierzała pozwolić, aby śmierć Quinn stała się jeszcze jednym powodem rozłamu między obiema rodzinami.

Weszła do łazienki. Wzięcie prysznicza czasami pomagało jej rozjaśnić myśli; czasami umożliwiała jej spojrzenie w nowy sposób na nadchodzący dzień.

Odkręciła kurki i puściła gorącą wodę. Gdy wchodziła pod prysznic, zobaczyła, że z pary na lustrze magicznie wyłoniły się słowa:

CHCIAŁBYM SIĘ Z TOBĄ ZOBACZYĆ.

– Jakie wrażenie sprawia Jamie? – zapytała Emma niedługo po tym, jak pod koniec tygodnia przyjechała do Wainscott.

Nie chciała o to pytać, ale musiała. Nie potrafiła się powstrzymać.

Jej ojciec siedział na brzegu basenu. Nogawki spodni miał podciągnięte i zanurzał nogi w zimnej wodzie. Zdawał się już nie zauważać tego, że basen jest pełen liści i żab. Przechylił głowę na bok ku Emmie.

– Dlaczego pytasz o to mnie?

A zatem nie zamierzał jej tego ułatwić.

– Ponieważ wiem, że w środę pojechałeś na kilka godzin do biura. Evie mi powiedziała.

Klepnął dłonią miejsce obok siebie, zachęcając ją, żeby usiadła, a ona to zrobiła.

– Rzeczywiście pojechałem do biura, ale nie widziałem Jamiego, ponieważ już tam nie pracuje. Myślałem, że o tym wiesz.

Odwróciła się do ojca z oczami szeroko otwartymi ze zdziwienia.

– Nie wiedziałam. Nie rozmawiałam z nim od kilku tygodni. Zrobiliśmy sobie przerwę... bo... po tym wszystkim...

Miała prosty cel, by przetrwać dzisiejszy dzień bez płaczu, lecz udało się jej tylko do czwartej po południu.

Tata objął ją ramieniem.

– Och, moja droga. Rozumiem. Oczywiście, że rozumiem.

Bezceremonialnie wytarła nos rękawem.

– Kiedy odszedł z pracy? Czy powiedział dlaczego?

– Złożył wymówienie w zeszły piątek. Przedstawił moim wspólnikom stosowne uzasadnienie. Do mnie zadzwonił osobiście i wyjaśnił, że tak będzie lepiej dla was obojga. Nigdy nie chciał, abyś myślała, że jego praca w mojej firmie wpłynie negatywnie na jego związek z tobą.

– Tak powiedział? Nawet nie jesteśmy razem.

– Właśnie. I dlatego wcześniej byłem zaskoczony.

Emma skinęła głową i westchnęła.

– Nie sądzę, by traktował naszą przerwę jak rozstanie.

– A ty tak ją traktujesz?

Pokręciła głową.

– Nie. Myślę o nim całymi dniami. Strasznie za nim tęsknię. Tylko uważam, że obecnie nie mogę być z kimś.

– Rozumiem – powtórzył ojciec głosem nabrzmiałym uczuciem. Odetchnął kilkakrotnie. Kopnął nogami w wodzie i spojrzął na opadające bryzgi. – Mam wrażenie, że Jamie okaże się cierpliwy.

– Tak mówi.

– Oznajmił to całkiem szczerze, jak mogłaś się spodziewać.

Emma się uśmiechnęła. Oparła głowę na ramieniu ojca. Czasami najlepiej im się rozmawiało, kiedy na siebie nie patrzyli.

– Powiedziałem mu, że mam nadzieję, iż wie, że w żadnym razie nie obarczam go odpowiedzialnością za niemiły przebieg tamtego przyjęcia. Już przeprosiłem osobiście Jamiego i jego rodziców.

To przypomniało Emmie, że nie zdobyła się jeszcze na otwarcie grubej kremowej koperty zawierającej list z kondolencjami od rodziców Jamiego.

Sposób, w jaki tata to powiedział, nasunął Emmie myśl, że oboje zmienili swój stosunek do tamtego dnia. W świetle późniejszej prawdziwej tragedii przyjęcie zaręczynowe zaczęło im się wydawać farsą.

Znowu kiwnęła głową.

– I co on odpowiedział?

– Oświadczył, że rozumie i przyjmuje moje słowa w ich najbardziej szlachetnym znaczeniu. Powiedział, że nie żywi żadnej urazy, a jedynie współczucie, i że opuścił firmę nie z powodu przeszłości, lecz ponieważ pragnął oczyścić sytuację ze względu na swoją przyszłość z tobą.

Emma uniosła brwi.

– I co mu powiedziałaś?

Robert wzruszył ramionami.

– Co mogłem powiedzieć? Powiedziałem mu, cytuję dosłownie: „Jamesie Hurnie, jesteś dobrym człowiekiem i masz prawo kochać moją córkę bardziej niż tę pracę, ponieważ Emma jest nieskończenie od niej ważniejsza i zawsze będzie”.

Ray zdecydował, że musi porozmawiać z matką.

Znalazł ją w malej, zagraconej kuchni domu w Brooklynie, siedzącą przy stole nad kubkiem herbaty. Przyglądała się przez tylne okno, jak Hank, lokator z parteru, podlewa rośliny w ogródku.

Gdy Ray usiadł naprzeciwko niej, posłała mu nikły, roztargniony uśmiech.

– Cześć, mammo.

– Tak, kochanie? – rzuciła.

Ostatnio była bardzo blada.

– Wiesz, mówiłaś Adamowi, że ta ceremonia pogrzebowa Quinn odbędzie się w domu w Wainscott w nasz weekend i że powinniśmy zaproponować Robertowi, aby został tam w piątek na noc, a my z kolei przenocujemy w sobotę – wyrzucił z siebie szybko.

– Tak.

– No więc... – Ray wziął wdech – uważam, że to niewłaściwe podejście.

Matka objęła dłonią kubek. Przechyliła głowę na bok.

– Co masz na myśli?

Ray niespokojnie poruszył się na krześle. Przy tym stole zawsze się wiercił.

– Dom należy do nas wszystkich. Myślę, że powinniśmy go ze sobą dzielić.

Powoli skinęła głową.

– Wiem. I zgadzam się. Właśnie tak mówiłam.

– Nie, ale nie tak jak dotychczas, że „wy będziecie w piątek, a my w sobotę”, tylko naprawdę mieszkać w nim wspólnie.

Matka spojrzała na niego z wyrazem twarzy nie tyle niechętnym czy niemłym, ile raczej jak komputer, który nie całkiem rozumie swój program.

– Moglibyśmy na przykład wszyscy spędzić w tym domu weekend – wyjaśnił Ray.

Komputer Lili nadal nie przetwarzał tych danych.

– No wiesz, my wszyscy, mieszkający tam w tym samym czasie – dorzucił Ray.

Nagle jej obwody ożyły z brzękiem i skwierczeniem.

– Mielibyśmy przebywać w tym domu razem? *Jednocześnie?*

– Tak.

– Ale...

– Co?

W jej oczach zamigotał niepokój.

– Ja nie...

– Mammo, tam jest mnóstwo miejsca. Mielibyśmy osobne sypialnie i łazienki. To duży dom. I nie proponuję zmiany sytuacji na stałe ani niczego takiego. Tylko ten jeden raz. – Na moment dopuścił do siebie obraz Quinn, który błysnął przelotnie w jego umyśle. – Uważam, że to byłoby stosowne w przypadku tej uroczystości. Naprawdę tak myślę.

Lila zakryła dłońmi twarz. Wciąż nie całkiem pojmowała, o czym mówił. Ale widział, że usiłuje zrozumieć. Zaczynał do niej docierać głębszy sens tego pomysłu. Wyrzała przez okno. Hank skończył już podlewać szlauchem ogródek.

Odwróciła się i spojrzała na Raya szeroko otwartymi oczami.

– Ale czy sądzisz... – Mówiła nieco drżącym głosem. – Robert i Evie...

– Myślę, że powinnaś zadzwonić do Roberta i to zaproponować.

Lila z nieobecny wzrokiem zastanowiła się nad tym. Jej obwody ostatni raz zaskwierzały.

– Gdzie spałaby Sasha?

Ray w końcu napisał do Sashy.

Nie wiem, co powiedzieć. Świat jest taki trudny.

Chcę się tylko upewnić, że wciąż w nim istniejesz.

Ja nadal tu jestem. Całkiem na pewno.

Kupiłem nam nową roślinę kalanchoe. Nie musisz jej podlewać ani nic takiego. Wybrałem ją, bo ma dokładnie takie same pomarańczowe kwiatki jak nasza dawna.

Sasha długo się zastanawiała, co odpisać.

Ja też chciałabym się z tobą zobaczyć.

Mattie była w tym samym bikini. Miała te same jasne włosy i duże stopy. Była na tej samej plaży w Ditch Plains. Wiedziała jednak, że tym razem jest całkiem inaczej.

Jonathana Dawesa zaskoczył jej widok. Mężczyzna natychmiast upuścił swoją deskę i uprzejmie zakończył rozmowę z innym siwowłosym surferem. Podeszedł do Mattie i ją objął.

– Przykro mi, Mattie – powiedział.

– Wiem. Dziękuję ci. I za list, który przysłałeś.

Napisał do niej trzy urocze strony swoich dawnych wspomnień o Quinn, szalonym małym chochlikiem. Mattie szlochała, czytając ten list.

Skinął głową.

– Jak się czujesz?

Po wszystkim, co się między nimi zdarzyło, chciała odpowiedzieć szczerze, a nie po prostu zdawkowo, że dobrze.

– Początkowo byłam całkiem pogrążona w smutku. Teraz czuję się raczej... nieswojo... przez większość czasu. Ale to nie zawsze jest złe.

Dotknął jej dłoni.

– Jesteś mądrą dziewczyną. Jak się ma twoja mama?

Mattie wypuściła powietrze z płuc.

– Chyba zaczyna dochodzić do siebie. Trochę.

Na twarzy Jonathana Dawesa odbiło się współczucie.

– Nawet nie próbuję sobie wyobrazić, co przeżywa.

– Przez długi czas nie opuszczała swojego pokoju. Wczoraj rano przyrządziła nam śniadanie.

– To świadczy, że powraca jej chęć do życia – powiedział.

– Mam nadzieję – rzekła Mattie. – Chociaż żadne z nas już nigdy nie będzie takie jak dawniej.

– Wiem.

– Cały czas tęsknię za Quinn – wyznała.

Z jej oczu zaczęła płynąć codzienna porcja łez. Mattie uświadomiła sobie, że ufa Jonathanowi Dawesowi. Powiedział jej prawdę. Ona także będzie mówić mu prawdę.

Wyglądał, jakby też miał się rozplakać. Milczał przez chwilę, ale na jego twarzy odbijało się to, jak szukał słów, by wyrazić swoją myśl.

– Tyle razy zamartwiałem się, że źle postąpiłem, mówiąc ci o tym, co się niegdyś wydarzyło... a potem, kiedy Quinn... Wybacz mi, jeśli jeszcze spotęgowałem twoje cierpienie.

Mattie grzebała w piasku wielką stopą.

– Nie – odrzekła. Czowała na czubku głowy ciepło słońca. – Nie martw się tym.

Zapytała siebie w duchu: Czy postąpił źle? Czy była na niego za to zła? Nie, nie postąpił źle. I nie była na niego zła.

– Nie postąpiłeś źle – powiedziała. Spojrzała na niego ostrożnie. – Jestem ci wdzięczna za to, że potraktowałeś mnie na tyle poważnie, by powiedzieć mi prawdę, oraz za... chyba za obudzenie mnie. To zmusiło mnie do przemyślenia na nowo pewnych aspektów siebie samej, i nas wszystkich, które nie są dla nikogo z nas zbyt dobre... – Wzięła wdech. – Trudno to wyjaśnić.

Skinął głową.

Mattie znowu głęboko zaczerpnęła powietrze do płuc.

– Chciałam też powiedzieć, że mimo wszystkiego, co teraz wiem, i mimo wszystkich jego wad ja już mam ojca.

Jonathan Dawes ponownie przytaknął. Potem lekko przechylił głowę na bok.

– A ja już mam córkę.

Mattie zerknęła na niego.

– Tak?

– Tak. Ma na imię Julia. To córka z mojego pierwszego małżeństwa. Ma dwadzieścia siedem lat i mieszka w Los Angeles. Myślę, że byś ją polubiła.

– O rany – rzuciła Mattie.

Jeszcze jedna potencjalna siostra, w każdym razie przyrodnia siostra. Było to bardzo dziwne. I dziwnie wyzwalające. Dotąd wyobrażała sobie pustkę w życiu Jonathana Dawesa i współczuła mu, a okazało się, że miał mocny życiowy fundament, jeszcze zanim ona się urodziła.

– Chciałabym ją kiedyś poznać.

– Ja też bym chciał, żebyście się poznały.

Na kilka chwil zapadło między nimi milczenie – przyjazne milczenie.

Dlaczego można mieć na przykład wiele córek i sióstr, a nie można mieć wielu mężów ani par rodziców?

– Mattie!

– Tak?

– Szanuję to, że nie pragniesz mieć drugiego ojca. A ja nie szukam drugiej córki. Ale chętnie się z tobą zaprzyjaźnię, jeśli chcesz. Chociaż teraz, gdy już wyłożyliśmy wszystkie karty na stół, doskonale zrozumiem, jeżeli nie zechcesz. Ale chciałbym cię poznać, jeśli byś się zgodziła i jeśli chciałabyś poznać mnie. Jednak nic na siłę. Żadnych zobowiązań ani ustaleń.

Przyjrzała mu się uważnie. Nie była już zła na niego. I też miał wielkie stopy.

– Uważam, że to uczciwa propozycja – powiedziała.

Kiedy Ray patrzył na tę roślinę kalanchoe z pomarańczowymi kwiatami, miał ochotę ją uściskać. Doznawał wobec niej czegoś w rodzaju uczuć ojcowskich. Widział ją z łóżka, na którym leżał, i zdał sobie sprawę, że troszczy się o jej dobro.

Nie mógł zasnąć, więc napisał do Sashy:

Chyba nauczyłem się budzić wcześniej rano, ale to niełatwe. Walczę z zasypianiem w nocy. Niektóre noce wydają się nie do zniesienia.

Sasha w swoim pokoju w Nowym Jorku też nie spała. Chciała odpisać coś bystrego, dodać jakąś istotną uwagę. Ale przede wszystkim chciało się jej płakać.

Gdybym mogła znowu Cię objąć, chyba też mogłabym usnąć.

– Gdzie jesteś? – zapytała Emma przez telefon.

– Na Carroll Street. Dokładnie naprzeciwko twojego domu.

– Dlaczego?

– Bo mam dla ciebie lody, chociaż tylko firmy Chubby Hubby. I ciasteczka z czekoladą.

– Jamie!

– Wiem. Ale mam tutaj kogoś, kto cię kocha, i trochę lodów. Dlaczego więc miałbym trzymać się od ciebie z daleka?

– Ponieważ ci kazałam.

– No tak, to prawda. Ale potrzebujesz mnie, przynajmniej trochę. I lodów.

Tęskniła za nim aż do bólu. Co mogła zrobić?

– Och, no dobrze.

Kiedy już wszedł do domu, usiedli na podłodze w salonie i łyżeczkami jedli lody prosto z kartonowych pojemników. Emma nakłoniła Jamiego, żeby opowiedział, jak odszedł z Califax Capital.

– Kilku spośród wspólników dosyć się wkurzyło – wyjaśnił. – Na zebraniu poświęconym mojemu odejściu zagrozili, że nałożą na mnie karę finansową

i zmuszą mnie do podpisania oświadczenia, że nie przyjmę posady w żadnej konkurencyjnej firmie, tak abym przez następne trzy lata nie mógł pracować w tej branży.

– To okropne.

– Owszem.

– Tak cię potraktowali za to, że byłeś niezbędny. To podłe. Gdybyś pracował gorzej, puściliby cię bez żadnego problemu.

– Ale zaczekaj. Ta historia ma jeszcze dalszy ciąg, lepszy. Ponieważ potem twój tata usłyszał o tym od mojego bezpośredniego szefa, Gary’ego. Gary też nie był tym zachwycony. Twój tata zwołał na poniedziałek zebranie wspólników firmy. Według tego, co powtórzył mi Gary, ryczał jak lew. Powiedział im, że trzeba zawsze postępować lojalnie wobec uczciwych, rzetelnych pracowników. Jeśli traktuje się ich dobrze, kiedy odchodzą, być może wrócą. Ale jeśli się na nich mści, będą chcieli tylko wziąć odwet i zniszczyć firmę. Powiedział im, żeby przyjęli moje wypowiedzenie, bez żadnych kar finansowych ani wymuszania oświadczeń, a on osobiście wystawi mi świetne referencje.

Emma się roześmiała.

– Jestem pewna, że to zrobi. Chciałabym rzucić na nie okiem.

– Nie opowiedział ci o tym wszystkim?

– Nie.

Jamie odetchnął głęboko.

– Twój ojciec jest wspaniałym człowiekiem.

– Wiem. – Znowu się zaśmiała. – Jeśli tobie i mnie nie wyjdzie, uważam, że powinieneś poślubić mojego tatę.

Sasha odnosiła wrażenie, że cała rodzina wkroczyła w świat życia pozagrobowego. Zdawali się przemykać w przebraniu, szukając Quinn. Usiłując być jej godnymi.

„Zrobilibyśmy wszystko, żeby cię odnaleźć, Quinn”.

Ojciec Sashy nie tylko tolerował obecność Lili, matki Quinn, ale nawet ją objął. Później stał obok niej zanurzony po pas w zimnej jesiennej wodzie stawu, gdy w ośmioro rozrzucali prochy Quinn. Kto lepiej od Lili zrozumiałby towarzyszące temu miłość i ból?

Oczywiście spojrzenie Sashy kierowało się ku Rayowi. Kto zrozumiałby lepiej od niego? Dobrze, cudownie było mieć przy sobie kogoś, kto rozumie.

Stali wszyscy kręgiem w wodzie, trzymając się za ręce, jak gdyby robili tak zawsze. Evie trzymała dłoń Lili, Robert stał między Lilą i Adamem. Ojciec Quinn miał na sobie długą indyjską tunikę, którą kupił mu przed kilkoma laty, i wyglądał jak prawdziwy bengalski dżentelmen. Mattie wetknęła we włosy nad uchem gałązkę jaśminu, dokładnie taką, jaką nosiła Quinn swojego ostatniego dnia. Wszyscy płakali.

„Jesteśmy z tobą chociaż odrobinę, nieprawdaż, Quinn?”.

Byłaby tym zachwycona. To było coś najwspanialszego, a zarazem najgorszego. Najwspanialsze dlatego, że się zdarzyło. A najgorsze, ponieważ zdarzyło się bez niej.

„Ale ty tutaj jesteś, prawda? Wiem, że tak. To wszystko dzięki tobie”.

Magia Quinn działała z całą mocą. Zagadkowa i niezaprzeczalna. Ich zbiorniki pamięci się opróżniły, ale Quinn pozostawiła im sposoby, by mogli pomóc jedni drugim ponownie je napełnić.

„Czy ty tego dokonałaś? Czy właśnie tego pragnęłaś?”.

Nikt nie kochał harmonii i pełni tak mocno jak Quinn. I nikt bardziej od niej nie cierpiał z powodu rozłamu w ich rodzinie. Ale Quinn nie odwróciła się od niego. Potrafiła zaakceptować go i znieść. Na tym polegała jej wyjątkowa odwaga.

Sasha z sercem jak zawsze przepelnionym uczuciami leżała w swoim łóżku i odtwarzała w pamięci wszystkie obrazy tego dnia, a jednocześnie przyglądała się, jak księżyc mija dokładnie środek świetlika w dachu.

Jak można było choćby pomyśleć o Lili i Robercie oraz Adamie i Evie śpiących jednocześnie pod dachem tego domu? Aż do tego dziewiątego sierpnia byłoby to po prostu niewyobrażalne – podobnie jak niewyobrażalne było tyle innych rzeczy, które wydarzyły się w ciągu minionych kilku tygodni, głównie z powodu ich potworności. Ale to było czymś innym. Sasha wyobraziła sobie wszystkich ośmioro leżących w swoich łóżkach i zdumionych tym, co stało się tej

nocy.

A potem wyobraziła sobie ich wszystkich nadal stojących razem nieruchomo w stawie, sięgających powoli do dziwnych odmian uczuć, niczym do warstw ciepłej i zimnej wody. To był spokojny, zachwycający stan zawieszenia. Ale w końcu trzeba z niego wyjść.

Czy jednak nie mogliby pozostać w nim jeszcze trochę dłużej? Czy nie mogliby przyrządzić wspólnie śniadania, tak jak ubiegłego wieczoru wspólnie zjedli kolację – ostrożni i przesadnie uprzejmi, ale mili? Czy jej tata nie mógłby znów przepasać się fartuchem i usmażyć czegoś na grillu? Czy on i Lila nie mogliby znów powspominać – początkowo z wahaniem, ale zgodnie – tej śnieżnej nocy, gdy Quinn przysłała na świat w ich łóżku?

Czy Lila znów nieoczekiwanie ściśnie dłoń Sashy i powie: „Tak bardzo przypominasz mi moje córki, że mam wrażenie, jakbym od dawna cię znała”?

Czy jej tata i Ray jeszcze raz obejrzą razem zepsutą pompę ciśnieniową, kiwając głowami, jak zawsze czynią mężczyźni, przy czym ojciec znów trochę bardziej się wyprostuje?

Czy ona i Ray nadal będą spoglądać na siebie nad stołem obojętnym wzrokiem, usiłując udawać, że ledwie się znają, podczas gdy w rzeczywistości Sasha pragnęła dotknąć go, objąć i poczuć jego ciało przy swoim?

Czy niczego nieświadoma Emma znowu powie do nich dwojga: „Wiecie co, myślę, że właściwie moglibyście się zaprzyjaźnić”?

Wirowali w naprawdę dziwnej wodzie. Jedynym problemem było to, że Ray spał teraz w jakimś nieznanym pokoju na drugim końcu korytarza. Sasha miała wrażenie, jakby jej brakująca druga połowa błąkała się po domu niczym zombi.

Zaofiarowała się, że przenocuje w pokoju gościnnym, ale Ray nalegał jak dzentelmen, że on tam się prześpi. Nie mogła znieść, że w taką noc znalazła się tutaj, a on nie. Nie chciała, żeby nadal brali udział w grze, w której tylko jedna strona wygrywa. Pragnęła, żeby byli razem.

Ray wiedział, że tej nocy nie zdoła nawet zmrużyć oka w tym łóżku. Ostatnio i tak niełatwo udawało mu się zasypiać, a co dopiero teraz, gdy Sasha była w odległości zaledwie piętnastu metrów.

Cały miniony dzień był przedziwny i przeuroczy. I Ray, aby uczcić pamięć Quinn, starał się zaakceptować go w pełni: w tym co dobre i złe, zagadkowe i dziwaczne.

A jednak teraz znajdował się w miejscu kompletnie odmiennym od tego, w którym pragnął być. W tym pospolitym, niezamieszkanym pokoju z szorstkim dywanem unosił się zapach jak w pralni chemicznej na Union Street. Narzuta na łóżku była sztywna i miała idiotyczny wzór w niebieskie kwiaty. I ani trochę nie pachniała Sashą. To go w niej wkurzało.

Równie dobrze mógłby być w pokoju hotelu Holiday Inn, podczas gdy pod

dachem jego własnego domu działały się istne cuda.

Wstał z łóżka i przeszedł się w kółko po dywanie. Jego stopy już niemal się zagoiły. Dokuczały mu mniej niż reszta. Wczoraj zostawił swoje prawie nowe eleganckie buty w pojemniku organizacji charytatywnej Goodwill pod kościołem.

Wolałby spać na kanapie w gabinecie niż w tym okropnym pokoju.

Wolałby spać na dworze na trawie.

Prawdopodobnie wolałby spać nawet na starym żwirowym wybiegu dla psów dziadka Harrisona.

A naprawdę wolałby spać w swoim łóżku. W łóżku Sashy. W ich łóżku. *Ich* łóżku. Z widokiem na księżyc i *ich* roślinę kalanchoe.

Przebywali w tym samym domu! W tym samym domu i w tym samym czasie. W nocy! To nie powinno być możliwe.

„Sasha jest w moim łóżku, a ja nie”. To było nie do zniesienia.

Wpatrzył się przez okno w mrok. Lampy solarne wzdłuż alejki prowadzącej na pomost mżyły słabym blaskiem. Gdy popatrzył dalej, zobaczył inne punkty świetlne, ruchome iskierki, i to oczywiście były robaczki świętojańskie.

Wymknął się z Holiday Inn i minął duży pokój po drugiej stronie holu, w którym spali Robert i Evie. Tego pokoju nie zajmowano przez ani jedną noc, ilekroć mieszkał w tym domu. Ray prawie nigdy tam nie wchodził. To był obcy kraj, niczym Watykan wewnątrz Rzymu. Jedyna część domu należąca wyłącznie do „tej drugiej rodziny”. Skręcił w holu z powrotem do znajomego obszaru budynku. Minął pokoje Emmy i Mattie. Przy drzwiach pokoju Quinn zmusił się, żeby przystanąć i wziąć wdech.

„Dopuść do siebie to wszystko” – powiedział sobie. Tak zrobiłaby Quinn. Poczulałby wszystko.

Przeszedł obok drzwi sypialni, w której spali jego rodzice. Wcześniej nigdy nie przyszło mu do głowy, by się zastanowić, dlaczego główną sypialnię dostali Lila i Adam, a nie Robert i Evie. Zbliżył się do drzwi swojego pokoju. Pokoju Sashy.

Nagle dostrzegł coś kuszącego w tych skądinąd całkiem zwyczajnych drzwiach: nie były zamknięte, lecz nieznacznie uchylone.

Czy ona naprawdę tam jest? To wydawało się nieprawdopodobne. A jednak tę możliwość uwiarygodniało to, że jego tam nie ma.

Czy Sasha celowo zostawiła uchylone drzwi? Zaczął oddychać szybko i płytko. Usiłował się opanować, zły na siebie. „Co ty, masz dwanaście lat?”

Czy może zapukać? Powinien? Nie, ktoś inny mógłby usłyszeć. Nie Robert, chyba że ma bioniczne implanty słuchowe, i nie Adam, ponieważ jest nieco przygłuchy, ale Lila najprawdopodobniej tak.

Pociły mu się dłonie, a także jego niemal już wygojone stopy. Lekko pchnął drzwi, a te się otwały. Przepchnął się przez nie niemal cały, niepewny, czy

właściwie zamierza to zrobić, czy nie.

Posunął się już tak daleko. Czy to był dobry pomysł? Nieważne. Nie mógł tego nie zrobić.

Zamknął za sobą drzwi. Wstrzymując oddech, odwrócił się i spojrzał na łóżko. W pokoju było ciemno, ale przez świetlik wsączało się nagle światło księżycy i padało na nią, tak jak w ciągu tylu nocy padało na niego. Leżała tam, jak gdyby ją sobie wymarzył. Miała nawet na sobie tę jedwabną nocną koszulę, której zapach czuł zawstydzająco wiele razy.

Podszedł o krok bliżej. Był tak oszołomiony jej widokiem, że przez chwilę zapomniał, że naprawdę się tu znalazł. A potem otworzyła oczy i spojrzała na niego. Co oznaczało, że rzeczywiście tu był.

Usiadła w łóżku.

Jak miał jej to wyjaśnić? Już za późno, by zapytać, czy może wejść. Zalała go fala takiej czułości do niej, że ledwie zdołał się opanować.

– W moim łóżku śpi jakaś dziewczyna – wyszeptał. Uniósł dłonie w geście zdziwienia. – Jak się tu dostałaś?

– Chodź – powiedziała i przesunęła się, robiąc mu miejsce.

Było całkiem słuszne i stosowne, że to stało się tutaj, w ich łóżku. Jedno łóżko dla dwojga osób zmieniło ich dwoje w jedną istotę: oddychającą, pulsującą, splecioną razem i wreszcie kompletną. Ray ujrzał w twarzy Sashy swoje wrażenia, czuł w swojej piersi jej pożądanie, słyszał w jej głosie swoje emocje. Wszystko to pomieszane, dzielone wspólnie. Nie umiał odróżnić siebie od niej – i nie chciał.

To była bardzo cicha lawina. Musiała być cicha, ponieważ ich rodzice nocowali w pokojach w głębi holu. Każda z miliona chwil, w których przez wszystkie te lata myślał o Sashy, każda molekuła jej zapachu, którą wdychał przez cały ten czas, zdawała się teraz potęgować siłę tej lawiny. Sam jej impet nie pozwalał na żadne zawahanie.

Ray nie wiedział dotąd, że ciało może doświadczyć takich doznań. Zdumiewał się i zachwycał niezwykłym cudem wszystkiego, co się działo. Tym, że mógł tak to odczuwać i że ona była taka, tak wyglądała, tak się poruszała. Kształtami jej ciała, zapachami, jej smakiem. Jak to w ogóle było możliwe?

Gdy już ucichł łoskot tej lawiny i nastąpił spokojniejszy etap, Ray poczuł ciężar głowy Sashy na swojej nagiej piersi, jej wilgotne ciało przy swoim ciele. Zwróciła twarz w górę ku niemu i musiał na moment odwrócić wzrok. Nie chciał stracić jej widoku ani na sekundę, ani okrucu wrażenia, ale nie potrafił ich wchłonąć. Rozkosz była zbyt wielka. I towarzyszył jej zbyt wielki ból. Pojął, że tak będzie zawsze – dwie strony tego samego oddania.

Mnóstwo niezwykłych cudów. Mattie, jej matka i Evie piekły w kuchni ciasto. W sercu Mattie wezbrała radość, gdy słuchała ich dobrodusznej, choć ostrożnej paplaniny: pochwały masła, szacowania ilości jajek, zdecydowanej zgody

co do zalet wanilii, ukrytego pod ich słowami pragnienia, by wyrazić więcej, niż się mówi. Adam siedział przy biurku w sypialni i pracował nad swoją książką. Tata Mattie wędkował na pomoście. Emma poszła na plażę, gdzie komórka miała najlepszy zasięg, i opowiadała Jamiemu o wszystkim, co się wydarzyło. Ray i Sasha wybrali się razem do miasteczka kupić artykuły spożywcze. Co pomyślałaby o tym Quinn?

„Jesteś tutaj, prawda? Co myślisz?”.

Wszystko to wydawało się oszalamiająco kruche i Mattie bała się, że jeśli odetchnie zbyt mocno, pęknie i uleci jak złoty liść. Ale po chwili zmusiła się do głębokiego oddechu. Czego się jeszcze obawiać?

Była niedziela i po pożegnalnej kolacji dla uczczenia pamięci Quinn wszyscy powrócą do swoich zwykłych żyć. Jutro wrócą do szkoły, do pracy, do dawnej cotygodniowej rotacji.

To mógł być w ogóle ostatni moment, gdy Mattie znów miała w domu oboje rodziców. Chociaż zachowywali się wobec siebie przyjaźnie i serdecznie, nie spodziewała się, by weszło im to w nawyk. Powrócą dawne podziały. Oczywiście, że tak. Wyrosnie trawa. Opadną liście. Pojawią się niezapłacone rachunki.

Z potężną mieszaniną radości i niepokoju przywołała z pamięci obraz Sashy i Raya idących razem do samochodu. Niektóre sprawy nieodwołalnie się zmieniają.

Wysłała na dwór dotrzymać towarzystwa tacie.

– Cześć, skarbie – powiedział.

Był w swoich klasycznych kąpielówkach w „tureckie” wzory i brzoskwiowym swetrze zrobionym ścięciem warkoczowym; okulary słoneczne Ray-Ban miał podniesione nad czoło. Jego strój emanował tradycją i optymizmem. Ale na jego twarzy nadal malował się smutek.

– Cześć tato. Złowiłeś coś?

– Jeszcze nie – odparł.

Usiadła obok niego na pomoście i machała nogami w wodzie, jak robiła bardzo często, kiedy była mała. Tata pochylił się nad nią i czule zmierzwił jej włosy.

W powietrzu czuło się już chłód jesieni. Drzewa wokół stawu pulsowały barwami liści.

– Lubię mieć w tym domu obydwójce moich rodziców – oświadczyła. – Przyznaję się do tego. Kocham was oboje. Kocham obie moje rodziny. Kocham ten dom.

Odczuwała to silnie i z wdzięcznością, pomimo wszystkiego, co wiedziała.

Ojciec skinął głową. Jego twarz nie wyrażała sprzeciwu, więc Mattie mówiła dalej.

– Czy kiedyś wcześniej to miałam? Czy ty i mama po moich narodzinach kiedykolwiek mieszkaliście tu razem? – zapytała.

Nie była pewna, jak wiele chce się dowiedzieć.

– Niedługo. Może dwa miesiące. Ale wystarczająco długo, żebyś zaczęła się uśmiechać.

– Uśmiechałam się?

– Och tak. Cudownie. Stale. – Uśmiechnął się całkiem szczerze na to wspomnienie. – To podtrzymywało nas wszystkich na duchu.

– Naprawdę?

– Nadal mnie podtrzymuje, w moje najcięższe dni.

Zobaczyła w jego oczach łzy. Już się ich nie bała. Właściwie zaczynała do nich przywykać. Spuściła głowę i też się rozplakała. Łzy skapywały na jej nogi.

Wiedziała, że to pora dziwnego czaru, gdy w powietrzu unoszą się otwarte tajemnicze ścieżki. Wkrótce znów się zamkną. Znów pojawią się dawne szlabany i ograniczenia. Musiała być odważna i podążać tymi ścieżkami, póki mogła.

– Czy to, że się urodziłam, wystarczyło, aby ostatecznie rozdzielić ciebie i mamę? – zapytała.

Spojrzał na nią zdumiony.

– Nie. Nie to było powodem.

Zdobyła się na jeszcze większą odwagę:

– Nie wyglądałam jak inne niemowlęta. Wiem, że nie. Nadal wyglądam odmiennie. Wiem, że jestem inna.

Niełatwo przyszło jej powiedzenie tego.

Robert zrozumiał sens jej słów. Zorientował się, co miała na myśli. Odłożył wędkę na pomost. Zbierał siły. Niemal widziała, jak wdarł się w zarośla i dobył maczetę, gotowy pokonać najgęstsze podszycie. To on był odważny. Ponieważ oczywiście wiedział. Zawsze wiedział.

Odwrócił się do niej i ujął jej dłonie, jej biało-różowe dłonie, w swoje brązowe. Zmierzył ją spokojnym wzrokiem.

– Wiesz, że wychowało mnie i kochało dwoje ludzi, do których nie jestem fizycznie podobny. Wiesz to, prawda?

Skinęła głową.

– Widziałaś fotografie mojej drogiej matki Matildy, po której nosisz imię.

Znowu przytaknęła.

– Moi matka i ojciec ofiarowali mi wszystko, co mieli, wszystko, czym jestem.

Teraz Mattie już otwarcie płakała. Starła się zapanować nad bolesnym grymasem.

– Kochali mnie i opiekowali się mną, więc są moimi rodzicami. Nie ma żadnych innych. Tak po prostu jest.

– Naprawdę?

Przyciągnął ją do siebie i objął.

– Kocham cię i troszczę się o ciebie. Zawsze tak było i zawsze będzie.

W późny niedzielny poranek przyjechał busem Jamie. Emma chciała, żeby zobaczył ten jednodniowy cud rodzinny, zanim się rozwieje. Odebrała go samochodem z przystanku i w trakcie krótkiej jazdy obmyślili plan, który postanowili ogłosić, gdy dotrą do domu.

– Przygotuj się na cud – uprzedziła go.

Ponieważ to istotnie było jak wkroczenie w cudowny sen – ujrzenie ich wszystkich zasiadających przyjaźnie wokół stołu kuchennego i jedzących tosty francuskie. Jamie wyglądał jak ktoś, kto podejrzewa, że ma halucynacje.

– Witamy – powiedziała Lila.

Wstała i przysunęła więcej krzeseł, jakby zawsze zachowywała się tak serdecznie.

Jamie z niedowierzaniem przenosił spojrzenie z Roberta na Lilę, z Adama na Evie, z Raya na Sashę. W końcu popatrzył na Mattie i wzruszył ramionami.

– Zamierzamy pobrać się potajemnie w listopadzie – oznajmiła Emma bez żadnego wstępu zebranych. – Każde z was może przyjść.

Wszyscy zaczęli wyrażać aprobatę, gratulować, niezbyt zaskoczeni. Ray gwizdnął jak na taksówkę.

– Dlaczego nie chcecie urządzić przyjęcia weselnego? – zapytała Lila. – Obiecuję, że tym razem będziemy się dobrze zachowywać. – Zerknęła na Roberta i spoważniała. – *Ja* obiecuję, że będę się dobrze zachowywać.

Robert spojrzął na nią – może nie czule, ale bez gorczy.

– Ja także obiecuję.

– Znowu przyrządzę sałatkę fasolową – zaofiarowała się Lila.

Emma gwałtownie odwróciła się do niej.

– Żadnej sałatki fasolowej.

– Żartowałam – powiedziała Lila.

To był niezwykle wyczyn z jej strony, że zdobyła się na żart.

Emma i Jamie wymienili spojrzenia.

– No cóż, tym razem wy nie jesteście wcale problemem – wyjaśniła.

Jamie sprawiał wrażenie zboląłego, ale nie złamanego.

– Możemy udać się razem do miejskiego ratusza – powiedział.

„Czy to widzisz, Quinn? Naprawdę mam nadzieję, że tak”.

O autorce

ANN BRASHERES jest autorką cyklu powieściowego *Stowarzyszenie Wędrujących Dżinsów*, numeru 1. na liście bestsellerów „New York Timesa”. Mieszka z rodziną w Nowym Jorku.

¹ Cytat z wiersza Williama Butlera Yeatsa *Drugie Przyjście* (przyp. tłum.).

